

Percy Jackson i Bogowie Olimpijscy
Morze potworów

R O Z D Z I A Ł I

MÓJ NAJLEPSZY KUMPEL WYBIERA
SUKNIĘ ŚLUBNĄ

Koszmar zaczął się tak:

Stałem pośrodku wyludnionej ulicy w jakimś nadmorskim miasteczku. Był środek nocy. Szalał sztorm.

Wichura i deszcz szarpały palmami rosnącymi wzdłuż chodnika. Po obu stronach ulicy stały otynkowane na różowo i żółto budynki z zasłoniętymi oknami.

Przecnicę dalej, za krzakami hibiskusa, wrzał ocean.

Floryda - pomyślałem, choć nie miałem pojęcia, skąd to wiem. Nigdy wcześniej nie byłem na Florydzie.

Wtedy usłyszałem stukot kopyt. Odwróciłem się i zobaczyłem mojego przyjaciela Grovera, który uciekał w panicznym strachu.

Tak, powiedziałem kopyt.

Grover jest satyrem. Od pasa w górę wygląda jak każdy inny chudy nastolatek z ledwie widoczną kozią bródką i paskudnym trądzikiem. Chodzi dziwnym krokiem, ale jeśli nie zdarzyłoby się wam przyłapać go bez portek (czego nie polecam), nie domyślilibyście się, że nie jest do końca człowiekiem. Luźne dzinsy i sztuczne stopy ukrywają jego

porośnięty sierścią tyłek oraz kopyta.

Grover jest moim kumplem od szóstej klasy. Towarzyszył mi wraz z dziewczyną o imieniu Annabeth w wyprawie mającej na celu uratowanie świata. Ale nie widzieliśmy się od lipca zeszłego roku, kiedy udał się samotnie na niebezpieczną misję - wyprawę, z której jeszcze żaden satyr nie powrócił.

W każdym razie w moim śnie Grover machał kozim ogonem i trzymał w ręku swoje ludzkie buty - jak zawsze, kiedy chce się poruszać naprawdę szybko. Pędził wzdłuż niewielkich sklepików z pamiątkami i wypożyczalni sprzętu surfingowego. Wicher zginał palmy niemal do ziemi.

Grovera przerażało coś, co było za nim. Musiał przed chwilą zejść z plaży, gdyż sierść miał pełną mokrego piasku. Najwyraźniej udało mu się skądś uciec. Dalej uciekał przed... czymś.

Na tle wycia wiatru rozległ się przerażający ryk.

Daleko za Groverem, po drugiej stronie ulicy pojawiła się mroczna postać. Przewróciła uliczną latarnię, która wybuchła deszczem iskier.

Mój kumpel potknął się i jęknął przerażony. Muszę się stąd wydostać - mamrotał pod nosem. - Muszę ich ostrzec!

Nie widziałem, co go ściga, ale słyszałem, jak coś mruczy i przeklina. Ziemia zadrżała, kiedy się przybliżyło. Grover skoczył za róg ulicy i zawahał się, po czym skręcił w ślepy zaułek pełen sklepików. Nie miał

czasu, żeby się wycofać. Wicher wyrwał z zawiasów najbliższe drzwi. Szylt nad ciemną teraz witryną głosił: BUTIK ŚLUBNY.

Grover wpadł do środka i zanurkował wprost pod wieszak z białymi sukniami.

Przed sklepem przesunął się cień potwora.

Wyczułem jego smród: mdlącą kombinację wilgotnej wełny i

gniją-

cego mięsa, no i ten dziwny kwaskowaty odór, jaki wydzielają ciała potworów - niczym skunksy, które żywiły się wyłącznie meksykańskim żarciem.

Ukryty za sukniami ślubnymi Grover zadrżał. Cień potwora przemknął dalej.

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć deszczu. Grover odetchnął głęboko. Może to coś sobie poszło.

W tej samej chwili niebo rozdarła błyskawica. Cały front sklepu eksplodował, a potworny głos ryknął:

- MAAAM CIEĘĘ!

Skoczyłem na łóżku drżąc z przerażenia.

Nie było żadnego sztormu. Ani potwora.

Przez okno mojego pokoju wpadało poranne słońce.

Wydało mi się, że widzę cień przemykający po szkle - coś na kształt człowieka. Ale potem rozległo się pukanie do drzwi i głos mamy:

- Spóźnisz się, Percy!

I cień za oknem znikł.

To chyba tylko wyobraźnia płatała mi figle. Okno na piątym piętrze i rozklekotana drabina przeciwpożarowa za nim... nikogo nie mogło tam być.

- Chodź kochanie - zawołała znów mama. - Dziś ostatni dzień szkoły. Powinieneś się cieszyć! Prawie ci się udało!

- Już idę - wydusiłem z siebie.

Pomacałem pod poduszką. Zacisnąłem palce na długopisie, z którym zawsze śpiam, i to podziało uspokajająco. Wyciągnąłem go i

przyjrzałem się wyry-temu na nim starogreckiemu napisowi:

Anaklysmos.

Orkan.

Miałem ochotę go odetkać, ale coś mnie
powstrzymało. Od tak dawna nie używałem Orkana...

Poza tym mama wymogła na mnie obietnicę, że nie będę
posługiwał się śmiercionośną bronią w jej mieszka-niu, po tym jak
rzuciłem oszczepem w złą stronę i zlikwidowałem jej szafkę z porcelaną.
Odłożyłem Anaklysmosa na nocną szafkę i wygramoliłem się z łóżka.

Ubrałem się tak szybko, jak tylko mogłem. Starąłem się nie myśleć
o koszmarze, potworach i cieniu za moim oknem.

Muszę się stąd wydostać. Muszę ich ostrzec!

Co Grover miał na myśli?

Zgiałem trzy palce w pazury na wysokości serca i wykonałem taki
gest, jakbym coś od siebie odpychał -

starożytny znak odpędzający złe moce, którego kiedyś mnie
nauczył.

Ten sen nie mógł być prawdą.

Ostatni dzień szkoły. Mama miała rację, powinienem się cieszyć.

Po raz pierwszy w życiu niemal skończyłem rok i nie zostałem
wyrzucony. Nie wydarzyło się nic dziwnego. Ani jednym bójką w
klasie. Żaden z nauczycieli nie zamienił się w potwora i nie usiłował

otruc mnie drugim śniadaniem w stołówce czy też wysa-dzić w
powietrze w czasie klasówki. Jutro będę już w drodze do najfajniejszego
miejsca na świecie - Obozu Herosów.

Jeszcze tylko jeden dzień. Chyba nawet ja nie jestem już w stanie
wiele namieszać.

Jak zwykle nie miałem pojęcia; jak bardzo się pomyli-łem.

Mama zrobiła niebieskie gofry i niebieskie jajka na śniadanie. To jej osobista śmieszność; lubi obchodzić specjalne okazje, przygotowując niebieskie jedzenie -

jakby w ten sposób udowadniała, że wszystko jest możliwe. Percy może skończyć siódmą klasę. Gofry muszą być niebieskie. Takie drobne cuda.

Jadłem śniadanie przy kuchennym stole, a mama zmywała naczynia. Miała na sobie strój firmowy: niebieską spódnicę w gwiazdki i bluzkę w czerwono-białe paski, w których sprzedawała słodycze w sieciowej cukierni "Słodka Ameryka". Długie brązowe włosy związała w koński ogon.

Gofry były pyszne, ale najwyraźniej nie jadłem ich z takim zapalem jak zwykle. Mama odwróciła się do mnie i zmarszczyła brwi.

- Wszystko w porządku, Percy?

- Taaa... wszystko gra.

Ale ona wyczuwała, że coś mnie gnębiło. Wytarła ręce i usiadła naprzeciwko.

- Chodzi o szkołę czy...

Nie musiała kończyć pytania. Wiedziałem, o czym mówi.

- Obawiam się, że Grover jest w tarapatach -

odpowiedziałem i opisałem jej mój senny koszmar.

Zacisnęła usta. Nie rozmawialiśmy dużo o tej drugiej stronie mojego życia. Usiłowaliśmy żyć zupełnie zwyczajnie, ale mama wiedziała wszystko o Groverze.

- Nie przejmowałabym się zbytnio, kochanie -

powiedziała. - Grover jest już dorosłym satyrem. Gdyby były jakieś kłopoty, z pewnością dowiedzielibyśmy się czegoś... z obozu... - Zobaczyłem, że sztywniej, wymawiając słowo "obóz".

- O co chodzi? - spytałem.

- O nic - odrzekła. - Wiesz co? Dziś po południu świę-tujemy zakończenie roku szkolnego. Zabieram ciebie i Tysona do Rockefeller Center... do tego waszego ulubio-nego sklepu dla skejtów.

Rany, to było kuszące. Zawsze mieliśmy problemy z funduszami. Płaciliśmy za wieczorowe kursy mamy i moją prywatną szkołę, więc nie starczało nam pieniędzy na kupowanie takich rzeczy jak deskorolki. W jej głosie coś jednak mnie zaniepokoiło.

- Zaraz, zaraz - powiedziałem. - Dziś wieczorem mieli-śmy się pakować na wyjazd na obóz.

Zacisnęła palce na ścierce.

- Och, jeśli o to chodzi, kochanie... Dostałam w nocy wiadomość od Chejrona.

Serce podskoczyło mi do gardła. Chejron był koordy-natorem zajęć na Obozie Herosów. Nie kontaktowałby się z nami, gdyby nie chodziło o coś poważnego.

- Co powiedział?

- Uważa... że byc może powinieneś odłożyć wyjazd na obóz. Może tam być dla ciebie niebezpiecznie.

- Niebezpiecznie? I jak to odłożyć, mamó? Jestem istotą półkrwi! To dla mnie jedyne bezpieczne miejsce na ziemi!

- Zazwyczaj, kochanie. Ale zważywszy, jakie tam mają kłopoty...

- Jakie kłopoty?

- Percy... Tak bardzo mi przykro. Miałam nadzieję, że porozmawiamy o tym po południu. Nie jestem w stanie teraz ci tego wytłumaczyć i podejrzewam, że nawet Chejron miałby z tym problem. Wszystko wydarzyło się tak nagle.

Moje myśli szalały. Jak mógłbym nie pojechać na obóz? Chciałem zadać jeszcze setki pytań, ale właśnie w tej chwili zaczął biec zegar.

Na twarzy mamy dostrzegłem wyraz ulgi.

- Siódma trzydzieści, kochanie. Musisz już iść. Tyson na pewno czeka.

- Ale...

- Porozmawiamy po południu, Percy. Idź do szkoły.

To była ostatnia rzecz, na jaką miałbym ochotę, ale na twarzy mamy malowała się bezradność - rodzaj ostrzeżenia, że jeśli będę dalej naciskał, to ona się rozplacze. A poza tym miała rację co do Tysona. Muszę spotkać się z nim na stacji metra o umówionej godzinie, inaczej będzie nieszczęśliwy. Bał się sam podróżować kolejką podziemną.

Zebrałem swoje rzeczy, ale zatrzymałem się w drzwiach.

- Te kłopoty na obozie, mamó. Czy to... czy to może mieć związek z moim snem o Groverze?

Nie spojrzała mi prosto w oczy.

- Porozmawiamy po południu, kochanie. Wyjaśnię ci wszystko... co będę mogła.

Niechętnie się z nią pożegnałem i zbiegłem po schodach, żeby zdążyć na pociąg numer dwa.

Nie miałem jeszcze pojęcia, że do mojej popołudniowej rozmowy z mamą nie dojdzie.

Właściwie miało minąć dużo czasu, zanim znów zobaczę dom.

Wychodząc na ulicę, spojrzałem na stojący po drugiej stronie brązowy kamienny budynek. Jakiś ciemny kształt mignął mi w świetle słonecznym przez ułamek sekundy - ludzka sylwetka na tle muru, cień bez właściciela.

Następnie ów cień zafalował i zniknął.

ROZDZIAŁ II

MECZ ZBIJANEGO Z

KANIBALAMI

Dzień zaczął się normalnie. A w każdym razie nie mniej normalnie niż zazwyczaj w szkole podstawowej Meriwether.

Rozumiecie, to jest jedna z tych "postępowych" szkół w centrum Manhattanu, gdzie siedzi się na pufach zamiast w ławkach, nie dostaje się ocen, a nauczyciele przychodzą do pracy w dzinsach i koszulkach zespołów rockowych.

Mnie się to podoba. Mam ADHD i jestem dyslekty-kiem, podobnie jak większość dzieci półkrwi, więc słabo mi szło w zwykłych szkołach, z których zresztą w końcu mnie wywalano. Problem z Meriwether jest jednak taki, że tutejsi nauczyciele zawsze widzą wszystko w jasnych kolorach, a większość dzieciaków to... no, ciemnota.

Weźmy na przykład moją pierwszą lekcję tego dnia: angielski. Starsze klasy czytały powieść Władca much, w której grupka dzieci ląduje na bezludnej wyspie i wszystkim odbija. W ramach pracy zaliczeniowej nauczyciele wysłali nas na godzinę na podwórko bez opieki dorosłych, żeby zobaczyć, co się wydarzy. I co się wydarzyło? Wielka bijatyka między siódmą klasą i ósmą, dwie bójkę na kamienie i pełnokontaktowy mecz koszykówki. Większości z tych zabaw

przewodził szkolny tyran, Matt Sloan.

Sloan nie jest specjalnie wysoki, ani silny, ale zachowuje się tak, jakby był. Ma oczy bulteriera, potargane czarne włosy i zawsze nosi drogie, niechlujne ciuchy, jakby chciał wszystkim pokazać, że nic sobie nie robi z rodzinnych pieniędzy. Jeden z jego przednich zębów jest ułamany od czasu, kiedy zwinął ojcu z garażu porsche i wjechał w znak nakazujący zmniejszenie prędkości koło szkoły.

W każdym razie Sloan rozdawał wszystkim kuksańce, aż w końcu szturchnął również mojego kumpla Tysona, a to był błąd.

Tyson był jedynym bezdomnym dzieckiem w Meriwether. O ile byliśmy w stanie się zorientować z mamą, rodzice porzucili go we wczesnym dzieciństwie, pewnie dlatego, że jest taki... inny. Tyson ma prawie dwa metry wzrostu i jest zbudowany jak yeti, ale bez przerwy płacze i boi się wszystkiego, łącznie z własnym odbiciem w lustrze. Jego twarz jest nieco zdeformowana i mało przyjemna. Nie udało mi się zobaczyć, jaki ma kolor oczu, ponieważ nigdy nie zdołałem sięgnąć wzrokiem ponad jego krzywe zęby. Głos ma niski, ale mówi śmiesznie, jak dużo młodsze dziecko - zapewne dlatego, że przed pojawieniem się w Meriwether nigdy nie chodził do szkoły. Nosi zawsze powycierane džinsy, brudne sportowe buty rozmiaru 50 i dziurawą flanelową koszulę. Śmierdzi wielkomiejskimi zaułkami, ponieważ tam właśnie mieszka: w sporym tekturowym pudle po lodówce niedaleko 72. ulicy na Manhattanie.

Szkoła Meriwether przyjęła go w ramach programu integracyjnego, którego celem miało być polepszenie relacji między dziećmi. Problem w tym, że uczniowie w większości nie znosili Tysona. A kiedy odkryli, że to cienias, pomimo potężnej siły i przerażającego wyglądu, zajęli się polepszaniem relacji między sobą; solidarnie go dręcząc. W rezultacie byłem jego jedynym kumplem, co oznaczało, iż również on był moim jedynym kumplem.

Mama tysiąc razy skarżyła się w szkole, że nic nie robią, żeby Tyson lepiej tutaj się poczuł. Wzywała nawet pomoc społeczną, ale to nic nie dało. Pracownicy opieki uważali, że Tyson nie istnieje. Przysięgali na wszystkie świętości, że wielokrotnie odwiedzali zaułek, który im opisywaliśmy, i nie byli w stanie znaleźć Tysona, choć nie mam pojęcia, jak można nie zauważyć dwumetrowego nastolatka mieszkającego w pudle po lodówce.

W każdym razie Matt Sloan zaczął się za plecami Tysona i usiłował go szturchać, a Tyson spanikował i odepchnął go nieco zbyt mocno. Sloan poleciał jakieś pięć metrów i zaplątał się w huśtawkę z opon dla pierwszoklasistów.

- Ty kretynie! - wrzasnął Matt. - Wracaj do swojego kartonu!

Tyson zaczął pochlipywać. Usiadł na drabince z takim rozmachem, że skrzywił drążek, i ukrył twarz w dłoniach.

- Odszczekaj to, Sloan! - krzyknąłem.

Sloan spojrzał na mnie szyderczo.

- O co ci chodzi, Jackson? Mógłbyś mieć kumpli, gdybyś nie trzymał zawsze strony tego kretyna.

Zacisnąłem pięści. Miałem nadzieję, że moja twarz nie jest aż tak czerwona, jak mi się wydawało.

- On nie jest kretynem. On jest tylko...

Usiłowałem wymyślić, co mam powiedzieć, ale Sloan nie słuchał. On i jego wielcy, paskudni kolesie byli za bardzo zajęci wyśmiewaniem nas. Zastanawiałem się, czy to wyobraźnia płata mi figle, czy też rzeczywiście wokół Sloana zgromadziło się więcej osiłków niż zwykle.

Zazwyczaj widywało się go w towarzystwie jednego albo dwóch potężnie zbudowanych chłopaków, ale dziś kręciło się przy nim prawie dziesięciu, a ja byłem niemal pewny, że nigdy wcześniej ich nie widziałem.

- Zaczekaj tylko do wuefu, Jackson - zawołał Sloan. -

Już nie żyjesz!

Kiedy skończyła się przerwa, nauczyciel angielskiego, pan de Milo, wyszedł na podwórko, żeby ocenić szkody, i oznajmił, że zrozumieliśmy Władcę much doskonale i wszyscy zaliczyliśmy przedmiot, ale nigdy, przenigdy nie powinniśmy wyrosnąć na gwałtowników. Matt Sloan kiwał ochoczo głową, po czym posłał mi uśmiech ułama-nego zęba.

A ja musiałem obiecać Tysonowi, że na przerwie śniadaniowej kupię mu dodatkową kanapkę z masłem orzechowym, żeby przestał płakać.

- Czy ja... czy ja jestem kretynem? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałem z naciskiem, zgrzytając zębami. - To Matt Sloan jest kretynem.

Tyson pociągnął nosem.

- Dobry z ciebie kumpel. Będzie mi ciebie brakowało za rok, jeśli... jeśli nie będę...

Głos mu zadrżał. Uświadomiłem sobie, że Tyson nie ma pojęcia, czy dostanie się do szkoły w ramach kolejnego programu integracyjnego. Wątpiłem, czy dyrektor raczył z nim porozmawiać.

- Nie martw się, wielkoludzie - wydusiłem z siebie. -

Wszystko będzie w porządku.

Tyson spojrzał na mnie z taką wdzięcznością, że poczułem się jak najpodlejszy kłamca. Jak mogłem obiecać komus takiemu jak on, że cokolwiek będzie dobrze?

Zaraz potem mieliśmy egzami z nauk przyrodniczych.

Pani Tesla powiedziała nam, że mamy tak zmieszać chemikalia, żeby wywołać wybuch. Tyson był moim partnerem w laboratorium. Jego dłonie były o wiele za duże na małe naczynka, którymi mieliśmy się

po-sługiwac. Przez przypadek strącił z ławki tacę z odczy-nnikami i sprawił, że z kosza na śmieci wzniosła się pomarańczowa chmura w kształcie grzyba.

Kiedy pani Tesla ewakuowała już laboratorium i wezwała służby zajmujące się niebezpiecznymi odpada-mi, pochwaliła Tysona i mnie jako urodzonych chemików. Byliśmy pierwszymi uczniami w historii szkoły, którym udało się zdac u niej egzamin w niecałe półtorej minuty,

Cieszyłem się, że przedpołudnie mija szybko, ponieważ dzięki temu nie miałem czasu na rozmyślanie nad własnymi problemami. Nie mogłem wytrzymać z myślą, że pewnie coś złego dzieje się w Obozie Herosów.

A co gorsza, nie udawało mi się odpędzić wspomnienia mojego nocnego koszmaru. Miałem okropne przeczucie, że Grover jest w opałach.

Podczas testu z nauk społecznych, kiedy mieliśmy wyznaczać na mapie szerokość i długość geograficzną, otworzyłem notatnik i wpatrywałem się w zdjęcie, które było w środku - moja przyjaciółka Annabeth na waka-cjach w Waszyngtonie. Miała na sobie džinsy i džinsową kurtkę narzuconą na pomarańczową koszulkę Obozu Herosów. Na jasnych włosach zawiązała chustkę.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersi przed Lincoln Memo-rial - budowlą w której znajduje się pomnik Lincolna - i wyglądała na niezwykle zadowoloną z siebie, zupełnie jakby to ona ją zaprojektowała. Annabeth zamierza zo-stać architektem, jak dorośnie, toteż zawsze stara się odwiedzić wszystkie ważne budowle i takie tam. To jej

osobiste dziwactwo. Wysłała mi e-mailem to zdjęcie podczas ferii zimowych, więc zerkąłem na nie raz po raz, żeby nie zapomnieć, że ona naprawdę istnieje, a Obóz Herosów nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

Bardzo żałowałem, że Annabeth nie ma przy mnie.

Ona widziałaby, co sądzic o moim śnie. Nigdy się przed nią do tego nie przyznam, ale wiem, że jest ode mnie bystrzejsza, nawet jeśli czasem mnie to irytuje.

Miałem właśnie zamknąć notatnik, kiedy Matt Sloan wyciągnął rękę i wyrwał mi zdjęcie.

- Ej! - zaprotestowałem.

Sloan spojrział na fotografię i wybałuszył oczy ze zdumienia.

- Niemożliwe, Jackson. Kto to jest? To chyba nie twoja...

- Oddawaj! - czułem, że się czerwienię po same uszy.

Sloan podał zdjęcie swoim paskudnym koleśiom; którzy zarechotali i zaczęli je drzec, żeby ze strzępów zrobić sobie kulki do strzelania. Oni zdecydowanie byli nowi, pewnie z wizytą z innej szkoły, ponieważ wszyscy mieli przypięte do koszulek te głupie plakietki z napi-sem "CZEŚĆ! MAM NA IMIĘ...", które dostaje się w sekretariacie. Musieli mieć również specyficzne poczucie humoru, ponieważ wszyscy wpisali sobie dziwaczne przezwiska typu WYSYSACZ SZPIKU, POŻERACZ CZASZEK i JOE BOB. Żaden normalny człowiek tak się nie nazywa.

- Oni dołączą do naszej klasy w przyszłym roku -

powiedział Sloan takim tonem, jakby to miało mnie przerazić. - Jestem pewny, że będą w stanie opłacić chesne w przeciwieństwie od twojego opóźnionego kumpla.

- On nie jest opóźniony - musiałem się naprawdę bardzo powstrzymywać, żeby nie trzasnąć Sloana w dziób.

Jego wielcy kumple przeżuwalili moje zdjęcie. Miałem ochotę rozetrzec ich na proszek, ale Chejron wyraźnie przykazał mi, że nie wolno wyładowywać gniewu na zwykłych śmiertelnikach, niezależnie od tego, jak bardzo byliby nieznośni. Walczyć wolno jedynie z potwo-rami.

A jednak coś mi podpowiadało, że gdyby tylko Sloan wiedział, kim naprawdę jestem...

Rozległ się dzwonek.

Kiedy teraz z Tysonem wychodziliśmy z klasy, usłyszałem za sobą szept jakiejś dziewczyny.

- Percy!

Rozejrzałem się po korytarzu z szafkami, ale nikt na mnie nie patrzył. Jakby to w ogóle było możliwe, żeby dziewczyna z Meriwether zawołała mnie po imieniu.

Zanim zdążyłem się zastanowić, czy znów wyobraźnia płata mi figle, tłum uczniów ruszył do sali gimnastycznej, porywając Tysona i mnie razem z sobą.

Czas na wuef. Trener obiecał nam wielki mecz w zbijanego, a Matt Sloan obiecał, że mnie zabije.

Stroje sportowe w Meriwether składają się z błękitnych spodenek i wielokolorowych, ręcznie farbowanych koszulek. Na szczęście większość zajęć odbywa się na terenie szkoły, toteż nie musimy biegać po Nowym Jorku niczym banda młodocianych hipisów z obozu poprawczego.

Przebrałem się w szatni tak szybko, jak tylko się dało, bo nie chciałem się spotykać ze Sloanem. Miałem już wychodzić, kiedy zawołał mnie Tyson.

- Percy?

Jeszcze się nie przebrał. Stał w drzwiach siłowni, ściskając w ręce strój.

- Czy mógłbyś... no...

- Ach. Tak - usiłowałem ukryć irytację. - Jasne, chłopie.

Tyson zanurkował w siłowni, a ja stałem na straży na zewnątrz,

kiedy się przebierał. Czułem się z tym nieco dziwnie, ale on zazwyczaj prosił mnie o tę przy-sługę.

Podejrzywałem, że to dlatego, że jest bardzo owłosiony, a poza tym ma na plecach dziwaczne blizny, o których pochodzenie nigdy nie odważyłem się zapytać.

Przekonałem się jednak na własnej skórze, że jeśli ktoś się naśmiewa z Tysona, kiedy ten się przebiera, on się strasznie denerwuje i zaczyna wyrywać drzwi z framug.

Kiedy weszliśmy do sali gimnastycznej, trener Nunley siedział przy swoim niewielkim biurku, czytając gazetę sportową. Nunley miał chyba milion lat, nosił grube okulary, brakowało mu zębów, a jego siwe włosy były zawsze tłuste. Przypominałby mi wyrocznie w Obozie Herosów - która była skurczoną mumią - gdyby nie to, że poruszał się jeszcze mniej niż ona, no i nie pluł

zielonym dymem. W każdym razie nigdy go na tym nie przyłapałem.

- Trenerze - zwrócił się do niego Matt Sloan. - Czy mogę być kapitanem?

- Że co? - Nunley podniósł wzrok znad gazety. -

Taaak - wymamrotał. - Mhm.

Sloan uśmiechnął się szeroko i zajął się wybieraniem drużyn. Zrobił mnie kapitanem drugiej, ale moje ewentualne wybory nie miały żadnego znaczenia, ponieważ wszyscy najlepsi gracze i najbardziej lubiani kumple przechodzili na jego stronę. Podobnie jak wielka grupa gości.

Matt Sloan wyrzucił na podłogę sali gimnastycznej cały kosz piłek.

- Boję się - wymamrotał Tyson. - Dziwny zapach.

Spojrzałem na niego.

- Co ma dziwny zapach? - nie podejrzewałem, żeby mówił o sobie.

- Oni - Tyson wskazał na nowych kumpli Sloana. -

Dziwnie pachną.

Goście rozciągali palce, strzelając knykciami i zerka-jąc w naszą stronę, jakby nadszedł czas na jatkę.

Ciągle myślałem skąd oni mogą być. Pewnie z jakiejś szkoły, gdzie karmi się uczniów surowym mięsem i bije trzcina.

Sloan dmuchnął w gwizdek trenera i gra się rozpoczę-

ła. Jego drużyna popędziła ku linii środkowej. Po mojej stronie Raj Mandali wrzasnął w języku urdu coś, co zapewne znaczyło "muszę siku!" i pognął ku wyjściu.

Corey Bailer usiłował wpełznąć pod stojącą pod ścianą matę i schować się za nią. Pozostali członkowie mojej drużyny, kuląc się ze strachu, robili, co mogli, żeby nie wyglądać na świetny cel.

- Tyson - powiedziałem. - Weźmy...

Dostałem piłkę w brzuch. Usiadłem na środku sali gimnastycznej. Drużyna przeciwna wybuchnęła śmiechem.

Przed oczami miałem mgłę. Czuję się tak, jakbym właśnie znalazł się w uchwycie zapaśniczym goryla. Nie wydawało mi się, żeby ktokolwiek był w stanie rzucić piłką tak mocno.

- Percy, kryj się! - wrzasnął Tyson.

Przetoczyłem się po podłodze, kiedy kolejna piłka prze-leciała mi koło ucha z prędkością dźwięku.

Łuuup!

Uderzyła w matę pod ścianą. Corey Bailer zawył.

- Ej! - krzyknąłem w stronę drużyny Sloana. -

Możecie kogoś zabić!

Joe Bob posłał mi w odpowiedzi okrutny uśmiech.

Dziwne, ale wydał mi się nagle znacznie wyższy...

wyższy nawet niż Tyson. Pod koszulką rysowały się potężne bicepsy.

- Mam nadzieję, Perseuszu Jacksonie! Mam nadzieję!

Moje imię wymówił tak, że ciarki przeszły mi po plecach. Nikt mnie nie nazywał Perseuszem oprócz tych, którzy znali moją prawdziwą tożsamość. Czyli oprócz moich przyjaciół... i wrogów.

Co takiego powiedział Tyson? Że oni dziwnie pachną... Potwory.

Goście otaczający Matta Sloana rośli w oczach. Nie byli już po prostu wyrostkami. Stali się dwuipółmetro-wymi olbrzymami o dzikich oczach, ostrych zębach i owłosionych rękach wytatuowanych w węże, tancerki brzucha i przebite strzałą serduszka.

Matt upuścił piłkę.

- Rany! Nie jesteście z Detroit! Kim...

Inne dzieciaki z jego drużyny zaczęły wrzeszczec i pchac się do wyjścia, ale olbrzym o imieniu Wysysacz Szpiku rzucił piłką z upiorną precyzją. Przeleciała tuż obok Raja Mandali, który właśnie miał wybiec z sali, i uderzyła w drzwi, zatraskując je magicznie. Raj i gromadka innych dzieciaków rozpaczliwie waliła w nie pięściami, ale nie ustępowały.

- Wypuście ich! - wrzasnałem w stronę olbrzymów.

Ten, który miał na imię Joe Bob, warknął w moim kierunku. Na bicepsie miał tatuaż z napisem "JB kocha Cukiereczka".

- Mamy stracic takie smakowite kąski? Nie, synu Pana Mórz. Lajstrygonowie nie grają tylko o twoje życie.

Jesteśmy głodni!

Machnął ręką i na linii środkowej pojawił się kolejny zestaw piłek - niestety, tym razem nie były one zrobione z czerwonej gumy. Były ze spiżu, wielkości kul arma-tnich, dziurkowane niczym kule do kręgli, a z otworów wydobywał się ogień. Musiały być koszmarnie gorące, ale olbrzymi podnosili je bez problemu gołymi rękami.

- Trenerze! - zawołałem.

Nunley spojrział przed siebie zaspanym wzrokiem, ale jeśli nawet dostrzegł cokolwiek niezwykłego w naszym meczu, nie dał tego po sobie poznać. Na tym właśnie polega problem ze śmiertelnikami. Magiczna moc zwana mgłą zasłania przed ich wzrokiem prawdziwą naturę potworów i bogów, w związku z czym zwykli ludzie widzą jedynie to, co są w stanie zrozumieć. Niewykluczone, że wuefista widział tylko kilku ośmioklasistów jak zwykle dających wycisk młodszym uczniom. Być może pozostali chłopcy widzieli kumpli Sloana gotujących się do rzucania koktajli Mołotowa. (Nie byłby to pierwszy taki przypadek). Jednego niemal byłem pewny: nikt poza mną nie zdawał sobie sprawy, że mamy do czynienia z prawdziwymi ludożerczymi, żądnymi krwi potworami.

- Taaak. Mhm. - wymamrotał trener. - Bawcie się grzecznie.

I wrócił do swojej gazety.

Olbrzym o imieniu Pożeracz Czaszek rzucił piłką.

Uchyliłem się, a ognista spiżowa kometa przemknęła tuż koło mojego ramienia.

- Corey! - krzyknąłem.

Tyson wyciągnął go zza maty gimnastycznej na moment przed tym, jak rozbiła się na niej kula, pozostawiając z maty jedynie dymiące wióry.

- Uciekajcie! - poleciłem mojej drużynie. - Drugim wejściem!

Rzucili się w stronę szatni, ale wystarczyło kolejne machnięcie ręką Joe Boba i również tamte drzwi się zatrzasnęły.

- Nikt stąd nie wyjdzie, chyba że wypadnie z gry! -

ryknął Joe Bob. - A nie wypadniecie z gry, dopóki was nie zjemy!

Cisnął własną ognistą kulą. Moja drużyna rozpie-rzchła się, a kula wypaliła krater pośrodku sali gimnastycznej.

Sięgnąłem po Orkana, którego zawsze noszę w kieszeni, ale uświadomiłem sobie, że mam na sobie spodenki gimnastyczne, które nie mają kieszeni. Orkan tkwił w moich džinsach w szafce w szatni. A drzwi do szatni były zamknięte. Byłem całkowicie bezbronny.

W moją stronę leciała kolejna ognista kula. Tyson popchnął mnie w bok, ale eksplozja i tak zwała mnie z nóg. Chwilę później leżałem na podłodze, oszołomiony dymem, w farbowanej koszulce upstrzonej nadpalonymi dziurami. Po drugiej stronie linii środkowej dwaj głodni olbrzymi wbijali we mnie wzrok.

- Mięso! - ryknęli. - Mięso herosa na śniadanie!

I obaj się zamierzili.

- Percy potrzebuje pomocy! - wrzasnął Tyson i zasłonił mnie swoim ciałem w chwili, gdy cisnęli kule.

- Tyson! - krzyknąłem, ale było już za późno.

Obie kule uderzyły w niego... Nie... On je złapał! W

jakiś sposób ten sam Tyson, który był tak niezgrabny, że regularnie strącał wyposażenie laboratoryjne i rozwaliał

konstrukcje na placu zabaw, złapał dwie ogniste, meta-lowie kule pędzące ku niemu z prędkością biliona kilometrów na godzinę. Odesłał je ku ich zaskoczonym właścicielom, którzy zdążyli wrzasnąć "ZUUUUOOO!" w chwili, gdy spiżowe piłki wybuchły, trafiając prosto w nich.

Olbrzymi rozproszyli się w dwie ogniste kolumny -

co stanowiło przynajmniej ostateczny dowód na to, że byli potworami. Potwory nie giną. Rozpadają się po prostu w dym i pył, co oszczędza herosom kłopotów ze sprząta-niem po walce.

- Moi bracia! - zawył Joe "Kanibal" Bob. Napiął mię-śnie, aż tatuaż z Cukiereczkiem zafalował. -

Zapłacisz za ich zniszczenie!

- Tyson! - zawołałem. - Uważaj!

Ku nam leciała kolejna kometa. Mój kumpel ledwie zdążył odrzucić ją w bok. Poleciała prosto nad głowę trenera Nunleya i wylądowała na trybunach z potężnym BUM!

Po całej sali biegali uczniowie, wrzeszcząc i próbując nie wpadac w zionące ogniem kratery, którymi poorana była podłoga. Inni walili w drzwi, wzywając pomocy.

Sloan stał po środku sali jak skamieniały, rozglądając się z niedowierzaniem za latającymi wokół niego śmie-rtelnymi pociskami.

Trener Nunley wciąż niczego nie dostrzegał.

Postukał w swój aparat słuchowy, jakby eksplozje powodowały jakieś zakłucenia, ale nie podnosił oczu znad gazety.

Hałas niewątpliwie było słychać w całej szkole. Ktoś w końcu przybędzie nam na pomoc - dyrektor albo policja.

- Zwycięstwo będzie nasze! - ryknął Joe "Kanibal"

Bob. - Będzie jeszcze uczta z twoich kości!

Miałem ochotę powiedzieć mu, że trochę za bardzo się przejmuję grą w zbijanego, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, uniósł kolejną kulę. Trzej pozostali olbrzymi zrobili to samo.

Wiedziałem, że już po nas. Tyson nie będzie w stanie odeprzec wszystkich tych pocisków na raz. Musiał

mieć poważnie poparzone ręce po tym, jak zablokował pierw-szy strzał. Bez mojego miecza...

Przyszedł mi do głowy wariacki pomysł.

Rzuciłem się ku drzwiom prowadzącym do szatni.

- Z drogi! - krzyknąłem do mojej drużyny. - Odsunąć się od drzwi!

Za mną rozległy się wybuchy. Tyson odrzucił dwie kule z powrotem ku ich właścicielom, rozbijając ich w proch.

Zatem zostało nam jeszcze dwóch olbrzymów.

Trzecia kula leciała prosto na mnie. Zastygłem na chwilę w

bezruchu - raz, dwa, trzy, cztery, pięć - po czym uchyliłem się, pozwalając jej rozwalic drzwi do szatni.

Zakładałem, że gaz zbierający się w większości szatni chłopców wystarczy, żeby wywołać eksplozję, a zatem nie zdziwiłem się, kiedy płonąca piłka do zbijane-go wybuchła z głośnym ŁUUUUP!

Ściana się rozleciała. Drzwiczki szafek, skarpetki, sprzęt z siłowni i przeróżne paskudne rzeczy osobiste zasypały całą salę gimnastyczną.

Odwróciłem się w chwili, gdy Tyson rąbnął
Pożeracza

Czaszek w twarz, dosłownie zgniatając olbrzyma. Ale ostatni z napastników, Joe Bob, roztropnie nie wypu-szczał z ręki swojej piłki, czekając na nadarzącą się okazję. Rzucił dokładnie w chwili, kiedy Tyson odwrócił się ku niemu.

- Nie! - krzyknąłem.

Kula trafiła Tysona w sam środek piersi, odrzucając go na całą odległość sali gimnastycznej, tak że uderzył w tylną ścianę, która pękła i częściowo runęła na niego.

Przez dziurę było widac ulicę. Nie miałem pojęcia jakim cudem Tyson zdołał to przeżyć, ale on wyglądał jedynie na lekko oszołomionego. Spiżowa kula dymiła u jego stóp. Usiłował ją podnieść, ale ogłuszony upadł z powro-tem na stertę pustaków.

- Doskonale! - zawołał radośnie Joe Bob. - Zostałem tylko ja! Będę miał dość mięsa, żeby przynieść Cukiere-czkowi na obiad!

Podniósł kolejną kulę i zamierzył się na Tysona.

- Stój! - zawołałem. - Przecież to o mnie chodzi!

Olbrzym się rozpromienił.

- Chcesz umrzec pierwszy, herosku?

Usiłowałem coś wymyślić. Orkan musiał być gdzieś w pobliżu.

W tej samej chwili dostrzegłem moje dzinsy leżące na dymiącej stercie ubrań tuż pod nogami olbrzyma.

Gdybym tylko zdołał się tam dostac... Wiedziałem, że to beznadziejne, ale rzuciłem się naprzód.

Olbrzym zarechotał.

- Śniadanko samo ku mnie zmierza. - Uniósł rękę do rzutu.

A ja pogodziłem się ze śmiercią.

Niespodziewanie znieruchomiał, a wyraz jego twarzy zmienił się z triumfalnego na zaskoczony. Jego koszulka rozdarła się dokładnie w tym miejscu, gdzie powinien mieć pępek, a z dziury wyrosło coś na kształt rogu - nie, nie rogu... To było lśniące ostrze.

Kula wypadła mu z rąk. Potwór gapił się na nóż, który właśnie go przedziurawił od tyłu.

- Oj - wymamrotał i rozpadł się w chmurę zielonego płomienia, co, jak się domyślałem, raczej nie ucieszy Cukiereczka.

Pośrodku słupa dymu stała moja przyjaciółka Annabeth. Jej twarz była brudna i podrapana. Annabeth miała przerzucony przez ramię podarty plecak, z kieszeni wystawała jej bejsbolówka, w ręce niosła spiżowy sztylet, a jej stalowoszare oczy płonęły dziko, jakby przez tysiąc kilometrów ścigała ją armia upiorów.

Matt Sloan, który przez cały czas stał oszołomiony na środku sali, w końcu odzyskał zmysły. Zamrugał oczami na widok Annabeth, jakby z trudem rozpoznawał w niej osobę z mojego zdjęcia.

- To ta dziewczyna... To ta dziewczyna...

Annabeth walnęła go w nos, przewracając na ziemię.

- A ty - oznajmiła - odczep się od mojego kumpla.

Sala gimnastyczna płonęła. Wszędzie dookoła biegały dzieciaki, strasznie wrzeszcząc. Słyszałem wycie syren i zniekształcony głos w interkomie. Przez szklane drzwi

wejściowe widziałem dyrektora szkoły, pana Bonsai, walczącego z zamkiem. Za nim tłoczyli się pozostali nauczyciele.

- Annabeth... - wydukałem. - Jak ci się... od kiedy tu jesteś...

- Mniej więcej od rana. - Schowała swój spizowy sztylet. -

Próbowałam znaleźć dobry moment, żeby z tobą pogadać, ale nigdy nie byłeś sam.

- Ten cień, który widziałem dziś rano... to byłaś... -

Poczułem, że się rumienie. - Bogowie, to ty zaglądałaś przez moje okno?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! - warknęła, chociaż na jej twarzy też malowało się coś na kształt rumieńca. -

Po prostu nie chciałam, żeby...

- Uwaga! - krzyknęła jakaś kobieta. Drzwi otwarły się i dorośli wbiegli tłumnie do sali.

- Spotkamy się na zewnątrz - powiedziała do mnie Annabeth. - On też. - Wskazała na Tysona, wciąż siedzącego w oszołomieniu pod ścianą. Rzuciła mu spojrzenie pełne niesmaku, który nie do końca rozumiałem. - Lepiej weź go ze sobą.

- Że co?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! - odparła. - Pospiesz się!

Założyła bejsbolówkę, magiczny prezent od jej matki, i natychmiast znikła.

Ja zaś stałem samotnie pośrodku płonącej sali gimnastycznej, kiedy wtargnął do niej dyrektor wraz z połową grona nauczycielskiego oraz kilkoma funkcyjami policji.

- Percy Jackson? - odezwał się pan Bonsai. - Co...

Jak...?

Siedzący pod rozwaloną ścianą Tyson jęknął i podniósł się spomiędzy pustaków.

- Boli głowa.

Matt Sloan powoli również odzyskiwał przytomność.

Spojrzał na mnie z przerażeniem.

- To sprawka Percy'ego, panie Bonsai! To on podpalił szkołę!

Trener Nunley to potwierdzi! Wszystko widział!

Trener Nunley przez cały czas grzecznie czytał swoją gazetę, ale - mój pech - uniósł głowę akurat w tej chwili, kiedy Sloan wymówił jego nazwisko.

- Eee? Taaak. Mhm.

Wszyscy dorośli zwrócili się ku mnie. Wiedziałem, że przenigdy mi nie uwierzą, nawet gdybym opowiedział im całą prawdę.

Wyciągnąłem Orkana z moich zniszczonych džinsów, rzuciłem szybkie "spadamy!" w kierunku Tysona, po czym skoczyłem przez dziurę w ścianie szkolnego budynku.

R O Z D Z I A Ł III

PRZYWOŁUJEMY PRZEKLĘTĄ
TAKSÓWKĘ

Annabeth czekała na nas w zaułku koło Church Street.

Zgarnęła Tysona i mnie z chodnika dokładnie w chwili, kiedy wóz straży pożarnej przemknął obok na syrenie, zmierzając ku szkole Meriwether.

- Skąd ty wyrzasnąłeś tego tu? - spytała władcym tonem, wskazując palcem na Tysona.

W każdych innych okolicznościach cieszyłbym się ze spotkania z nią. Poprzedniego lata zawarliśmy pokój, mimo iż jej matką jest Atena, która niezbyt dobrze dogaduje się z moim ojcem. Tęskniłem za Annabeth znacznie bardziej, niż byłbym skłonny przyznac.

Ale teraz dopiero co zostałem zaatakowany przez olbrzymich ludożerców, Tyson uratował mi ze trzy albo cztery razy życie, a Annabeth tylko gapiła się na niego tak, jakby to on stanowił problem.

- To mój kumpel - odpowiedziałem.

- Jest bezdomny?

- A co to ma do rzeczy? On też słyszy co mówisz, wiesz? Dlaczego nie zapytasz jego?

Wyglądała na zaskoczoną.

- On potrafi mówić?

- Owszem - przytaknął Tyson. - Jesteś ładna.

- Och, fuj! - Annabeth odsunęła się od niego.

Nie byłem w stanie uwierzyć, że zachowuje się tak chamsko. Przyjrzałem się rękom Tysona, które powinny być paskudnie poparzone przez płonące piłki. Te jednak wyglądały całkiem dobrze - osmolone i pokryte bliznami, z brudnymi paznokciami wielkości chipsów... ale przecież zawsze tak wyglądały.

- Tyson - powiedziałem z niedowierzaniem. - Ty nawet nie poparzyłeś rąk.

- Oczywiście, że nie - odburknęła Annabeth. - Dziwi mnie to, że Lajstrygonowie odważyli się cie zaatakować w jego towarzystwie.

Tyson najwyraźniej nie mógł się nadziwić blond włosom Annabeth. Usiłował ich dotknąć, ale ona pacnęła go w rękę.

- Annabeth - odezwałem się. - O co chodzi z tymi Lajstry-coś-tam?

- Lajstrygonami. Te potwory z sali gimnastycznej to gatunek ludożerczych olbrzymów, które mieszkają na dalekiej północy. Odyseusz raz się na nich natknął, ale nie słyszałam, żeby kiedykolwiek zapuszczali się tak daleko na południe, aż do Nowego Jorku.

- Lajstry...ja nawet nie potrafię tego powtórzyć. Jak oni się nazywają w jakimś ludzkim języku?

Zamyśliła się chwilę.

- Kanadyjczycy - uznała w końcu. - Chodź, musimy się stąd wydostać.

- Policja będzie mnie szukać.

- To najmniejszy z naszych problemów - odparła. - Miałeś sny?

- Sny... o Groverze?

Pobladła.

- O Groverze? Nie... O co chodzi z Groverem?

Opowiedziałem jej mój koszmar.

- Czemu pytasz? Co tobie się śniło?

W jej oczach czaiła się burza, jakby jej myśli wirowały w tempie miliona obrotów na sekundę.

- Chodzi o obóz - powiedziała w końcu. - Mają tam poważny problem.

- Mama mówiła to samo! Ale jaki problem?

- Nie wiem dokładnie. Coś jest nie w porządku.

Musi-my się tam jak najszybciej dostać. Potwory ścigały mnie

przez całą drogę z Wirginii, usiłując mnie powstrzymać. Ciebie często atakowały?

Pokręciłem przecząco głową.

- Przez cały rok ani razu... Aż do dziś.

- Ani razu? Ale jakim cudem... - Jej wzrok powędrował w kierunku Tysona. - Ach.

- Co ma znaczyć to "ach"?

Tyson uniósł rękę, jakby był na lekcji.

- Ci Kanadyjczycy na wuefie nazwali Percy'ego jakoś tak... synem Pana Mórza?

Wymieniliśmy z Annabeth spojrzenia.

Nie miałem pojęcia, jak to wyjaśnić, ale uznałem, że Tysonowi należy się prawda za to, że omal nie dał się zabić.

- Słuchaj wielkoludzie - zacząłem. - Słyszałeś kiedyś te stare opowieści o greckich bogach? Zeus, Posejdon, Atena...

- Tak - odparł Tyson.

- No więc...ci bogowie wciąż żyją. Tak jakby kręcą się po świecie śladami cywilizacji Zachodu, mieszkając w jej najsilniejszych ośrodkach, jak teraz w Ameryce. A czasami mają dzieci ze śmiertelnikami. To są dzieci półkrwi.

- Tak - odpowiedział Tyson, jakby wciąż czekał aż dojdę do sedna.

- No więc... Annabeth i ja jesteśmy takimi dziećmi półkrwi - powiedziałem. - Herosami w trakcie szkolenia.

A jeśli potwory wyczują nasz zapach, atakują. Tym właśnie byli ci olbrzymi z sali gimnastycznej. Potworami.

- Tak

Gapiałem się na niego jak głupi. Tyson nie wydawał się zaskoczony ani zmieszany z powodu tych wszystkich rewelacji, a to z kolei sprawiało, że ja czułem się zaskoczony i zmieszany.

- Wierzysz w to, co mówię?

Tyson potaknął.

- A ty jesteś... synem Pana Mórza?

- Taa... - przyznałem się. - Moim tatą jest Posejdon.

Tyson zmarszczył brwi. Teraz wydawał się zakłopotany.

- Ale w takim razie...

Rozległo się wycie syreny. Obok naszego zaułka prze-mknął radiowóz.

- Nie mamy na to czasu - oznajmiła Annabeth. -

Pogadamy w taksówce.

- Chcesz jechać taksówką aż do obozu? - spytałem. -

Czy ty wiesz, ile to...

- Zaufaj mi.

Zawahałem się.

- A co z Tysonem?

Wyobraziłem sobie podróż do Obozu Herosów z moim wyrośniętym kumplem. Skoro on umiera ze strachu na zwykłym placu zabaw, gdzie spotyka najzwyklejszych szkolnych chuliganów, to jak się zachowa na placu treningowym dla półbogów? Ale z drugiej strony będzie-my poszukiwani przez policję.

- Nie możemy go po prostu zostawić - uznałem. - On też może mieć kłopoty.

- Owszem - Annabeth miała ponurą minę. -

Zdecydowanie musimy go zabrać. Chodźmy.

Nie podobał mi się jej ton, jakby Tyson był jakimś potwornym wrzodem, z którym trzeba jak najszybciej jechać do szpitala, ale ruszyłem za nią zaułkiem. W

trójkę cicho przemknęliśmy bocznymi ulicami do centrum, a za nami z ruin sali gimnastycznej mojej szkoły unosił się ku niebu ogromny

słup dymu.

- Tutaj - Annabeth zatrzymała się na rogu ulic Thomas i Trimble i zaczęła grzebac w plecaku. - Mam nadzieję, że została mi jeszcze jedna.

Wyglądała gorzej, niż mi się wcześniej wydawało i miała szramę na podbródku. W jej włosy zaplątały się gałązki i żdzbla trawy, jakby spędziła kilka nocy na łonie przyrody. Rozdarcia na brzegach jej dzinsów podejrzanie przypominały ślady po pazurach.

- Czego szukasz? - spytałem.

Wokół nas wyły syreny. Pomyślałem sobie, że nie minie dużo czasu zanim gliny rozszerzą obszar poszuki-wań małoletnich przestępców, którzy wysadzili w powie-trze salę gimnastyczną. Matt Sloan z pewnością złożył już zeznania. I pewnie nagiął fakty w ten sposób, żebyśmy to my z Tysonem wyszli na krwiożerczych kanibali.

- Mam jedną, bogom niech będą dzięki! - Annabeth wyciągnęła złotą monetę, w której rozpoznałem drachmę, olimpijską walutę. Na awersie widniała głowa Zeusa, na rewersie zaś Empire State Building.

- Annabeth - zwróciłem jej uwagę - nowojorscy taksówkarze nie przyjmą czegoś takiego.

- Stethi - zawołała po starogrecku. - O harma dio boles!

Jak zwykle, kiedy przemówiła w języku Olimpu, jakimś cudem zrozumiałem, co to znaczyło. Powiedziała: Zatrzymaj się, Rydwanie Nienawiści!

Nie żeby jej słowa natchnęły mnie optymizmem co do jej planu, jakkolwiek on był.

Rzuciła monetę na jezdnię, a drachma utonęła w asfalcie i znikła, zamiast zabrzęzc, jak można by się spodziewać.

Przez chwilę nic się nie działo.

Następnie, dokładnie w miejscu, gdzie spadła moneta, asfalt pociemniał. Wytopił się w regularny prostokąt, mniej więcej rozmiarów miejsca parkingowe-go. który bulgotał jakąś ciemnoczerwoną, przypominającą krew cieczą. Chwilę później z tej mazi wyłonił się samochód.

Była to niewątpliwie taksówka, ale w przeciwieństwie do wszystkich taryf w Nowym Jorku nie była żółta, lecz w kolorze szarego dymu. To znaczy wyglądała, jakby była utkana z dymu, jakby można było przejść przez nią na przestrzał. Na drzwiczkach widniały jakieś litery - coś, co wyglądało jak CRATA GRIXAJ - ale moja dysleksja utrudniała odcyfrowanie napisu.

Okno po stronie pasażera otwarło się i wychyliła się przez nie głowa starej kobiety. Na oczy spadała jej grzywka posiwiałych włosów, a kiedy się odezwała, mówiła tak niewyraźnie, jakby przed chwilą dostała dawkę środka paraliżującego.

- Jaki kursik?

- Troje do Obozu Herosów - oznajmiła Annabeth.

Otworzyła tylne drzwiczki taksówki i gestem kazała mi wsiąść do środka, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

- Ale, ale! - zaskrzeczała starucha. - Takich jak on nie wozimy!

Wskazała kościstym palcem na Tysona.

O co chodzi? Czyżbyśmy obchodzili Dzień Znęcania się nad Brzydalami?

- Dopłacę - obiecała Annabeth. - Dam trzy dodatkowe drachmy na miejscu.

- Niech będzie! - krzyknęła starucha.

Wsiadałem do taksówki z pewną niechęcią. Tyson wcisnął się na środkowe miejsce. Annabeth wgramoliła się ostatnia.

Wnętrze również było szare jak dym, ale sprawiało wrażenie dość

solidnego. Kanapa zapadała się miejsca-mi i była popękana - ale to akurat nie odróżniało tego pojazdu od większości taksówek. Między nami a prowa-dzącą staruchą nie było natomiast przegrody z pleksi-glasu... Zaraz, zaraz. To nie była tylko jedna starucha. Były aż trzy, ściśnięte na przednim siedzeniu, wszystkie ze strąkami włosów opadającymi na oczy, kościstymi rękami i w sukniach z wypłowiałego czarnego płótna.

Ta która prowadziła, powiedziała:

- Long Island! Kurs na strefę pozamiejską! Ha!

Nacisnęła pedał gazu, aż uderzyłem potylicą w zagłó-wek. W głośniku rozległ się nagrany wcześniej komuni-kat: Witajcie, tu Ganimedes, podczaszy pana Zeusa! Podczas podróży w poszukiwaniu wina dla Pana Niebios zawsze zapinaj pasy!

Spojrzałem w dół i dostrzegłem gruby czarny łańcuch w miejscu, gdzie normalnie znajdują się pasy.

Uznałem, że jeszcze nie osiągnąłem takiego stopnia desperacji. Jeszcze.

Taksówka pomknęła na zachodni Broadway.

- Uwaga! Na lewo! - zaskrzeczała siedząca pośrodku starucha.

- No cóż, gdybyś dała mi oko, Nawałnico, mogłabym to zobaczyć!

- zwróciła jej uwagę kierująca samochodem.

Chwileczkę. Gdyby dała jej oko?

Nie miałem czasu na pytania, ponieważ taksówka wykonała ostry skręt, żeby wyminąć nadjeżdżającą z naprzeciwka furgonetkę dostawczą, wjechała na krawę-żnik z podskokiem, od którego zagrzechotały mi zęby, po czym popędziła dalej przed siebie.

- Sekutnico! - odezwała się do kierującej trzecia starucha. - Dawaj monetę dziewczyny! Chcę ją ugryźć!

- Gryzłaś poprzednią, Wścieklico! - odpowiedziała ta, której na

imię było Sekutnica. - Tym razem moja kolej!

- Nieprawda! - wrzasnęła starucha imieniem Wścieklica.

- Czerwone! - ryknęła środkowa, nazwana wcześniej Nawałnicą.

- Hamulec! - zawyła Wścieklica.

Sekutnica jednak nacisnęła mocniej gaz i przejechała po krawężniku, z piskiem wpadając za róg i przewracając stojak z gazetami. Mój żołądek pozostał

jakieś dwie przecznice za nami.

- Przepraszam - odezwałem się. - Czy panie...
widzą?

- Nie! - odkrzyknęła Sekutnica zza kółka.

- Nie! - rzuciła Nawałnica ze środka.

- Oczywiście! - warknęła Wścieklica od okienka po stronie pasażera.

Spojrzałem na Annabeth.

- One są ślepe?

- Niezupełnie - odparła. - Mają oko.

- Jedno oko?

- No.

- Każda?

- Nie. W sumie.

Obok mnie Tyson jęknął i chwycił się siedzenia.

- Niedobrze mi.

- O rany - powiedziałem, ponieważ zdarzało mi się być świadkiem choroby lokomocyjnej Tysona podczas wycieczek szkolnych i zdecydowanie warto było zachować odstęp. - Trzymaj się, wielkoludzie. Czy ktoś ma jakiś worek na śmieci czy coś?

Trzy grające mi na nerwach staruchy były zbyt pogrążone w kłótni, żeby zwrócić na mnie uwagę.

Zerknąłem w stronę Annabeth, która zacisnęła kurczo-wo palce na uchwycie, jakby od tego zależało jej życie, i posłałem jej spojrzenie mówiące: czemu-mnie-w-to-pakujesz?

- Ej - powiedziała. - Taxi Grajcar to najszybszy środek transportu do obozu.

- To czemu nie zamówiłaś jej w Wirginii?

- To poza strefą działań Starek - odrzekła, jakby to było oczywistością. - Jeżdżą tylko po Nowym Jorku i okolicy.

- Wozimy tą taksówką mnóstwo sław! - krzyknęła Wścieklica. - Jazona! Pamiętacie go?

- Nie przypominaj mi! - zawyła Sekutnica. - Poza tym wtedy nie miałyśmy taksówki, stara ropucho. To było trzy tysiące lat temu!

- Dawaj mi zęb! - Wścieklica usiłowała dobrać się do ust Sekutnicy, ale ta odepchnęła jej rękę.

- Pod warunkiem, że Nawałnica da mi oko!

- Nie! - zaskrzeczała Nawałnica. - Miałaś je wczoraj!

- Ale to ja prowadzę, stara wiedźmo!

- Wymówki! Jest kolejka! Teraz moja kolej!

Sekutnica skręciła ostro w ulicę Delancey, omal nie zgniatając mnie między drzwiczkami a Tysonem.

Docisnęła gaz do dechy i popędziliśmy przez most Williamsburg z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Bójka trzech Graj, bo teraz już wiedziałem, co to za staruchy, rozkręcała się na dobre: okładały się pięściami, ponieważ Wścieklica usiłowała sięgnąć do oka Nawałnicy. Z rozwianymi włosami i otwartymi ustami wrzeszczały na siebie nawzajem, a ja uświado-miłem sobie, że żadna ze staruch nie ma zębów - jeśli nie liczyć pożółkłego siekacza Sekutnicy. Zamiast oczu miały zamknięte i zapadnięte powieki - z wyjątkiem Wścieklicy, która rozglądała się wygłodniałym wzrokiem

jednego, nabiegłego krwią, zielonego oka, jakby nie mogła się napatrzeć wszystkiemu dookoła.

W końcu Wścieklica, której posiadanie oka dawało pewną przewagę, zdołała wyrwać zęb z ust swojej siostry Sekutnicy. Ta wściekła się do tego stopnia, że zjechała na samą krawędź mostu z wrzaskiem "Dawajże to wreszcie!"

Tyson jęknął i chwycił się za brzuch.

- Ekhem, jeśli to kogoś interesuje - odezwałem się - to zaraz wszyscy umrzemy!

- Nie martw się - odpowiedziała Annabeth, sama wyraźnie zmartwiona. - Starki wiedzą, co robią. Są naprawdę mądre.

Powiedziała to córka Ateny, ale nie zabrzmiało to pocieszająco. Pędziliśmy po krawędzi mostu czterdzieści metrów nad powierzchnią rzeki.

- Tak, mądre! - Wścieklica wyszczerzyła się we wstecznym lusterku, ukazując swój nowo nabyty ząb. - Wiedzą wszystko!

- Znają każdą ulicę na Manhattanie! - Sekutnica dołączyła do przechwalek, nie przestając okładać siostry.

- I stolicę Nepalu!

- Znają miejsce, którego szukasz! - dodała Nawałnica.

Pozostałe staruchy natychmiast obdarzyły ją kuksańcami z obu stron, drąc się niemiłosiernie.

- Cicho! Cicho! Nawet jeszcze nie zapytał!

- O co chodzi? - zapytałem. - Jakie miejsce? Nie szukam żadnego...

- O nic! - odwrzasnęła Nawałnica. - Masz rację, chłopcze. O nic nie chodzi!

- Powiedzcie.

- Nie! - zawyły chórem.

- Jak ostatnio powiedziałyśmy, stały się straszne rzeczy! - oznajmiła Nawałnica.

- Oko wylądowało w jeziorze! - przytaknęła Wścieklica.

- Straciłyśmy lata, żeby je znaleźć! - jęknęła Sekutnica - A jak już przy tym jesteśmy... oddawaj!

- Nie! - ryknęła Wścieklica.

- Oko! - wrzasnęła Sekutnica. - Dawaj!

Rąbnięła siostrę w plecy. Rozległo się ohydne plusk i coś wypadło z twarzy Wścieklicy, która zaczęła rozpaczliwie macać dookoła rękami, usiłując złapać to coś z powrotem ale udało jej się jedynie to pacnąć grzbietem dłoni. Śliska zielona kulka poszybowała nad jej ramieniem na tylne siedzenie - prosto na moje kolana.

Podskoczyłem tak, że uderzyłem głową w sufit i oko spadło na podłogę.

- Nic nie widzę! - zawyły jednocześnie wszystkie trzy siostry.

- Oddawaj oko! - zajęczała Sekutnica.

- Oddaj jej oko! - wydarła się Annabeth.

- Nie mam go! - oznajmiłem.

- Tam, koło twojej stopy - powiedziała Annabeth. -

Nie nadepnij! Podnieś je!

- Nie wezmę tego do ręki!

Taksówka uderzyła w barierkę i przejechała po niej z potwornym zgrzytem. Cały samochód się zatrząsł i uniosły się z niego kłęby dymu, jakby miał zamiar rozpłynąć się z nadmiaru wysiłku.

- Będę rzygał! - ostrzegł lojalnie Tyson.

- Annabeth! - zawołałem. - Daj Tysonowi swój plecak!

- Zwariowałeś? Podnieś oko.

Sekutnica gwałtownie skrzyła kierownicą i taksówka odsunęła się od barierki. Popędziliśmy mostem w kierunku Brooklynu, szybciej niż

jakakolwiek ludzka taksówka. Staruchy skrzeczały, okładały się wzajemnie i zawodziły za utraconym okiem.

W końcu zebrałem się na odwagę. Oderwałem kawałek mojej farbowanej koszulki, która i tak rozpadała się na strzępy przez wypalone w niej dziury, i podniosłem oko z podłogi.

- Dobry chłopiec! - krzyknęła Wścieklica, jakimś zmysłem wyczuwając, że mam jej zagubiony organ wzroku. - Oddaj!

- Nie oddam, dopóki się nie wytłumaczycie - odparłem. - O co chodzi z tym miejscem, którego szukam?

- Nie ma czasu! - zawyła Nawałnica. -

Przyspieszamy!

Wyjrzałem przez okno. Rzeczywiście drzewa, samochody i całe dzielnice przemykały teraz obok nas niczym szara mgła. Minęliśmy już Brooklyn, zmierzając w kierunku Long Island.

- Percy - ostrzegła mnie Annabeth. - one nie znajdą celu podróży bez tego oka. Będziemy tylko przyspieszac i przyspieszac, aż rozpadniemy się na milion kawałków.

- Muszą mi powiedzieć - upierałem się. - Inaczej otworzę okno i wyrzucę oko pod koła samochodów.

- Nie! - zawyły żałośnie staruchy. - To zbyt niebezpieczne!

- Otwieram okno.

- Zaczekaj! - wrzasnęły. - 30, 31, 75, 12!

Wyrzuciły to z siebie jak prezenter podający numery w totku.

- Co to ma znaczyć? - zapytałem. - To nie ma sensu!

- 30, 31, 75, 12! - jęknęła głośno Wścieklica. -

Tylko

tylko możemy ci powiedzieć. A teraz oddawaj oko!

Jesteśmy prawie na miejscu!

Zjechaliśmy już z autostrady i przemykaliśmy przez wiejską

okolicę północnej Long Island. Przed nami majaczył Obóz Herosów z ogromną sosną na szczycie wzgórza - drzewem Thalii, w którym zawarta była życio-wa siła poległej dziewczyny półkrwi.

- Percy! - powtórzyła Annabeth nagle. - Oddaj im to oko natychmiast!

Uznałem, że nie będę się kłócił. Rzuciłem oko na kolana Sekutnicy.

Starucha chwyciła je, wepchnęła w swój oczodół, tak jak ludzie zakładają soczewki kontaktowe, i zamrugła.

- Ha!

Wcisnęła hamulec. Taksówka obróciła się kilkakrotnie wokół własnej osi w chmurze dymu i zatrzymała się z piskiem opon na środku wiejskiej drogi u podnóża Wzgórza Herosów.

Tyson beknął głośno.

- Już mi lepiej.

- Doskonale - zwróciłem się do staruch. - A teraz proszę o informację, co oznaczają te liczby.

- Nie ma czasu! - Annabeth otworzyła drzwiczki. -

Wysiadamy. Już!

Zamierzałem zapytać dlaczego, ale kiedy spojrzałem na Wzgórze Herosów, zrozumiałem.

Na szczycie wzgórza stała grupka obozowiczów.

Właśnie odpierali atak.

R O Z D Z I A Ł IV

TYSON IGRA Z OGNIEM

Pozostając w sferze mitologii, to jeśli czegoś nienawidzę bardziej od trójc staruszek, to z pewnością - byków.

Poprzedniego lata walczyłem na Wzgórzu Herosów z Minotaurem. Tym razem zobaczyłem na szczycie coś jeszcze gorszego: dwa byki. I nie takie zwyczajne, nie: to były spiżowe byki wielkości słonia. A jakby tego było mało, na dodatek oczywiście zionęły ogniem.

Kiedy tylko wysiedliśmy z taksówki, staruchy zawróciły, kierując się w stronę Nowego Jorku, swojej bezpiecznej przystani. Nie zaczekały nawet na obiecane dodatkowe trzy drachmy. Po prostu zostawiły nas na poboczu. Annabeth miała ze sobą tylko plecak i sztylet, a Tyson i ja staliśmy tam w naszych nadpalonych farbo-wanych koszulkach gimnastycznych.

- O rany - powiedziała Annabeth, spoglądając na bitwę toczącą się na wzgórzu.

Moim największym zmartwieniem nie były nawet same byki. Ani też dziesiątka herosów w pełnym uzbrojeniu bitewnym obrywająca po okrytych spiżem tyłkach. Niepokoiło mnie to, że byki szaleją po całym wzgórzu, okrążając nawet sosnę, co nie powinno być w ogóle możliwe. Magiczna granica obozu nie pozwala potworom przedostać się poza drzewo Thalii. Metalowym bykom jednak się to udało.

- Patrol graniczny, do mnie! - krzyknął ktoś z obozowiczów. Ten głos należący do dziewczyny, był opryskliwy i dziwnie znajomy.

Patrol graniczny? - pomyślałem. Na obozie nie ma patrolu granicznego.

- To Clarisse - oznajmiła Annabeth. - Chodź, musimy jej pomóc.

W normalnych warunkach pomoc Clarisse nie znajdowałaby się wysoko na mojej liście spraw do załatwienia. Ta dziewczyna należała do

najgorszych chuliganów w obozie. Kiedy spotaliśmy się pierwszy raz, usiłowała zapoznać mnie twarzą w twarz z klozetem.

Poza tym była córką Aresa, a ja w zeszłym roku miałem niezłą awanturę z jej ojcem, w związku z czym obecnie bóg wojny i jego dzieci nienawidzili mnie głęboko.

Mimo wszystko teraz była w tarapatach.

Towarzyszący jej wojownicy szli w rozsypkę, rozbiegając się na wszystkie strony przy każdej szarży byków. Wokół

sosny widniały wielkie plamy wypalanej trawy. Jeden z chłopaków krzychał i wymachiwał rękami, biegając w kółko, pióropusz z końskiego włosia na jego hełmie płonął niczym ognisty irokez. Zbroja Clarisse poczerniała od ognia. Dziewczyna walczyła złamaną włócznią, której drugi koniec bezużytecznie tkwił w metalowym spawie na kłębie jednego z byków.

Odekałem długopis. Zalśnił, wydłużając się i zwiększając ciężar, aż w końcu miałem w dłoni spiżowy miecz Anaklismos.

- Nie ruszaj się stąd, Tyson. Nie powinieneś ryzykować.

- Nie! - zaprotestowała Annabeth. - Będziemy go potrzebować.

Wlepiłem w nią wzrok.

- To śmiertelnik. Miał szczęście z tymi piłkami, ale nie może...

- Percy, czy ty wiesz, co to jest, tam u góry? To byki z Kolchidy, dzieło samego Hefajstosa. Nie jesteśmy w stanie z nimi walczyć bez olejku słonecznego "Medea" z filtrem 50 000. Upieczemy się na skwarki.

- Olejku "Medea"... co?

Annabeth grzebała w plecaku, klnąc pod nosem.

- Na nocnej szafce w domu mam słoiczek właśnie takiego o zapachu kokosowym. Czemu go ze sobą nie wzięłam?

Dawno już nauczyłem się nie zadawać Annabeth zbędnych pytań.

Odpowiedzi wprawiały mnie w jeszcze większe zmieszanie.

- Słuchaj nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale nie pozwolę upiec Tysona.

- Percy...

- Tyson, zostajesz - Uniosłem miecz. - Idę do nich.

Tyson próbował protestować, ale ja gnałem już po zboczu w stronę Clarisse, która pokrzykiwała na swój patrol, usiłując ustawić go w szyku falangi. To był

doskonały pomysł; Ci, którzy byli w stanie słuchać, ustawiali się ramię w ramię, łącząc tarcze, aby utworzyć mur z wołowej skóry i spiżu. Włócznie wystawały ponad tę ścianę niczym kolce jeżozwierza.

Niestety Clarisse zdołała zdyscyplinować w ten sposób tylko sześciu obozowiczów. Pozostała czwórka biegła jak oszalała z płonącymi kitami na hełmach.

Annabeth popędziła w ich stronę usiłując jakoś pomóc.

Zdołała pociągnąć za sobą jednego byka, a następnie znikła, całkowicie zbijając bydlę z tropu. Drugi byk szarżował na jej oddział.

Znajdowałem się w połowie drogi na szczyt wzgórza

- wciąż za daleko, żeby pomóc. Clarisse nawet mnie jeszcze nie dostrzegła.

Byk ruszał się zabójczo prędko jak na swoje rozmiary. Jego spiżowa skóra lśniła w słońcu. W miejscu oczu miał rubiny wielkości pięści, a jego rogi były z polerowanego srebra. Kiedy otworzył pysk na zawiasach, z wnętrza wystrzelił słup białego ognia.

- Trzymać szyk! - rozkazała wojownikom Clarisse.

Można o niej powiedzieć wiele nieprzyjemnych rzeczy, ale trudno odmówić jej odwagi. Jest to potężnie zbudowana dziewczyna o pełnych okrucieństwa oczach, zupełnie takich jakie ma jej ojciec. Wyglądała jakby urodziła się, żeby nosić grecką zbroję, ale nie wyobrażam sobie,

jak miałyby sobie poradzić z szarżą tego byka.

Niestety w tej samej chwili drugi byk zrezygnował z prób odnalezienia Annabeth. Odwrócił się i zaatakował nieosłonięte tyły oddziału Clarisse.

- Za tobą! - ryknąłem. - Uważaj!

Nie powinienem krzyczec, ponieważ to tylko ją zdekoncektowało. Byk Numer Jeden uderzył w tarczę Clarisse i falanga została rozbita. Dziewczyna poleciała w tył i wylądowała na kępie wypalanej trawy. Potwór przeszarżował koło niej, ale po drodze zionął na pozostałych herosów ognistym tchem. Tarcze stopiły się na ich ramionach. Rzucili broń i uciekli, podczas gdy Byk Numer Dwa zbliżał się do Clarisse z żądzą mordy.

Skoczyłem do przodu i chwyciłem za ramię jej zbroi, odciągając ją na bok ułamek sekundy przed tym, jak przegalopował Byk Numer Dwa tratujący wszystko na swojej drodze. Ciąłem go mocno Orkanem, pozostawiając sporą ranę w jego boku, ale potwór jedynie zazgrzytał, zaryczał i popędził dalej.

- Puść mnie! - Clarisse uderzyła mnie w rękę. - A niech cię, Percy!

Upuściłem ją na ziemię tuż obok sosny i zwróciłem się w stronę byków. Znajdowaliśmy się teraz po zewnętrznej stronie wzgórza; pod nami rozciągała się dolina Obozu Herosów z domkami, terenami sportowymi, Wielkim Domem - wszystko to znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli byki zdołają się przedrzeć.

Annabeth wykrzykiwała rozkazy do pozostałych herosów, każąc im się rozproszyc, żeby odciągnąć potwory.

Byk Numer Jeden zatoczył spory łuk, zawracając ku mnie. Kiedy przekraczał niewidzialną granicę pośrodku wzgórza, która nie powinna go przepuścić, zwolnił nieco, jakby powstrzymywał go silny wiatr. Chwilę później jednak przedarł się i rzucił się ku mnie. Byk Numer Dwa również zwrócił się w moją stronę; ze szczeliny, którą wyciąłem w jego

boku, buchał ogień. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy ta bestia odczuwała ból, ale jej rubinowe oczy zdawały się przewiercać mnie na wylot, jakby sprawy nabrały właśnie wymiaru osobistej wendetty.

Nie byłem w stanie walczyć z obydwojema bykami naraz. Musiałem powalic najpierw Byka Numer Dwa, ucinając mu łeb, zanim Byk Numer Jeden znajdzie się w polu rażenia. Tymczasem czułem już zmęczenie w rękach. Uświadomiłem sobie, jak dawno nie ćwiczyłem z Orkanem i jak bardzo wyszedłem z wprawy.

Skoczyłem do przodu, ale Byk Numer Dwa zionął na mnie ogniem. Odskokczyłem w bok, kiedy powietrze zmieniło się w czysty żar, który wyssał cały tlen z moich płuc. Zahaczyłem o coś nogą - pewnie o jakiś korzeń - i poczułem piekący ból w kostce. Udało mi się jednak zamachnąć mieczem i uciąć potworowi kawałek pyska.

Pognał przed siebie, wściekły i zdezorientowany. Zanim jednak zdarzyłem nacieszyć się tym triumfem, spróbo-wałem stanąć prosto i lewa noga ugięła się pod mną. Miałem zwichniętą, może nawet złamaną kostkę.

Byk Numer Jeden pędził wprost na mnie. Nie miałem najmniejszych szans usunąć się z jego drogi.

- Tyson, pomóż mu! - krzyknęła Annabeth.

Gdzieś w pobliżu, w okolicy szczytu wzgórza, rozległ się żalosny jęk Tysona.

- Nie mogę... się... przedostać!

- Ja, Annabeth Chase, daję ci pozwolenie na wejście na teren obozu!

Wzgórzem wstrząsnął grzmot. I nagle Tyson znalazł się tuż obok, pędząc ku mnie z krzykiem:

- Percy potrzebuje pomocy!

Zanim zdołałem go powstrzymać, wpadł między mnie a byka dokładnie w chwili, kiedy ten zionął ogniem z mocą bomby atomowej.

- Tyson! - zawyłem.

Płomienie pochłoneły go niczym trąba powietrzna.

Widziałem jedynie jego ciemną sylwetkę. Miałem absolutną pewność, że mój kumpel właśnie zmienił się w kupkę popiołu.

Ale kiedy ogień zgasł, Tyson stał w miejscu, jakby nigdy nic. Na jego szmatławym ubraniu nie było nawet przypalonego kawałka. Byk najwyraźniej był równie zaskoczony jak ja, ponieważ zanim zionął po raz drugi, Tyson zacisnął dłonie w pięści i rąbnął zwierzę między oczy.

- ZŁE KRÓWSKO!

W miejscu, gdzie wcześniej znajdował się pysk bestii, ział teraz krater. Z uszu dobywały się cienkie smużki dymu. Tyson uderzył ponownie, a spiz zgiął się pod jego ciosem niczym folia aluminiowa. Pysk byka wyglądał

teraz jak pacynka wywrócona w drugą stronę.

- Padnij! - ryknął Tyson.

Byk zachwiał się na nogach i upadł na grzbiet. Kopał bezradnie nogami w powietrzu, a z roztrzaskanego łba unosiły się w dziwacznych miejscach smużki pary.

Annabeth podbiegła, żeby sprawdzić, co ze mną.

Kostka paliła, jakby ktoś ją oblał kwasem, ale Annabeth dała mi łyk olimpijskiego nektaru ze swojego termosu i natychmiast poczułem się lepiej. Coś śmierdziało spalenizną - później dowiedziałem się, że to byłem ja. Włoski na moich przedramionach były całkowicie zwęglone.

- A co z drugim bykiem? - spytałem.

Annabeth wskazała w dół wzgórza. Clarisse poradziła sobie ze Złym Bykiem Numer Dwa. Przebiła mu jedną z tylnych nóg włócznią z niebiańskiego spizu. Z

pyskiem w połowie zmasakrowanym i wielką szczeliną w boku bestia biegła teraz w zwolnionym tempie, zataczając koła jak rumak na karuzeli.

Clarisse ściągnęła hełm i ruszyła w naszą stronę.

Jeden z jej brązowych kosmyków tlił się, ale ona najwyraźniej nie zwracała na to uwagi.

- Popsuliście... wszystko! - wrzasnęła na mnie. -

Miałam sytuację pod kontrolą!

Byłem zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć.

- Nam też miło cię widzieć, Clarisse. - mruknęła Annabeth.

- Grrr! - warknęła Clarisse. - NIGDY więcej nie próbujcie mnie ratować!

- Clarisse - powiedziała Annabeth - masz rannych obozowiczów.

To ją otrzeźwiło. Nawet Clarisse troszczy się o swoich podkomendnych.

- Zaraz wracam - rzuciła i odeszła, żeby ocenić straty.

Gapilem się na Tysona.

- Nie umarłeś.

Tyson opuścił głowę, najwyraźniej zakłopotany.

- Przepraszam. Przyszedłem z pomocą. Złamałem rozkaz.

- To moja wina - wtrąciła się Annabeth. - Nie miałam wyboru. Musiałam pozwolić Tysonowi przekroczyć granicę, żeby cię ocalić. Inaczej byś zginął.

- Pozwolic mu przekroczyć granicę? - spytałem. - Ale przecież...

- Percy - przerwała mi. - czy ty kiedykolwiek przyjrzałeś się dokładnie Tysonowi? To znaczy... jego twarzy? Tak, żeby przejrzyć Mglę i naprawdę się mu przyjrzec?

Mgła sprawia, że ludzie widzą tylko to, co ich mózgi są w stanie przyswoić... Wiem, że jest również w stanie zmylić półbogów, ale...

Spoglądałem Tysonowi w twarz. Nie było to łatwe.

Zawsze miałem problem z patrzeniem wprost na niego, mimo że nigdy nie rozumiałem dlaczego. Myślałem, że to z powodu tych resztek masła orzechowego między krzywymi zębami. Zmusiłem się do

skupienia wzroku na wielkim nochalu, a potem spojrzałem nieco wyżej, ku jego oczom.

Nie; nie oczom.

Jednemu oku. Jednemu wielkiemu, brązowemu oku, znajdującemu się dokładnie pośrodku czoła, otoczonemu gęstymi rzęsami. Oku, z którego toczyły się na oba poli-czki wielkie łzy.

- Tyson - wydukałem. - Ty jesteś...

- Cyklopem -podsunęła usłużnie

Annabeth.-Cyklopem

oseskiem, sądząc po jego wyglądzie. Pewnie dlatego nie był w stanie przekroczyć granicy równie łatwo jak byki.

Tyson jest jedną z bezdomnych istot.

- Że czym jest?

- Znajduje się je w niemal wszystkich wielkich miastach - wyjaśniła z niesmakiem Annabeth. - To...

pomyłki natury, Percy. Dzieci duchów przyrody i bogów... Cóż, w szczególności jednego boga... One nie zawsze się udają. Nikt ich nie chce. Zostają wyrzucone.

Dorastają dziko na ulicy. Nie mam pojęcia, jak ten tu cię znalazł, ale najwyraźniej cię lubi. Powinniśmy go zapro-wadzić do Chejrona, żeby zdecydował, co dalej.

- Ale ten ogień. Jak on...

- Jest cyklopem - Annabeth urwała, jakby rozpamięty-wała jakiś mało przyjemny epizod. - Oni pracują w kuźniach bogów. Muszą być odporni na ogień.

To właśnie usiłowałam ci powiedzieć.

Byłem w totalnym szoku. Jakim cudem nie zoriento-wałem się, kim jest Tyson?

W tej chwili jednak nie miałem czasu na tego rodzaju rozważania. Całe zbocze płonęło. Ranni herosi wymagali opieki. Poza tym

musieliśmy się pozbyć dwóch uszko-dzonych spiżowych byków - nie spodziewałem się, że wejdą do zwyczajnych pojemników na odpady metalowe.

Clarisse podeszła z powrotem, ocierając sadzę z czoła.

- Jackson, jeśli utrzymasz się na nogach, to wstawaj.

Musimy zanieść rannych do Wielkiego Domu. Trzeba powiedzieć Tantalowi o tym, co się stało.

- Tantal? - zapytałem.

- Koordynator zajęć - odpowiedziała niecierpliwie Clarisse.

- Chejron jest koordynatorem. I gdzie jest Argus? To on jest szefem bezpieczeństwa. Powinien tu być.

Clarisse się skrzywiła.

- Argus wyleciał. Długo was nie było. Trochę się tu pozmieniało.

- Ale Chejron... On zajmował się szkoleniem dzieci do walki z potworami od trzech tysięcy lat. Nie może go po prostu nie być. Co się stało?

- To się stało.

Wskazała na sosnę Thalii.

Wszyscy obozowicze znają kryjącą się za nią opowieść. Sześć lat temu Grover, Annabeth i jeszcze dwójka innych młodocianych herosów, Thalia i Luke, przybyli do obozu ścigani przez armię potworów. Kiedy zostali otoczeni na szczycie tego wzgórza, Thalia, córka Zeusa, samotnie stawiała czoła bestiom, dając przyjaciołom czas na dotarcie w bezpieczne miejsce.

Kiedy umierała, jej ojciec, Zeus, ulitował się nad nią i zamienił ją w sosnę. Jej duch wzmocnił magiczną granicę obozu, chroniąc go przed potworami. Sosna stała tu od tamtej pory silna i zdrowa.

Teraz jednak jej szpilki pożółkły. Wiele martwych igieł leżało u stóp drzewa. W samym środku pnia, jakiś metr nad ziemią znajdował się

otwór wielkości dziury po kuli, z którego sączyła się zielona żywica. Poczułem ukłucie zimna w piersi. Zrozumiałem, dlaczego obóz znalazł się w niebezpieczeństwie. Magiczna granica przestawała go chronić, ponieważ sosna Thalii umierała.

Ktoś ją otruł.

R O Z D Z I A Ł V

WSPÓŁLOKATOR W MOIM DOMKU

Czy zdarzyło wam się wrócić do domu i zastać swój pokój pogrążony w chaosie? Kiedy jakaś pomocna osoba (cześć, mamó) usiłowała w nim "posprzątać", w związku z czym nagle nie jesteście w stanie nic znaleźć? I nawet jeśli nic nie zgnęło macie to dziwaczne uczucie, że ktoś grzebał w waszych rzeczach i przecierał wszystkie półki środkiem do czyszczenia drewna?

Tak właśnie się poczułem, kiedy ujrzałem znów Obóz Herosów.

Na pozór nie wyglądał, jakby bardzo się zmienił.

Wielki Dom stał na miejscu, ze swoimi niebieskimi szczytami dachu i obiegającą go dookoła werandą. Pola truskawek wygrzewały się na słońcu. Po całej dolinie były rozrzucone greckie budowle z białymi kolumnami: teatr, arena do ćwiczeń, pawilon jadalny z widokiem na zatokę Long Island, a między lasem a potokiem stały te same domki: wariacki zestaw dwunastu budynków, z których każdy należał do innego z Olimpijczyków.

W powietrzu wyczuwało się jednak niebezpieczeństwo. Natychmiast było wiadomo, że coś jest nie w porządku. Zamiast grać w siatkówkę na piaszczystym boisku, opiekunowie grup i satyrowie zajmowali się układaniem stert broni w szopie na narzędzia. Na skraju lasu siedziały, rozmawiając nerwowo, driady uzbrojone w łuki i strzały. Las wyglądał

źle, trawa na łące pożółkła, a ślady ognia na zboczu Wzgórza Herosów przypominały paskudne blizny.

Ktoś straszliwie zaszkodził mojemu ulubionemu miejscu na świecie, co nie czyniło ze mnie... no, szczęśliwego obozowicza.

W drodze do Wielkiego Domu rozpoznawałem sporo dzieciaków, które widziałem zeszłego lata. Nikt nie zatrzymywał się, żeby porozmawiać. Nikt nie powiedział

do nas "Witajcie". Niektórzy reagowali zaskoczeniem na widok Tysona, ale większość po prostu mijała nas z ponurymi minami, spiesząc się do swoich obowiązków: noszenia wiadomości, oddawania mieczy do ostrzenia na wielkich osekach. Obóz przypominał szkołę wojskową. A ja się na tym znam. Wywalono mnie z kilku.

Tyson nie przejmował się tym, co widział. Patrzył na wszystko, co go otaczało, z absolutną fascynacją.

- Atoco? - zapytał z podziwem.

- Stajnie pegazów - odpowiedziałem. - Skrzydlatych koni.

- Atoco?

- Ekhem... to są toalety.

- Atoco?

- Domki obozowiczów. Jeśli nie wiadomo, kto jest twoim olimpijskim rodzicem, lądujesz u Hermesa - to ten brązowy domek, o tam - dopóki nie zostaniesz określony.

A kiedy już wiadomo. dostajesz się do grupy mamy albo taty.

Spojrzał na mnie z podziwem.

- Ty masz... domek?

- Numer trzy - Wskazałem niski szary budynek z morskiego kamienia.

- Mieszkasz z kumplami w tym domku?

- Nie. Tylko ja. - Nie miałem ochoty nic więcej wyjaśnić. Prawda była nieco kłopotliwa: byłem sam w tamtym domku dlatego, że nie powinienem żyć. "Wielka Trójka" bogów, czyli Zeus, Posejdon i Hades, zawarli po drugiej wojnie światowej umowę, że nie będą mieć więcej dzieci ze śmiertelnikami. Jesteśmy nieco potężniejsi od przeciętnych herosów. Kiedy nam odbije, zdarza się nam sprawiać kłopoty... takie jak chociażby druga wojna.

Układ między "Wielką Trójką" został złamany tylko dwukrotnie: kiedy Zeus spłodził Thalię, a następnie kiedy Posejdon został moim ojcem. Żadne z nas nie powinno się urodzić.

Thalia została zamieniona w sosnę, kiedy miała dwanaście lat. A ja... no cóż, starałem się robić, co w mojej mocy, żeby nie pójść w jej ślady. To, w co Posejdon może mnie zmienić gdybym kiedykolwiek znalazł się na granicy śmierci, potrafi mi się śnić po nocach. Na przykład plankton. Albo unoszące się na powierzchni morza wodorosty.

Kiedy dotarliśmy do Wielkiego Domu, zastaliśmy Chejrona w jego pokoju. Słuchał ulubionych przebojów z lat sześćdziesiątych i pakował juki. Zapewne powinienem dodać, że Chejron jest centaurem. Od pasa w górę wygląda jak normalny facet w średnim wieku, z kędzie-rzawymi brązowymi włosami i rozwichrzoną brodą, ale od pasa w dół jest białym ogierem. Potrafi udawać czło-wieka, ukrywając dolną część ciała w magicznym wózku inwalidzkim. Prawdę mówiąc, przez większość mojej szóstej klasy z powodzeniem uchodził za nauczyciela łaciny. Niemniej jeśli tylko wysokość pomieszczenia na to pozwala, woli przebywać w

pełnym centauryzm kształcie.

Tyson zamarł na jego widok.

- Konik! - krzyknął absolutnie zachwycony.

Chejron odwrócił się z wyrazem oburzenia na twarzy.

- Przepraszam bardzo?

Annabeth podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję.

- Coś się dzieje, Chejronie? Ty chyba nie...

wyjeżdżasz? - głos jej zadrżał. Chejron był dla niej jak drugi ojciec.

Centaury pogłaskał ją po głowie i uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Witaj dziecko. I Percy... bogowie, aleś ty wyrósł przez ten rok!

Przełknąłem ślinę.

- Clarisse mówiła, że jesteś... że zostałeś...

- Wylany - W oczach Chejrona rozbłysły ogniki wisielczego humoru. - Ach, no przecież trzeba było na kogoś zwać winę. Pan Zeus był bardzo niezadowolony.

Drzewo, które stworzył z ducha swojej córki, otrute! Pan D. musiał kogoś ukarać.

- Ale nie siebie, jak rozumiem - warknąłem. Na samą myśl o Panu D., dyrektorsze obozu, czułem złość.

- Przecież to szaleństwo! - zawołała Annabeth. -

Chejronie, ty przecież nie mogłeś mieć nic wspólnego z otruciem drzewa Thalii!

- A jednak - westchnął Chejron - są tacy na Olimpie, którzy w obecnych okolicznościach wolą mi nie ufać.

- Jakich okolicznościach? - spytałem.

Twarz Chejrona spochmurniała. Wepchnął do juków słownik łaciński, a z podręcznego odtwarzacza płyt kompaktowych odezwał się Frank Sinatra.

Tyson nadal wpatrywał się w Chejrona z absolutnym zachwytem.

Zamruczał, jakby miał ochotę poklepac go po boku, ale obawiał się zbliżyć.

- Konik?

Chejron prychnął.

- Jestem centaurem, mój drogi mały cyklopu.

- Chejronie - wtrąciłem się. - A co z sosną? Co jej się stało?

Pokręcił ponuro głową.

- Trucizna, której użyto przeciwko sośnie Thalii, pochodzi z podziemia, Percy. Jest to jad, którego nawet ja nigdy nie widziałem. Musi pochodzić od jakiegoś potwora z głębi ochłani Tartaru.

- A zatem wiemy, kto za tym stoi. Kro...

- Nie wzywaj imienia władcy tytanów, Percy.

Zwłaszcza nie teraz i nie tutaj.

- Przecież rok temu usiłował wywołać wojnę domową na Olimpie! To musi być jego pomysł. Na pewno namówił

Luke'a, żeby to zrobił. Zdrajca.

- Być może - przytaknął Chejron. - Ale obawiam się, że pociągnięto mnie do odpowiedzialności dlatego, że temu nie zapobiegłem i że nie jestem w stanie wyleczyć rany.

Sośnie pozostało tylko pare dni życia, chyba że...

- Chyba że co? - wtrąciła się Annabeth.

- Nic - odparł Chejron. - To głupia myśl. Cała dolina cierpi z powodu tej trucizny. Magiczna granica się roz-pada. Obóz umiera. Tylko jedno źródło magii jest wys-tarczająco mocne, żeby odwrócić działanie trucizny, ale zgubiliśmy je wiele lat temu.

- A co to takiego? - spytałem. - Znajdziemy to!

Chejron zamknął juki. Nacisnął przycisk "stop" na swoim odtwarzaczu kompaktów. Następnie odwrócił się i położył rękę na moim ramieniu, patrząc mi prosto w oczy.

- Musisz mi obiecać, Percy, że nie będziesz działał pochopnie. Powiedziałem twojej matce, że lepiej, żebyś w ogóle tego lata tu nie przyjeżdżał. Jest tu zbyt niebezpiecznie. Skoro już tu jesteś, to zostań. Cwicz jak najwięcej. Ucz się walczyć. Ale nie wyjeżdżaj.

- Dlaczego? - zapytałem. - Chcę coś zrobić! Nie mogę pozwolić na to, żeby granice po prostu się rozpadły.

Wtedy cały obóz zostanie...

- Najeżany przez potwory - przytaknął Chejron. -

Owszem, tego się obawiam. Ale ty nie możesz dać się wciągnąć w pochopne działania! To może być pułapka pana tytanów. Pamiętaj zeszłe lato! Omal nie pozbawił cię życia.

To była prawda, a jednak tak bardzo chciałem pomóc. Poza tym chciałem, żeby Kronos zapłacił. Bo wiecie, można by pomyśleć, że władca tytanów dostał

nauczkę te tysiące lat temu, kiedy bogowie go obalili.

Można by pomyśleć, że pocwiartowanie i wrzucenie w najczarniejszą otchłań Podziemia będzie stanowiło delikatną sugestię, że nikt nie chce go oglądać na powierzchni ziemi. Ale nie. Ponieważ jest nieśmiertelny, przebywa nadal na dnie Tartaru - cierpiąc wieczne męki i marząc o powrocie i zemście na Olimpijczykach. Nie jest w stanie działać sam, ale doskonale sobie radzi z mamie-niem umysłów śmiertelników, a nawet bogów, którzy wykonują dla niego brudną robotę.

To otrucie musiało być jego dziełem. Kto inny poważyłby się zaatakować drzewo Thalii, wszystko, co pozostało po dziewczynie, która poświęciła życie dla przyjaciół?

Annabeth z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Chejron otarł jej łzę z policzka.

- Zostań z Percym, moje dziecko. - powiedział do niej.
 - Dbaj o jego bezpieczeństwo. Przepowiednia... pamiętaj o niej!
 - Będę... będę pamiętać.
 - Ekhem... - wtrąciłem się. - Czy chodzi o tę meganie-bezpieczną przepowiednię, w której występuje moja osoba, ale bogowie zabronili mi ją wyjawic?
 Nikt nie odpowiedział.
 - Super - mruknąłem. - Tak tylko pytam.
 - Chejronie... - odezwała się Annabeth. -
 Powiedzia-łeś mi kiedyś, że bogowie obdarzyli cię nieśmiertelnością tylko dopóki będziesz potrzebny, by szkolic herosów. Skoro wylali cię z obozu...
 - Przysięgnij, że zrobisz wszystko, żeby chronić Percy'ego od niebezpieczeństw - nalegał Chejron. -
 Przysięgnij na rzekę Styks.

- Przysięgam... przysięgam na rzekę Styks -
 powiedziała Annabeth.
 Na zewnątrz przetoczył się grom.
 - Doskonale - oznajmił Chejron, nieco uspokojony. -
 Może zdołam oczyścić się z zarzutów i wrócę. Na razie udam się w odwiedziny do dzikich kuzynów na Florydzie.
 Może oni znają jakieś lekarstwo dla zatrutych drzew, o którym ja zapomniałem. W każdym razie zosta-nę na wygnaniu, dopóki to się nie rozwiąże... tak czy inaczej.
 Annabeth zdusiła łkanie. Chejron poklepał ją niezgrabnie po ramieniu.
 - Już dobrze, dziecko. Nad waszym bezpieczeństwem będzie czuwał Pan D. oraz nowy koordynator. Miejmy nadzieję... no, może nie zdołają zniszczyć obozu tak szybko, jak można się obawiać.

- No, a co to w ogóle za facet, ten Tantal? - spytałem. -
Dlaczego dostał pańską posadę?

W dolinie rozległ się dźwięk konchy. Nie miałem pojęcia, że już tak późno. Nadszedł czas kolacji.

- Idźcie - powiedział Chejron. - Spotkacie go w pawilonie.

Skontaktuję się z twoją matką, Percy, przekażę jej, że jesteś bezpieczny. Ona już pewnie zamartwia się na śmierć. I pamiętaj o moim ostrzeżeniu!

Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Nie łudź się nawet przez chwilę, że pan tytanów o tobie zapomniał!

Z tymi słowami opuścił pokój ze stukotem kopyt, którego echo słychać było następnie na korytarzu.

- Nie odchodź, koniku! - zawołał za nim Tyson.

Uświadomiłem sobie, że zapomniałem opowiedzieć Chejronowi o moim śnie z Groverem w roli głównej.

Teraz było już za późno. Najlepszy nauczyciel, jakiego kiedykolwiek miałem, odszedł - być może na zawsze.

Tyson łkał niemal tak samo głośno jak Annabeth.

Usiłowałem przekonać ich, że wszystko będzie dobrze, ale sam nie do końca w to wierzyłem.

Słońce zachodziło za pawilon jadalny, kiedy obozowicze zaczęli wychodzić z domków. Staliśmy w cieniu marmurowej kolumny i przyglądaliśmy się ich szeregom. Annabeth wciąż nie mogła dojść do siebie, ale obiecała, że później z nami porozmawia. Na razie poszła się przywitać ze swoim rodzeństwem z domku Ateny -

tuzinem chłopaków i dziewczyn o jasnych włosach i szarych oczach, takich jak jej własne. Annabeth nie była najstarsza, ale spędziła na obozie więcej letnich miesięcy niż ktokolwiek z nas. Mówił o tym

również obozowy naszy-jnik - po jednym paciorku na każde lato. Annabeth miała ich sześć. Nikt nie kwestionowałby jej prawa do przywództwa w domku.

Następnie pojawiła się Clarisse, prowadząc dzieci Aresa. Miała jedną rękę na temblaku, a jej policzek szpeciła paskudna szrama, ale poza tym wyglądała tak, jakby starcie ze spiżowymi bykami niespecjalnie ją ruszało. Ktoś przykleił jej do pleców kartkę z napisem "MUCZYSZ, DZIEWCZYNO!", ale nikt z jej domku nie zamierzał jej o tym mówić.

Po dzieciach Aresa nadszedł domek Hefajstosa: sześciu chłopaków pod wodzą Charlesa Beckendorfa, potężnie zbudowanego czarnoskórego piętnastolatka.

Miał dłonie wielkości rękawicy bejsbolowej, ogorzałą twarz i lekkiego zezą od wpatrywania się przez cały dzień w piec kowalski. Był całkiem sympatyczny, jak się go bliżej poznało, ale nikt nie zwracał się do niego po imieniu: Charlie, Chuck czy chociażby Charles. Wszyscy mówili do niego po prostu Beckendorf. Krążyły pogłoski, że jest w stanie wyprodukować absolutnie wszystko.

Wystarczy dać mu kawałek metalu, a stworzy z niego ostry jak brzytwa miecz, automatycznego wojownika albo też śpiewający karmnik dla ptaków, który możesz podarować babci do ogródka. Wszystko, czego byś sobie tylko zażyczył.

Potem kolejne domki: Demeter, Apolla, Afrodyty, Dionizosa. Z kajakowego jeziora wynurzyły się najady.

Spomiędzy drzew wychodziły driady, a z łąki nadszedł tuzin satyrów, którzy boleśnie przypomnieli mi o Groverze.

Zawsze miałem słabość do satyrów. Kiedy przebywali na terenie obozu, wykonywali różne dziwaczne prace dla dyrektora, Pana D., ale tak naprawdę pracowali w zewnętrznym świecie. Ich zadaniem było

wyszukiwanie obozowiczów. Udawali się w przebraniu do szkół na całym świecie, wynajdując potencjalnych herosów, i eskortowali ich na obóz. Tak właśnie poznałem Grovera. To on pierwszy rozpoznał we mnie półboga.

Pochód zamykał domek Hermesa idący tuż za satyra-mi. Był zawsze najliczniej zamieszkany. W

zeszłym roku jego mieszkańców prowadził Luke, ten sam, który towarzyszył Thalii i Annabeth w bitwie na wgórzu. Ja też przez krótki czas, zanim Posejdon uznał

mnie za swojego syna, mieszkałem w domku Hermesa.

Luke został moim kumplem, a potem... usiłował mnie zabić.

Teraz na czele dzieci Hermesa szli Travis i Connor Hoodowie. Nie byli bliźniakami, ale byli do siebie tacy podobni, że nikt o tym nie pamiętał. Nigdy nie byłem w stanie zapamiętać, który z nich jest starszy. Obaj byli wysocy i chudzi, z burzą brązowych włosów opadających na czoła. Nosili pomarańczowe koszulki Obozu Herosów wypuszczone na workowate szorty, no i obaj mieli elfie rysy dzieci boga złodziei: uniesione lekko brwi, sarkastyczne uśmiechy i ten łajdacki błysk w oku, ilekroć na ciebie patrzyli - jakby właśnie zamierzali wrzucić ci petardę za koszulkę. Zawsze wydawało mi się zabawne, że akurat dzieci Hermesa noszą nazwisko księcia złodziei, ale kiedy wspomniałem o tym Travisowi i

Connorowi, obaj spojrzeli na mnie takim wzrokiem, jakby nie zrozumieli żartu.

Kiedy ostatni obozowicze przemaszerowali przed nami, poprowadziłem Tysona do środka pawilonu.

Rozmowy ucichły. Wszyscy obracali ku nam głowy.

- Kto to zaprosił? - mruknął ktoś ze stołu Apollina.

Rzuciłem w tamtym kierunku wściekłe spojrzenie, ale nie byłem w

stanie określić, kto to powiedział.

Od głównego stołu dobiegło mnie znajome przeciąga-nie:

- No, no, niech mnie, jeśli to nie jest Peter Johnson.

Chyba zaraz umrę z radości.

Zazgrzytałem zębami.

- Percy Jackson... proszę pana.

Pan D. pociągnął łyk dietetycznej coli.

- Tak. No, jak to wy, młodzi, mawiacie: mnie to wisi i powiewa.

Miał na sobie hawajską koszulę w lamparcie cętki, wygodne szorty, i tenisówki z czarnymi skarpetkami. Z piwnym brzuszkiem i czerwonymi policzkami wyglądał jak turysta z Las Vegas, który zbyt długo bawił w kasy-nie. Za nim jakiś nieszczęsny satyr nerwowo obierał winogrona ze skórek i podawał je po jednym Panu D.

Pan D. ma naprawdę na imię Dionizos. Jest bogiem wina. Zeus zrobił go dyrektorem Obozu Herosów, żeby zmusić go do stuletniej abstynencji - w ramach kary za przystawianie się do jakiejś niedostępnej nimfy leśnej.

Obok niego, na miejscu, w którym zazwyczaj siedział

(a raczej stał jako centaur) Chejron, zobaczyłem kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałem: bladego, strasznie chudego mężczyznę w wytartym pomarańczowym kombinezonie więziennym. Nad kieszenią miał

wypisa-ny numer 0001. Pod oczami miał sine cienie, za paznokciami brud, do tego źle obcięte szpakowate włosy, jakby ostatnim razem fryzjer używał w jego przypadku sekatora. Wyglądał na... przegranego. Zły, sfrustrowany i na dodatek głodny.

- Radzę mieć tego chłopaka na oku - zwrócił się do niego Dionizos.

- To dzieciak Posejdona, rozumiesz.

- Ach! - przytaknął więzień. - To ten.

Z jego tonu jasno wynikało, że odbyli już z Dionizo-sem długą konwersację na mój temat.

- Jestem Tantal - zwrócił się do mnie więzień z chłodnym uśmiechem. - Zostałem tu przydzielony, dopóki mój pan, Dionizos, nie odwoła mnie ze stanowi-ska. A po tobie, Perseuszu Jacksonie, spodziewam się, że będziesz próbował unikac kolejnych kłopotów.

- Kłopotów? - spytałem nieco bezczelnie.

Dionizos pstryknął palcami. Na stole pojawiła się gazeta - dzisiejszy "New York Post". Na pierwszej stronie widniało moje zdjęcie z kroniki szkolnej Meri-wether.

Miałem niejakie trudności z odczytaniem nagłówka, ale mogłem się domyślić treści. Głosił sensa-cję rodzaju

"Trzynastoletni chłopiec zdemolował salę gimnastyczną".

- Tak, kłopotów. - odparł Tantal z satysfakcją. - Z tego co słyszałem, w zeszłe wakacje nieźle nabroiłeś.

Czułem zbyt wielką złość, żeby mu odpowiedzieć.

Jakby to była moja wina, że bogowie omal nie rozpętali wojny domowej.

Satyr przybliżył się nieśmiało i nerwowym ruchem postawił przed Tantalem talerz z grillowanym mięsem.

Nowy koordynator oblizał wargi ze smakiem. Spojrzał na swoją pustą szklankę i powiedział:

- Piwo korzenne Barqa. Rocznik 1967.

Szklanka napełniła się pienistym napojem. Tantal niepewnie wyciągnął rękę, jakby się bał, że się poparzy.

- Dalej, przyjacielu - zachęcił go Dionizos z dziwacz-nym błyskiem w oku. - Może tym razem się uda.

Tantal sięgnął po szklanke, ale ona odsunęła się zanim jej dotknął. Nieco piwa się rozlało i Tantal usiłował je podnieść do ust palcami, ale krople odtoczyły się niczym kulki rtęci, zanim zdołał jakąś chwycić.

Warknął gniewnie i spojrzał na talerz z grillem. Podniósł widelec i spróbował złowić nim kawałek żeberka, ale talerz skończył na drugim koniec stołu i spadł z niego wprost na węgle trójnogu.

- A niech to! - mruknął Tantal.

- Ojej - powiedział Dionizos głosem ociekającym udawanym współczuciem. - Może potrzebujesz jeszcze kilku dni. Uwierz mi, chłopie, praca na tym obozie jest wystarczającą torturą. Jestem pewny, że twoja stara klątwa w końcu osłabnie.

- W końcu - wymamrotał Tantal, wpatrując się w dietetyczną colę Dionizosa. - Czy ty masz pojęcie, jak przez tysiące lat wysycha człowiekowi gardło?

- Jesteś tym duchem z Równiny Kar - powiedziałem.

-

Tym, który stoi nad jeziorem, a nad nim zwieszają się gałęzie drzew owocowych, ale on nie jest w stanie sięgnąć po jedzenie i picie.

Tantal obrzucił mnie złowieszczym spojrzeniem.

- Ale z ciebie eurydyta, co, chłopcze?

- Musiałeś za życia zrobić coś naprawdę okropnego - dogadałem z pewnym uznaniem. - Co to było?

Tantak zmrózł oczy. Stojący za nim satyrowie potrząsali głowami, usiłując mnie ostrzec.

- Będę cię miał na oku, Perseuszu Jacksonie - oznajmił Tantal. - Nie życzę sobie żadnych kłopotów na moim obozie.

- Ten obóz już ma kłopoty... proszę pana.

- Siadaj wreszcie, Johnson - westchnął Dionizos. -

Ten stolik tam jest, zdaje się, twój... Ten, przy którym nikt nigdy nie siada.

Twarz mi płonęła, ale wiedziałem, że lepiej się nie kłócić. Dionizos był wyrośniętym bachorem, ale to był

nieśmiertelny i niezwykle potężny wyrośnięty bachor.

- Chodźmy, Tyson - powiedziałem więc.

- Och, nie, nie, nie - zatrzymał mnie Tantal. - Potwór zostaje z nami. Musimy się zastanowić, co z tym począć.

- Z nim - wyrwało mi się. - On ma na imię Tyson.

Nowy koordynator uniósł brwi.

- Tyson ocalił obóz - nalegałem. - Zmiażdżył te spiżowe byki. Inaczej spaliłyby wszystko na popiół.

- Owszem - westchnął Tantal. - Cóż to by było za wielkie nieszczęście.

Dionizos parsknął.

- Zostaw nas samych - rozkazał Tantal. -

Zdecyduje-my, co począć z tym stworem.

Tyson spojrzał na mnie z lękiem czającym się w jego jedynym wielkim oku, ale wiedziałem, że nie mogę sprzeciwić się bezpośredniemu poleceniu wydanemu przez dyrektora obozu. W każdym razie nie otwarcie.

- Będę siedział niedaleko, wielkoludzie - obiecałem. -

Nie martw się. Znajdziemy ci dobre miejsce do spania na noc.

Tyson przytaknął.

- Wierzę ci. Jesteś moim kumplem.

Te słowa przyprawiły mnie o kolejny napad poczucia winy.

Powlokłem się ku stolikowi Posejdona i opadłem na ławę. Leśna nimfa przyniosła mi talerz olimpijskiej pizzy z oliwą i papryczkami, ale nie czułem głodu. Udało mi się zakończyć rok szkolny kompletną

katastrofą. Obóz Herosów był w opłakanym stanie, a Chejron zabronił mi cokolwiek w tej sprawie zrobić.

Nie miałem nastroju do szczególnej wdzięczności, ale zgodnie ze zwyczajem wziąłem talerz, podeszedłem do spiżowego trójnogu i wrzuciłem kawałek pizzy w płomień.

- Posejdonie - mruknąłem. - racz przyjąć moją ofiarę.

I przyślij mi jakieś wsparcie, skoro już przy tym jesteśmy - dodałem w myślach. - Proszę.

Dym palącej się pizzy zmienił zapach na zdecydowanie przyjemny: czuć w nim było świeżą bryzę znad morza oraz woń dzikich kwiatów - ale nie miałem poję-

cia, czy to oznacza, że mój ojciec naprawdę słucha.

Wróciłem na miejsce. Nie przypuszczałem, że sprawy mogą przyjąć gorszy obrót. W tej samej chwili Tantal rozkazał jednemu z satyrów zadać w konchę.

Nadszedł czas ogłoszeń.

- A więc do rzeczy - zagaił Tantal, kiedy rozmowy ucichły. - Kolejny wspaniały posiłek! W każdym razie tak mi donoszą. - Mówiąc to, przysunął się nieco w kierunku napełnionego znów talerza, jakby liczył na to, że jedzenie nie zorientuje się w jego zamiarach. Przeli-czył się.

Talerz odsunął się na drugi koniec stołu, kiedy tylko koordynator zajęć zbliżył się do niego na wyciągnięcie ręki.

- W pierwszym dniu mojego urzędowania - ciągnął

Tantal - chciałbym powiedzieć, jaką przyjemną karą będzie pobyt tutaj. W ciągu nadchodzących wakacji chciałbym podręczyc, ekhem, znaczy się - poznać każde-go z was. Wszyscy wyglądacie całkiem

apetycznie.

Dionizos zaklaskał uprzejmie, a satyrowie zawtórowali mu niezbyt entuzjastycznymi owacjami.

Tyson wciąż stał przy głównym stole, wyglądając dość nieszczęśliwie, ale ilekroć próbował przesunąć się na bok, Tantal wyciągał go znów na środek.

- A teraz pare słów o zmianach w programie! - Tantal posłał nam krzywy uśmiech. - Wprowadzamy na nowo wyścigi rydwanów!

Przy wszystkich stolikach dało się słyszeć rozmaite pomruki: podniecenia, obawy, niedowierzania.

- Wiem doskonale - ciągnął Tantal, podnosząc głos - że zrezygnowano z tej dyscypliny ileś tam lat temu ze względu na, hmmm, problemy techniczne.

- Trzy wypadki śmiertelne i dwadzieścia sześć przypadków trwałego kalectwa - zawołał ktoś od stolika Apollina.

- Tak, tak! - odparł Tantal. - Jestem jednakowoż prze-konany, że wszyscy przyłączycie się do mnie w rado-snym powitaniu powrotu do tej tradycji obozowej.

W każdym miesiącu zwycięzcy będą nagradzani złotym wieńcem laurowym. Rejestracja drużyn zacznie się jutro rano. Za trzy dni pierwszy wyścig. Zostaniecie zwolnieni z większości zwyczajnych obowiązków, żeby móc przygo-tować rydwany i wybrać konie. Och, czyżbym zapomniał powiedzieć, że zwycięski domek będzie zwolniony z robót porządkowych na miesiąc po wygranej?

Rozległy się podekscytowane okrzyki - zwolnienie z kuchni na cały miesiąc? I z czyszczenia stajni? On mówi poważnie?

I wtedy zaprotestowała ostatnia osoba, po której bym się tego spodziewał.

- Proszę pana! - zawołała Clarisse. Wyglądała na zaniepokojoną,

ale wstała, żeby się wypowiedzieć.

Niektórzy obozowicze parskali śmiechem na widok "MUCZYSZ, DZIEWCZYNO!" na jej plecach - A co z obowiązkami patrolowymi? To znaczy, jeśli teraz porzu-cimy wszystko, żeby zajmować się rydwanami...

- Ach. Bohaterka dnia - westchnął głośno Tantal. -

Bohaterska Clarisse, która własnoręcznie pokonała dwa spiżowe byki!

Clarisse zamrugała i oblała się rumieńcem.

- No... niezupełnie...

- I jaka skromna. - Tantal wyszczerzył zęby. - Nie przejmuj się, moja droga! To jest obóz letni. Mamy się tu wszyscy dobrze bawic, zgadza się?

- Ale sosna...

- A teraz - przerwał jej Tantal, a kilkoro z rodzeństwa Clarisse usiłowało posadzić ją z powrotem na ławce -

zanim przejdziemy do śpiewów i ogniska, jeszcze jedna drobna sprawa domowa. Percy Jackson i Annabeth Chase uznali z jakiegoś powodu za stosowne przyprowa-dzić tutaj to - Tantal machnął ręką w stronę Tysona.

Wśród obozowiczów rozległy się niespokojne pomruki. Niektórzy rzucali mi podejrzliwe spojrzenia.

Miałem ochotę zamordować Tantala.

- Rzecz jasna - kontynuował koordynator - cyklopi cieszą się opinią krwiożerczych potworów o bardzo małych rozumkach. W normalnych okolicznościach wy-puściłbym tę bestię do lasu, żebyście mogli na nią zapo-lować z pochodniami i zaostrzonymi kijkami. Ale kto wie? Może ten cyklop nie jest aż taki straszliwy jak wię-kszość jego braci? Dopóki nie okaże się godny zniszcze-nia, musimy go gdzieś

przetrzymanywać!

Rozważałem umieszczenie go w stajni, ale konie mogłyby się poczuć nieswojo. Może więc domek Hermesa?

Przy stoliku Hermesa zapadło milczenie. Travis i Connor Hoodowie nagle zaczęli przejawiać większe zainteresowanie obrusem. Nie miałem do nich pretensji. Domek Hermesa i tak zawsze był przepełniony. Nie mieliby gdzie wcisnąć tego dwumetrowego cyklopa.

- Ejże - zadrwił z nich Tantal. - Cyklop powinien być zdolny do wykonywania prostych zadań. Ktoś ma po-mysł, gdzie można go trzymać?

Nagle wszyscy westchnęli głośno.

Zaskoczony Tantal odsunął się od Tysona jak oparzony. A mnie pozostał się jedynie gapić z niedowierzaniem w jasnozielone światło mające zmienić moje życie - jaśniejący hologram, który rozbrzysnął właśnie nad głową Tysona.

Z mdlącym uczuciem w żołądku przypominałem sobie, co Annabeth powiedziała na temat cyklopów: Dzieci duchów przyrody i bogów... Cóż w szczególności jednego boga...

Nad głową Tysona wirował zielony trójkąt - ten sam znak, który pojawił się nade mną w tym dniu, kiedy Posejdon uznał mnie za swojego syna.

Nastąpiła chwila pełnej zaskoczenia ciszy.

Uznanie za dziecko boga to szczególna chwila.

Niektórzy obozowicze czekają na nią latami na próżno.

Kiedy ostatniego lata uznał mnie Posejdon, wszyscy przyklękli z szacunkiem. Ale teraz wszyscy poszli w ślady Tantala, a on sam wybuchnął gromkim śmiechem.

- Doskonale! Teraz przynajmniej wiemy, gdzie umieścić bestię!

Bogowie, nawet dostrzegam rodzinne podobieństwo!

Śmiali się wszyscy z wyjątkiem Annabeth i kilkorga moich bliższych kumpli.

Tyson zdawał się nie zauważać tego wszystkiego.

Był zbyt zdumiony, usiłując odgonić błyszczący trójząb, który właśnie gasł nad jego głową, a przy tym zbyt niewinny, żeby zrozumieć, jak bardzo wszyscy się z niego naigrywają i jak bardzo okrutni bywają ludzie.

Ale ja zrozumiałem.

Od tej chwili miałem w domku współlokatora.

Miałem też potwora za przyrodniego brata.

R O Z D Z I A Ł VI

ATAK DEMONICZNYCH GOŁĘBI

Następne kilka dni było autentyczną torturą, zgodnie z życzeniem Tantala.

Najpierw Tyson sprowadził się do domku

Posejdon, chichrając się co piętnaście sekund i powtarzając pod nosem: "Percy jest moim bratem", jakby wygrał los na loterii.

- Ej, Tyson - mówiłem. - To nie takie proste.

Ale nie dało się mu tego wytłumaczyć. Był wniebo-wzięty. A ja... mimo że lubiłem tego wielkoluda, czułem się nieco zażenowany.

Zawstydzony. No, wydusiłem to z siebie.

Mój ojciec, ten wszechpotężny Posejdon, zakochał się w jakiejś boginie przyrody, a Tyson był owocem tego związku. Znaczy się, czytałem kiedyś mity o cyklopach.

Pamiętałem nawet, że często bywali dziećmi Posejdona.

Ale nigdy nie dotarło do mnie, że to czyniło z nich moją...

rodzinę. Dopóki Tyson nie zaczął sypiac na sąsie-dnim łóżku.

- On nie jest moim prawdziwym bratem! -

protesto-wałem kiedy Tysona nie było w pobliżu. - To taki przyro-dni brat z potwornej strony rodziny. Jakby...

No, jakby daleki przyrodni kuzyn albo coś w tym rodzaju.

Nie kupowali tego.

Przyznaję: czułem gniew na mojego tatę. Miałem wrażenie, że nie da się traktować poważnie bycia jego synem.

Annabeth starała się mnie pocieszyć.

Zaproponowała, żebyśmy razem stworzyli drużynę do wyścigu rydwa-nów, co miało pomóc nam przestać myśleć o naszych problemach. Nie zrozumcie mnie źle: oboje nienawidzili-śmy Tantala i zamartwialiśmy się śmiertelnie o obóz, ale nie mieliśmy pojęcia, co z tym począć. Uznaliśmy, że dopóki nie wpadniemy na jakiś genialny plan uratowa-nia sosny Thalii, możemy równie dobrze zająć się wyści-gami. W końcu to mama Annabeth wynalazła rydwan, a mój tato stworzył konie. Razem mieliśmy szansę zawojo-wać ten tor.

Pewnego ranka siedzieliśmy z Annabeth nad brzegiem stawu kajakowego, rysując plany rydwanów, kiedy jacyś żartownisie z domu Afrodyty podeszli i zapy-tali, czy nie chciałbym pożyczyć cienia do powieki...

"Oj, przepraszam, do powiek".

Kiedy odeszli, pokładając się ze śmiechu, Annabeth cicho

mruknęła:

- Nie zwracaj na nich uwagi, Percy. To nie twoja wina, że masz potwornego brata.

- On nie jest moim bratem! - warknąłem. - A poza tym nie jest potworem!

Annabeth uniosła brwi.

- Ej, przestań się na mnie wyżywać! Poza tym technicznie rzecz biorąc on jest potworem.

- To ty wpuściłaś go na teren obozu.

- Bo tylko tak mogłam ocalić ci życie! Zrozum, Percy... Bardzo mi przykro. Nie miałam pojęcia, że Posejdon może go uznać. Cyklopi są najbardziej fałszywi i zradzieccy...

- Nieprawda! O co ci chodzi z tymi cyklopami, tak w ogóle?

Uszy Annabeth nabrały różowej barwy. Miałem wrażenie, że czegoś mi nie mówi... czegoś niedobrego.

- Dajmy spokój - odrzekła. - Jeśli chodzi o oś tego rydwanu...

- Traktujesz go, jakby był jakąś okropnością -
powie-działem. - A on ocalił mi życie.

Annabeth odłożyła ołówek i się podniosła.

- W takim razie to z nim projektuj sobie rydwan,

- Może powinienem.

- Świetnie!

- Świetnie!

Odeszła wściekła, pozostawiając mnie z jeszcze gorszym samopoczuciem niż przedtem.

Przez następne kilka dni starałem się nie myśleć o żadnych problemach.

Silena Beauregard, jedna z sympatyczniejszych dziewczyn z domku Afrodyty, udzieliła mi pierwszej lekcji jazdy na pegazie. Wyjaśniła, że istniał tylko jeden nieśmiertelny skrzydlaty koń o imieniu Pegaz, który nadal błąka się gdzieś po niebie, ale w ciągu tysiącleci spłodził mnóstwo potomstwa. Żaden z jego potomków nie był ani tak prędkie, ani tak bohaterski, ale cały gatunek dostał nazwę po tym pierwszym i najwspanialszym.

Jako syn boga mórz nigdy nie przepadałem za wzbijaniem się w powietrze. Mój tato od wieków rywalizował z Zeusem, więc starałem się unikac dziedziny pana niebios, o ile tylko było to możliwe. Ale latanie na skrzydlatym koniu to co innego. Nie czułem się aż tak źle jak w samolocie. Może dlatego, że to mój ojciec stworzył konie z piany morskiej. Pegazy były więc czymś w rodzaju... neutralnego terytorium. Rozumiałem trochę ich myśli. Nie byłem zaskoczony, kiedy mój wierzcho-wiec zapędził się na czubki drzew albo zaganiał stado mew w głąb chmury.

Problemem był Tyson, który też chciał jeździć na "kurokonikach", ale pegazy płoszyły się, kiedy tylko się do nich zbliżał. Powtarzałem im w myślach, że on nie robi im krzywdy, ale najwyraźniej mi nie dowierzały. A Tyson wybuchał płaczem.

Jedyną osobą na obozie, która nie miała nic przeciwko niemu, okazał się Beckendorf z domku Hefajstosa. Bóg kował od zawsze współpracował z cyklopami w swojej kuźni, toteż Beckendorf zabierał Tysona do zbrojowni, żeby uczyć go obróbki metalu. Twierdził, że nawet się nie obejrzymy, kiedy nauczy go sztuki wytwarzania magicznych przedmiotów.

Po obiedzie ćwiczyłem na arenie z domkiem Apollina.

Zawsze byłem niezły w szermierce. Podobno okazałem się najlepszy od stu lat, może z wyjątkiem Luke'a.

Wszyscy zawsze nas porównywali.

Bez kłopotu pokonywałem drużynę Apollina.

Powinno-nem próbować sił przeciwko dzieciom Aresa lub Ateny, ponieważ oni specjalizowali się w szermierce, ale jakoś nie układało mi się z Clarisse i jej rodzeństwem, a po ostatniej kłótni z Annabeth nie miałem ochoty się z nią widzieć.

Chodziłem też na lekcje strzelania z łuku, choć szło mi to zawsze fatalnie, a poza tym bez Chejrona to już nie było to samo. Na kursie sztuk plastycznych pracowałem nad popiersiem Posejdona, ale wychodziło podejrzanie podobne do Sylvestra Stallone, więc porzuciłem ten po-mysł. Wspinałem się na ściankę z pełnym programem lawy i trzęsień ziemi. Wiezorami przyłączałem się do patrolu granicznego. Mimo że Tantal nalegał, abyśmy dali sobie spokój z pilnowaniem obozu, część uczestni-ków po kryjomu robiła to nadal według planu ułożonego zgodnie z naszymi przerwami między zajęciami.

Siedziałem na szczycie Wzgórza Herosów i obserwo-wałem driady podchodzące co rusz do umierającej sosny, żeby jej pośpiewać. Satyrowie podchodzili ze swoimi trzciniowymi piszczalkami i wygrywali magiczne melo-die, co zdawało się na chwilę pomagać szpilkom sosny. Kwiaty na wzgórzu pachniały nieco słodziej, a trawa robiła się bardziej zielona. Ale gdy tylko muzyka się urywała, choroba przejmowała na powrót władzę. Całe wzgórze sprawiało wrażenie zarażonego, umierającego od trucizny, która przeniknęła do korzeni drzewa. Im dłużej tam siedziałem, tym bardziej mnie to złościło.

To musiała być sprawka Luke'a. Przypomniiał mi się jego chytry uśmiech i blizna po smoczym pazurze na twarzy. Udawał moje przyjaciela, a przez cały czas był

głównym sługusem Kronosa.

Otwarłem dłoń. Blizna, którą pozostawił tam Luke zeszłego lata, zbladła, ale była wciąż widoczna - biała rana w kształcie gwiazdy w

miejscu, gdzie użądlił mnie skorpion z otchłani.

Pomyślałem o tym, co powiedział mi Luke tuż przed tym, jak próbował mnie zabić: Żegnaj, Percy. Nadchodzi nowy Złoty Wiek. Ale ty nie będziesz jego częścią.

Nocami znów śnił mi się Grover. Czasami tylko słyszałem jego głos, jakieś urwane kawałki zdań. Raz usłyszałem, jak mówił: To tutaj. A kiedy indziej: On lubi owce.

Miałem ochotę opowiedzieć Annabeth o tych snach, ale czułbym się głupio. No wiecie; On lubi owce?

Mogła-by pomyśleć, że zwariowałem.

W nocy przed wyścigiem Tyson i ja skończyliśmy pracę nad rydwanem. Był naprawdę świetny. Tyson wykonał metalowe części w kuźni zbrojowni. Ja wypolero-wałem drewno i złożyłem pojazd w całość. Był

niebiesko-biały, wymalowany na bokach w morskie fale, a na przodzie miał rysunek trójzębu. Po całej tej pracy wyda-wało mi się na miejscu, żeby to Tyson pojechał ze mną jako pilot, choć zdawałem sobie sprawę, że nie spodoba się to koniom, a poza tym jego spory ciężar nas spowolni.

Kiedy kładliśmy się spać, Tyson zwrócił się do mnie:

- Jesteś zły?

Uświadomiłem sobie, że rzucam mu spojrzenia spode łba.

- Nie. Nie jestem zły.

Leżał na swoim łóżku w ciemności i milczał. Był zdecydowanie za wysoki na materace. Kiedy wyciągał nogi, jego stopy wystawały poza ramę.

- Jestem potworem.

- Nie mów tak.

- Ale to nic. Będę dobrym potworem. Wtedy nie będziesz musiał być na mnie zły.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Gapiałem się w sufit i czułem się, jakbym powoli umierał, zupełnie jak sosna Thalii.

- Wiesz, chodzi o to, że... ja nigdy nie miałem przyrodniego rodzeństwa. - Bardzo się starałem, żeby głos mi się nie łamał. - To dla mnie wielka zmiana. A poza tym martwię się o obóz. No i na dodatek mój przyjaciel, Grover... może być w niebezpieczeństwie. Myślę, że powinienem coś zrobić, żeby jakoś mu pomóc, ale nie mam pojęcia co.

Tyson nie odpowiedział.

- Przepraszam - powiedziałem do niego. - To nie twoja wina. Jestem zły na Posejdona. Mam wrażenie, że chce mnie zawstydzić, jakby porównywał nas ze sobą czy coś w tym rodzaju, a ja nie rozumiem po co.

W odpowiedzi usłyszałem głęboki warkot. Tyson spał.

Westchnąłem.

- Dobranoc, wielkoludzie.

I również zamknąłem oczy.

W moim śnie Grover miał na sobie ślubną suknię.

Nie pasowała na niego. Była za długa, więc cały jej skraj oblepiało wyschnięte błoto. Dekolt zsuwał mu się z ramion. Na twarz miał zarzucony postrzępiony welon.

Siedział w wilgotnej jaskini, oświetlonej jedynie po-chodniami. W jednym kącie stała prycza, a drugim staroświeckie krosna, na których ramie rozpięta była na wpół ukończona tkanina. Grover wpatrywał się we mnie, jakbym był długo wyczekiwanym programem telewizyjnym.

- Dzięki niech będą bogom! - zabeczał. - Słyszysz mnie?

Moje senne ja reagowało z lekkim opóźnieniem. Wciąż rozglądałem się dookoła po stalaktytowym sklepieniu, wciągałem do nozdrzy zapach owiec i kóz, nasłuchiwa-łem pobekiwania niosącego się echem zza głazu wielko-ści lodówki, blokującego jedyne wejście, jakby poza nim znajdowała się jeszcze większa grotta.

- Percy? - odezwał się Grover. - Proszę cię, nie mam siły na lepszy sygnał. Musisz mnie usłyszeć!

- Słyszę cię. - powiedziałem. - Co się dzieje, Grover?

Zza głazu dobiegł mnie potworny głos:

- Skończyłaś już, kruszynko?

Grover się skulił.

- Jeszcze nie, ukochany! - zawołał w odpowiedzi false-tem. - Jeszcze kilka dni!

- Jak to? Czy nie minęły już dwa tygodnie?

- N-nie, ukochany. Tylko pięć dni. Zostało jeszcze dwanaście.

Potwór ucichł, byc może usiłując wykonać rachunki.

Musiał być jeszcze gorszy z matmy ode mnie, ponieważ odezwał się w końcu:

- W porządku, ale pośpiesz się! Chcę ZAAAJRZEC pod ten welon, he, he, he!

Grover znów zwrócił się do mnie.

- Musisz mi pomóc! Jak najszybciej! Utknąłem w tej grocie. Na jakiejś wyspie na morzu.

- Gdzie?

- Nie wiem dokładnie! Pojechałem na Florydę i skręci-łem w lewo.

- Że co? To ty...

- To jest pułapka! - przerwał mi Grover. - To dlatego jeszcze żaden satyr nie wrócił z misji. On jest paste-rzem, Percy! I ma to. Naturalna magia tego jest strasznie potężna, a poza tym to pachnie jak wielki bóg Pan! Satyrowie przybywają tu, myśląc, że znaleźli Pana, a tymczasem wpadają w pułapkę i zostają pożarci przez Polifema!

- Poli-kogo?

- Cyklopa! - odpowiedział Grover z rozdrażnieniem. -

Mnie prawie udało się uciec. Aż na drugi koniec Florydy.

- Ale on cię wyśledził - powiedziałem, przypominając sobie mój pierwszy sen - dopadł cię w ślubnym butiku.

- Zgadza się - potaknął Grover. - To wtedy musiało zadziałać po raz pierwszy łącze empatyczne. Słuchaj, ta suknia ślubna jest jedyną rzeczą, dzięki której żyję. On uważa że ja ładnie pachnę, ale powiedziałem mu, że to tylko perfumy o zapachu kozy. Na szczęście nieco niedo-widzi. Oko nie zaleczyło mu się jeszcze całkowicie od czasu, kiedy ktoś wybił je po raz ostatni. Ale wkrótce się zorientuje, kim jestem. Dał mi tylko dwa tygodnie na wykończenie trenu i właśnie zaczyna się niecierpliwic!

- Zaczekaj chwilkę. Ten cyklop uważa, że jesteś...

- Tak! - załkał mój najlepszy kumpel. - Uważa mnie za cyklopicę i chce się ze mną ożenic!

W każdej innej sytuacji wybuchnąłbym śmiechem, ale Grover był śmiertelnie poważny. Dosłownie trząsł się ze strachu.

- Zaraz ruszę ci na pomoc - obiecałem. - Gdzie jesteś?

- Na Morzu Potworów, rzecz jasna!

- Jakim morzu?

- Przecież ci mówię! Nie mam pojęcia, gdzie dokładnie!

Ale posłuchaj, Percy... eee, bardzo mi przykro, ale to łącze empatyczne... no wiesz, nie miałem wyboru. Teraz jesteśmy emocjonalnie złączeni. Jeśli umrę...

- Nie mów, że ja też umrę.

- Och, nie, zapewne nie. Możesz trwać jeszcze przez wiele lat w stanie wegetatywnym. Ale, wiesz, byłoby znacznie lepiej gdybyś zdołał mnie stąd wydostać.

- Kruszyńko! - ryknął potwór. - Czas na kolację!

Pyszne, pyszne owcze mięsko!

Grover zajęczał.

- Muszę spadać. Pospiesz się!

- Zaczekaj! Powiedziałaś, że "to" tam jest. Czyli co?

Ale głos Grovera zanikał.

- Słodkich snów. Nie pozwól mi umrzeć!

Sen się rozwiął, a ja otworzyłem oczy, siadając na łóżku. Był wczesny ranek. Tyson wpatrywał się we mnie swoim jedynym okiem, w którym malował się niepokój.

- Wszystko w porządku?

Dreszcz przeszedł mi po plecach - Tyson miał niemal identyczny głos jak ten potwór, którego słyszałem we śnie.

Poranek wyścigów był upalny i wilgotny. Mgła położyła się na terenach obozu niczym para w łaźni. Na drzewach siedziały miliony ptaków - tłustych, białoszarych gołębi, które jednak nie gruchały jak zwyczajne gołębie.

Wydawały irytujący metaliczny jazgot, który przywodził mi na myśl radar łodzi podwodnej.

Tor wyścigowy został zbudowany na trawiastej łące między strzelnicą a lasem. Aby zaorac owalny tor w przeciągu kilku minut, dzieci z domku Hefajstosa posłużyły się spiżowymi bykami, które zrobiły się całkiem oswojone, odkąd ich łby uległy zgnieceniu.

Dla widzów - Tantala, satyrów, kilku driad i obozo-wiczów, którzy nie startowali w wyścigu -

ustawiono kamienne stopnie. Pan D. się nie pokazał.

Nigdy nie wstawał przed dziesiątą rano.

- Doskonale! - zawołał Tantal, kiedy zespoły zaczęły się ustawiać na starcie. Najada postawiła przed nim wielką tacę słodczy, więc przez całe przemówienie ścigał dłonią czekoladkę, uciekającą przed nim po

stole sędziowskim. - Znacie reguły. Tor ma 400 metrów. Dwa okrążenia do mety. Dwa konie na rydwan. Każdy zespół

składa się z powożącego i wojownika. Wolno używać broni. Spodziewamy się nieczystej gry. Postarajcie się jednak nikogo nie uśmiercić! - Tantal wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakbyśmy byli nieznosną dzieciarnią. -

Wszelkie próby zabójstwa spotkają się z najsurowszą karą - pozbawieniem prawa do konsumpcji słodczy przy wieczornych ogniskach przez tydzień! Do rydwanów!

Beckendorf poprowadził zespół Hefajstosa na tor.

Mieli pojazd wykonany całkowicie z brązu i żelaza - włącznie z końmi, które były automatami, podobnie jak byki Kolchidy. Byłem absolutnie przekonany, że ich rydwan jest wyposażony w najrozmaitsze mechaniczne pułapki i ma więcej bajeranckich, gadżetów niż najbar-dziej wypasione proshe.

Rydwan Aresa był czerwony jak krew, ciągnęły go dwa straszliwe końskie szkielety. Clarisse wspięła się na miejsce woźnicy, trzymając cały pęk oszczepów, nadzianych kolcami kul, kolczatek i innych paskudnych zabawek.

Domek Apollina zaprezentował elegancki, ozdobny i wykonany w całości ze złota pojazd, ciągnięty przez dwa piękne izabelowate rumaki. Wojownik był uzbrojony w łuk, ale obiecał mierzyc w przeciwników strzałami o nie-zaostrzonych grotach.

Pojazd Hermesa był zielony i w pewnym sensie staro-świecki, jakby przez wiele lat stał w garażu. Nie było w nim nic szczególnego, ale ponieważ jego załogę stanowili bracia Hood, zadrzałem na samą myśl o tym, jakie mogli wymyśleć złośliwe sztuczki.

Oprócz tego do wyścigu stanęły jeszcze dwa rydwany: Annabeth i mój.

Odważyłem się podejść do Annabeth przed wyścigiem, żeby

opowiedzieć jej mój sen.

Ożywiła się kiedy wspomniałem o Groverze, ale jak opowiedziałem jej więcej, ponownie straciła zainteresowanie, a w jej oczach pojawił się cień podejrzenia.

- Chcesz mnie zdekoncentrować - uznała.

- Co? Zwariowałaś?

- Jasne! A Grover przez przypadek natknął się na jedyną rzecz, która jest w stanie ocalić obóz.

- O czym ty mówisz?

Przewróciła oczami.

- Wracaj do rydwanu, Percy.

- Ja nie zmyślam, Annabeth. On naprawdę ma problem.

Zawahała się. Widziałem, że usiłuje podjąć decyzję, czy powinna mi zaufać, czy nie. Mimo iż od czasu do czasu się kłócimy, wiele razem przeszliśmy. I wiem, że ona nigdy by nie pozwoliła, żeby Groverowi coś się stało.

- Łącze empatyczne to bardzo truna rzecz, Percy. To znaczy, znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że wszystko ci się tylko przyśniło.

- Wyrocznia - podrzuciłem. - Możemy skonsultować się z Wyrocznią.

Zmarszczyła brwi.

Zeszłego lata, tuż przed moją misją, odwiedziłem dziwnego ducha zamieszkującego strych Wielkiego Domu i otrzymałem przepowiednię, która wypełniła się w niespodziewany sposób. To doświadczenie wystraszyło mnie na wiele miesięcy. Annabeth wiedziała, że nie pro-ponowałbym wizyty na strychu, gdyby sprawy nie były bardzo poważne.

Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dźwięk konchy.

- Rydwanyyy! - zawołał Tantal. - Na start!
- Porozmawiamy później - rzuciła do mnie Annabeth.
- Jak już wygram ten wyścig.

Idąc do swojego rydwanu, zauważyłem na drzewach jeszcze więcej gołębi, skrzeczących jak oszalałe, aż cały las szumiał. Nikt inny nie zwracał na nie szczególnej uwagi, ale mnie to okropnie grało na nerwach. Ich dzioby lśniły dziwnie, a oczy wydawały się błyszczeć bardziej niż u zwyczajnych ptaków.

Tyson niezbyt radził sobie z końmi. Musiałem odbyć z nimi rozmowę, zanim w końcu się uspokoiły.

To potwór, panie! - poskarżyły się.

Jest synem Posejdona - odpowiedziałem. - Tak samo...no, tak samo jak ja.

Nie! - upierały się. - To potwór! Pożeracz koni! Nie ufamy mu!

Po wyścigu dam wam kostki cukru - odpowiedziałem.

Kostki cukru?

Wielkie kostki cukru. I jabłka. Wspomniałem już o jabłkach?

W końcu pozwoliły mi się zaprząć do rydwanu.

W kwestii greckich rydwanów: buduje się je tak, żeby były szybkie, a nie wygodne czy bezpieczne. Składają się zasadniczo z drewnianego kosza, otwartego z tyłu, usta-wionego na osi między dwoma kołami. Woźnica przez cały czas stoi, a jadąc, czuje się każdą nierówność na drodze. Kosz jest wykonany z tak lekkiego drewna, że jeśli zahaczy o coś na ostrych zakrętach na końcach toru, to istnieje wielkie prawdopodobieństwo wywrotki, a to z kolei skutkuje zmiążdżeniem rydwanu i załogi.

Adrenalina większa niż na deskorolce.

Ująłem wodze i podjechałem na linię startu. Dałem Tysonowi do ręki trzymetrowy kij i wyjaśniłem mu, że jego zadaniem jest odpychać

pozostałe rydwany, jeśli zanedbano się zbliżą, a także odbijac wszelkie pociski, którymi ktoś w nas rzuci.

- Nie wolno bic konika kijem - upierał się.

- Nie wolno - przytaknałem. - Ludzi też nie bij, jeśli zdołasz.

Postaramy się grac czysto. Odpieraj ataki a ja skupię się na powożeniu.

- Wygramy wyścig! - rozpromienił się.

Przegramy, i to jak, pomyślałem, ale musimy spróbowac.

Chciałem pokazać pozostałym... właściwie nie byłem pewny co. Że Tyson wcale nie jest taki zły? Że nie wstydzę się z nim pokazywac publicznie? Albo że wcale nie dotknęły mnie te wszystkie żarciki i wyzwiska?

Rydwany ustawiły się na linii startu, a w lesie zbierało się coraz więcej gołębi o lśniących oczach. Darły się tak głośno, że obozowicze na widowni zaczęli coś zauważac i rozglądali się nerwowo po drzewach, które chwiały się pod ciężarem ptaków. Tantal nie wydawał się zaniepokojony, ale musiał podnieść głos, żeby przekrzyczec hałas.

- Rydwanyyyy! - krzyknął. - Na mój znak!

Machnął ręką i chorągiewka startowa opadła.

Rydwany ruszyły z kopyta. Tętent koni rozległ się grzmotem.

Widzowie wzniesli radosny okrzyk.

Niemal natychmiast rozległ się paskudny, głośny trzask!

Obejrzałem się i zobaczyłem, że przewraca się po tym, jak wpadł na niego pojazd Hermesa - może przez przypadek, a może nie. Załoga wyskoczyła bez kłopotu, ale spanikowane konie pociągnęły złoty rydwan w poprzek toru. Zespół Hermesa, Travis i Connor Hoodowie zaśmiewali się ze swojego farta, ale niedługo.

Konie

Apollina wpadły między ich rumaki, wywracając również ich rydwan. Na torze pozostała sterta połamałego drewna i cztery wierzgające w chmurze dymu konie.

Po zaledwie sześciu metrach było o dwa rydwany mniej. Już zakochałem się w tym sporcie.

Zwróciłem uwagę z powrotem na to, co działo się przede mną. Mieliśmy niezły czas, wysunęliśmy się przed Aresa, ale rydwan Annabeth prowadził. Brała już nawet pierwszy zakręt, a jej oszczepik machał do nas z uśmiechem, krzycząc: "Pa, Pa!"

Poza tym zaczął nas doganiać rydwan Hefajstosa.

Beckendorf nacisnął guzik i w boku jego rydwanu uchyliła się kłapa.

- Wybacz, Percy! - krzyknął.

Ku naszym kołom wystrzeliły trzy zestawy kul i łańcuchów. Zgniotłyby nas na miazgę, gdyby Tysonowi nie udało się zepchnąć ich w bok jednym zapachem.

Wy-mierzył rydwanowi Hefajstosa potężny cios, odpychając go, podczas gdy my skoczyliśmy do przodu.

- Świetna robota Tyson! - zawołałem.

- Ptaki!

- Co?

Pędziliśmy w takim tempie, że ledwie cokolwiek słyszałem i widziałem, ale Tyson wskazał ręką na las i zrozumiałem, co go tak niepokoi. Gołębie uniosły się z drzew i chmarą przypominającą trąbę powietrzną zmie-rzały w kierunku toru.

Co za problem - powiedziałem sobie.- To tylko gołębie.

Musiałem się skupić na wyścigu.

Zrobiliśmy pierwsze okrążenie. Koła trzeszczały, rydwan groził przewróceniem, ale od Annabeth dzieliły nas już zaledwie trzy metry. Gdybym tylko zdołał się jeszcze zbliżyć, Tyson mógłby zrobić użytek ze swojego kija...

Wojownik Annabeth już się nie uśmiechał. Wyciągnął

jeden z oszczepów i wycelował prosto we mnie. Miał już cisnąć, kiedy usłyszeliśmy krzyk.

Gołębie zawisły całym stadem nad widownią, pikując na widzów na ławkach i atakując pozostałe rydwany.

Beckendorf był przez nie otoczony. Jego wojownik usiłował oganiać się od ptaków, ale niewiele widział. Ich rydwan zjechał z toru i miażdżył teraz pola truskawek. Z

mechanicznych koni unosiła się para.

Powoząca rydwanem Aresa Clarisse krzyknęła swoje-mu wojownikowi jakiś rozkaz, on zaś natychmiast zarzucił sieć kamuflującą na ich koszt. Ptaki spadły na nią, dziobiąc i drapiąc pazurami dłonie wojownika, który usiłował utrzymać sieć, a Clarisse tylko zacisnęła zęby i jechała przed siebie. Jej szkieletowe konie nic sobie nie robiły z ataku. Gołębie dziobały ich puste oczodoły, nie czyniąc żadnych szkód, i przelatywały im między żebrami, a rumaki mimo to pędziły dalej.

Widzowie nie mieli tyle szczęścia. Ptaki atakowały każdy odsłonięty kawałek ciała, wywołując panikę.

Teraz, kiedy tak się zbliżyły, widac było, że to nie są zwyczajne gołębie. Ich oczka były złowrogie i świdrujące.

Dzioby miały ze spiżu, a na dodatek, sądząc z okrzyków obozowiczów, ostre jak brzytwy.

- Ptaki stymfalijskie! - krzyknęła Annabeth.

Zwolniła i zrównała swój rydwan z moim. - Ogryzą wszystkich do kości, jeśli ich nie odgonimy!

- Tyson - powiedziałem. - zawracamy!

- Robimy coś źle? - spytał.

- Jak zawsze - mruknąłem, ale skierowałem rydwan ku widowni.

Annabeth jechała u mojego boku.

- Herosi do broni! - krzyczała. Nie byłem jednak pewny, czy

ktokolwiek ją słyszy w skrzeku ptaków i ogólnym hałasie.

Trzymałem wodze jedną ręką, podczas gdy drugą zdołałem dobyć Orkana, zanim chmara ptaków zaatakowała moją twarz, klekocząc metalowymi dziobami. Zamachnąłem się na nie mieczem i rozpadły się w pył pełen piór, ale zostały ich jeszcze setki. Jeden dziobnął mnie w kark, tak że omal nie wyleciałem z rydwanu.

Annabeth szło niewiele lepiej. Im bliżej byliśmy ławek tym gęstsza stawała się chmara ptactwa.

Część widzów zgromadzonych na trybunach usiłowała się bronic. Mieszkańcy domku Ateny wołali o tarcze.

Łucznicy z domku Apollina mieli ze sobą łuki i strzały i byli gotowi wystrzelać napastników, ale między ptakami znajdowało się tylu obozowiczów, że strzelanie nie było bezpieczne.

- Za dużo! - krzyknąłem do Annabeth. - Jak się ich pozbyć?

Przebiła gołębia sztyletem.

- Herakles wygonił je hałasem! Spiżowymi dzwonami! Odstraszył je za pomocą najokropniejszego dźwięku, jaki był w stanie...

Zagapiła się na coś szeroko otwartymi oczami.

- Percy... płyty Chejrona!

Zrozumiałem natychmiast.

- Myślisz, że to zadziała?

Oddała wodze wojownikowi i przeskoczyła do mojego rydwanu, jakby ćwiczyła taki manewr codziennie.

- Do Wielkiego Domu! To nasza jedyna szansa!

Clarisse przekroczyła właśnie linie mety, nie mając już rywali, i najwyraźniej dopiero teraz dostrzegła, jak poważnym problemem stały się ptaki.

Kiedy zobaczyła, że odjeżdżamy, wydarła się:

- Uciekacie? Walka odbywa się tutaj tchórze! - Dobyła miecza i ruszyła ku widowni.

Zmusiłem konie do galopu. Rydwan popędził przez pola truskawek, potem przez boisko do siatkówki i zatrzymał się gwałtownie przed Wielkim Domem.

Razem z Annabeth wpadliśmy do środka, pędząc kory-tarzem do mieszkania Chejrona.

Odtwarzacz stał na szafce nocnej. Obok leżały jego ulubione płyty. Złapałem najbardziej obciachową, jaka się nawinęła, Annabeth chwyciła odtwarzacz i razem wybiegliśmy na zewnątrz.

Rydwany na torze płonęły. Ranni obozowicze biegali w panice, ptaki rozdzierały ich ubrania i targały ich za włosy, Tantal zaś w najlepsze gonił po widowni za bute-leczkami, pokrzykując co chwilę:

- Wszystko pod kontrolą! Spokojnie!

Zatrzymaliśmy się na mecie. Annabeth nastawiła odtwarzacz. Modliłem się, żeby baterie działały.

Nacisnąłem PLAY i puściłem ulubioną płytę Chejro-na - Największe przeboje Deana Martina.

Powietrze nagle wypełniły dźwięki skrzypiec i chórek facetów zawodzących po włosku.

Demoniczne gołębie oszalały. Zaczęły krążyć bez celu, wpatrując się w siebie, jakby chciały wydziobać sobie wzajemnie mózgi. Chwilę później zostawiły tor wyścigo-wy w spokoju i wzbiły się w niebo potężną chmarą ciemnych kształtów.

- Łucznicy! - zawołała Annabeth. - Do dzieła!

Mając widoczne cele, łucznicy Apollina strzelali jak snajperzy. Większość z nich potrafiła strzelac kilkoma bełtami naraz. W ciągu kilku minut ziemia była usłana martwymi gołębiami o spiżowych dziobach, a te, które przeżyły, oddalały się cienką smużką ciągnącą się w stronę horyzontu.

Obóz został ocalony, ale straty były potężne.

Więk-szość rydwanów została całkowicie zniszczona.

Prawie wszyscy odnieśli jakieś rany i krwawili, podziobani przez ptaki. Dzieciaki z doku Afrodyty płakały, bo poniszczyły sobie fryzury i miały potargane ubrania.

- Brawo! - zawołał Tantal, nie patrząc bynajmniej na mnie i Annabeth. - Mamy pierwszego zwycięzcę!

Podszedł do mety i wręczył złoty wieniec - nagrodę za zwycięstwo w wyścigu - zdumionej Clarisse.

Następnie odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- A teraz zajmijmy się należytym ukaraniem tych rozrabiaków, którzy zakłócili przebieg wyścigu.

R O Z D Z I A Ł VII

PRZYJMUJĘ PREZENTY OD NIEZNAJOMEGO

Tantal był zdania, że ptaki stymfalijskie po prostu zajmowały się swoimi sprawami w lesie i nie zaatakowałyby, gdyby nie to, że Annabeth, Tyson i ja zaniepo-koiliśmy je niewłaściwym kierowaniem rydwanami.

Było to do tego stopnia niesprawiedliwe, że odpowie-działem Tantalowi, żeby lepiej gonił pączka, co nie poprawiło mu humoru. Skazał nas na służbę kuchenną: całe popołudnie czyszczenia garnków i półmisek w podziemnej kuchni ze sprzątającymi harpiami. Harpie do mycia używały lawy, a nie wody, co nadawało większy połysk i zabijało dziewięćdziesiąt dziewięć prze-cinek dziewięć procent zarazków, więc Annabeth i ja musieliśmy założyć azbestowe rękawice i fartuchy.

Tysonowi lawa nie przeszkadzała. Zanurzył gołe ręce w kotle i zabrał się do czyszczenia. Annabeth i ja prze-cierpieliśmy wiele godzin niebezpiecznej pracy w kosz-marnym gorącu, zwłaszcza że pojawiły się tony dodatko-wych naczyń. Tantal wyprawił bowiem specjalny popo-łudniowy bankiet na cześć zwycięstwa Clarisse w wyści-gu rydwanów - był to obiad składający się z kilku dań, włącznie z pieczonymi w ziołach ustrzelonymi ptakami stymfalijskimi.

Dobłą stroną tej kary było to, że teraz mieliśmy z Annabeth wspólnego wroga i mnóstwo czasu na pogawę-dki. Kiedy wysłuchiwała ponownie opowieści o moim gove-rowym śnie, najwyraźniej powoli zaczynała mi wierzyć.

- Jeśli on naprawdę to znalazł - mamrotała pod nosem - a nam udałooby się to odzyskać...

- Zaczekaj - przerwałem jej. - Zachowujesz się tak, jakby to... cokolwiek-to-jest, co znalazł Grover, było jedyną rzeczą zdolną uratować obóz. Co to jest?

- Dam ci odpowiedź. Co dostajesz, kiedy oskórujesz barana?

- Baraninę?

Westchnęła.

- Runo. Baranie futro nazywa się runem. A jeśli ten baran miał przez przypadek złotą wełnę...

- Złote runo. Mówisz poważnie?

Annabeth zrzuciła stertę ptasich kości z talerza do kotła z lawą.

- Pamiętasz staruchy, Percy? Powiedziały, że znają położenie miejsca, którego szukasz. Poza tym wspo-mniały o Jazonie. To jemu trzy tysiące lat temu powie-działy, jak znaleźć Złote Runo. Chyba znasz historię Jazona i Argonautów?

- Taaa - przytaknałem. - Takie stare filmidło z glinia-nymi szkieletami.

Annabeth przewróciła oczami.

- Na bogów, Percy! Ależ ty jesteś beznadziejny.

- Że co? - bardzo mnie to oburzyło.

- Posłuchaj. Oto prawdziwa historia Złotego Runa: była sobie dwójka dzieci, Fryksos i Helle, zgadza się?

Mieli zostac złożeni w ofierze, więc pomodlili się do Zeusa, żeby ich ocalił. Zeus wysłał im więc magicznego latającego baranka o złotej wełnie, który zabrał ich z Grecji i zaniósł aż do Kolchidy w Azji Mniejszej. Znaczy się, tak właściwie, to zaniósł Fryksosa bo Helle spadła zginęła po drodze, ale to nie jest istotne.

- Dla niej pewnie było.

- Chodzi o to, że kiedy Fryksos dotarł do Kolchidy, poświęcił złotego baranka bogom a Runo zawiesił na drzewie pośrodku królestwa, aby zapewniało krajowi dobrobyt. I rzeczywiście: zwierzęta nie chorowały, rośliny lepiej rosły, rolnicy mieli wspaniałe plony i nie znano żadnych chorób. Dlatego właśnie Jazon chciał

zdobyc Runo. Ono jest w stanie ożywić każdą krainę, w której się znajdzie. Leczy choroby, wzmacnia przyrodę, likwiduje zanieczyszczenia...

- Mogłoby uleczyć sosnę Thalii.

Annabeth przytaknęła.

- I doskonale wzmocniłoby granice obozu. Tylko wiesz, Percy, nikt nie widział Runa od wielu stuleci.

Szukały go legiony herosów - wszyscy bezskutecznie.

- A Grover je znalazł - powiedział. - Szukał Pana, a zamiast tego odnalazł Złote Runo, ponieważ ono również emanuje naturalną magią. To ma sens Annabeth.

Możemy za jednym zamachem ocalić Grovera i obóz. Co za fantastyczny zbieg okoliczności!

Annabeth się zawahała.

- Nieco zbyt fantastyczny, nie uważasz? A jeśli to pułapka?

Przypomniało mi się zeszłe lato, kiedy Kronos mani-pulował naszą misją. Omal nie udało mu się wplątać nas w wywołanie wojny, która zniszczyłaby zachodnią cywilizację.

- A mamy wybór? - zapytałem. - Pomożesz mi ocalić Grovera czy nie?

Zerknęła na Tysona, który dawno już stracił zainteresowanie naszą rozmową i radośnie taplał się w lawie, puszczając stateczki z filiżanek i łyżek.

- Percy - szepnęła Annabeth. - będziemy musieli zmie-rzyć się z cyklopem. Z Polifemem, najgorszym ze wszystkich. A jego wyspa może leżec tylko w jednym miejscu. Na Morzu Potworów.

- A gdzie to jest?

Popatrzyła na mnie, jakbym udawał głupiego.

- Morze Potworów. To samo, po którym pływali Odyse-usz, Jazon, Eneasz i wszyscy inni.

- Masz na myśli Morze Śródziemne?

- Nie. To znaczy tak... ale nie.

- Dzięki za kolejną wszystko wyjaśniającą odpowiedź.

- Słuchaj, Percy, wszyscy herosi w swoich podróżach żeglują przez Morze Potworów. Kiedyś znajdowało się ono na Morzu Śródziemnym, zgoda. Ale podobnie jak wszystko inne, ono także się przenosi wraz z ośrodkiem mocy Zachodu.

- Tak samo jak Olimp znajdujący się nad Empire State Building - podpowiedziałem. - i Hades pod Los Angeles.

- Właśnie

- Ale całe morze pełne potworów... Jak można ukryć coś takiego? Przecież śmiertelnicy zauważą, że dzieje się coś dziwnego... Jakieś

pożerane statki i tak dalej.

- Ależ oczywiście, że zauważają. Nie rozumieją, co się dzieje, ale wiedzą, że coś jest nie w porządku z tym kawałkiem oceanu. Morze Potworów znajduje się obecnie u wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, dokładniej - na północny wschód od Florydy.

Śmiertelni-cy nadali mu nawet nazwę.

- Czyżby Trójkąć Bermudzki?

- Właśnie.

Zastanowiłem się nad tym. Nie było to wcale dziwaczniejsze od wielu innych rzeczy, których dowiedziałem się po przybyciu po raz pierwszy do Obozu Herosów.

- Dobra. W takim razie przynajmniej wiemy, gdzie szukać.

- To nadal spory obszar, Percy. Poszukiwanie jednej maleńkiej wysepki na morzu pełnym potworów...

- Ej, od czegoś jestem synem pana mórć. To mój żywioł. Będzie bardzo trudno?

Annabeth ściągnęła brwi.

- Musimy porozmawiać z Tantalem i uzyskać zgodę na misję. A on odmówi.

- Nie, jeśli wyjedziemy z tym wieczorem przy ognisku na oczach wszystkich. Cały obóz to usłyszy. Będą na niego naciskać. Nie będzie mógł odmówić.

- Może - w głosie Annabeth pojawiła się nutka nadziei.

- Lepiej pospieszmy się z tym zmywaniem. Możesz podać mi rozpylacz lawy?

Wieczorem przy ognisku domek Apollina prowadził śpiewy. Robili, co mogli, żeby dodać nam ducha ale nie było to łatwe po przedpołudniowym ataku ptaków.

Sie-dzieliśmy wszyscy w półokręgu na kamiennych scho-dach, śpiewając bez wielkiego przekonania i przyglądając się płomieniom

ogniska, podczas gdy Apollinowe chłopaki brzdąkali w liry i gitary.

Odśpiewaliśmy wszystkie typowe kawałki obozowe: Hej, ha! Nektaru najej!, Jutrzenki już dogasa blask, Pytia blues. Ognisko jest zaczarowane: im głośniej się śpiewa, tym wyżej wzbijają się płomienie, zmieniając kolory i temperaturę w zależności od nastroju zebranych. W radosne wieczory widziałem ogień strzelający na sześć metrów wwyż, jasnoczerwony i tak gorący, że leżące najbliżej kiełbaski pękały w żarze.

Teraz płomie-nie sięgały marne półtora metra, były letnie i miały bladą barwę.

Dionizos opuścił nas wcześniej. Wytrzymał kilka pieśni i zaczął narzekac, że nawet remik z Chejronem był

bar-dziej pasjonującą rozrywką. Następnie rzucił

Tantalowi pełne niesmaku spojrzenie i powlókł się w stronę Wielkiego Domu.

- Cudownie! - oznajmił Tantal, kiedy wybrzmiała ostatnia pieśń.

Podszedł niedbałym krokiem do ognia, trzymając patyk z nabita kiełbaską, jakby to robił co dnia. Zanim jednak jej dotknął kiełbaska spadła z kijka. Tantal natychmiast skoczył za nią, ale ona wołała popełnic samobójstwo i rzuciła się w ogień.

- Dobra! A teraz ogłoszenia co do jutrzejszych zajęć.

- Proszę pana - odezwałem się.

Tantal zmróżył oczy.

- Nasz podkuchenny ma coś do powiedzenia?

Od strony grupy Aresa dało się słyszeć szydercze chichoty, ale nie zamierzałem dopuścić do tego, żeby ktokolwiek zgasił mnie w taki sposób. Wstałem i zerknąłem na Annabeth. Bogom niech będą dzięki za jej wsparcie.

- Mamy pomysł, jak ocalić obóz - oznajmiłem.

Zapadła martwa cisza, ale wiedziałem, że wszyscy czekają

niecierpliwie na dalszy ciąg, ponieważ płomień rozblęśły żółtą barwą.

- Doprawdy - odpowiedział beznamiętnie Tantal. - Jeśli ma to jakikolwiek związek z rydwanami...

- Złote Runo - przerwałem mu. - Wiemy gdzie ono jest.

Płomień buchnął na pomarańczowo. Zanim Tantal zdołał mnie powstrzymać, wyrzuciłem z siebie wszystko na temat mojego snu z Groverem na wyspie Polifema.

Annabeth wstała i przypomniała wszystkim do czego zdolne jest Runo. W jej ustach brzmiało to jakoś bardziej przekonująco.

- Runo może ocalić obóz - oznajmiła. - Jestem tego pewna.

- Bzdura - odparł Tantal. - Nie potrzebujemy żadnego ocalenia.

Wszyscy wbili w niego wzrok, aż poczuł się niepewnie.

- A poza tym - dodał szybko - Morze Potworów? To nie-zbyt dokładne dane. Nie macie nawet pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania.

- Owszem, mamy - oznajmiłem.

Annabeth spojrzała na mnie.

- Masz? - szepnęła.

Przytaknąłem, bo Annabeth przypomniała mi o czymś, kiedy wspomniała staruchy. Podana przez nie informacja wydawała mi się wcześniej pozbawiona sensu. Ale teraz...

- 30, 31, 75, 12 - powiedziałem.

- Wspaniaaaale - odrzekł Tantal. - Dziękujemy, że raczyłeś się z nami podzielić tymi bezsensownymi liczbami.

- To muszą być współrzędne - powiedziałem. - Długość i szerokość geograficzna. Miałem to, na... no... na geografii.

Nawet Annabeth popatrzyła na mnie z uznaniem.

- 30 stopni i 31 minut szerokości północnej, 75 stopni i 12 minut długości zachodniej. On ma rację! Staruchy podały nam współrzędne. To musi być gdzieś na Atlantyku, na wschód od Florydy, Morze Potworów.

Prosimy o przydzielenie zadania!

- Zaczekaj, dziecko - odpowiedział Tantal.

Obozowicze podjęli jednak jej słowa jak pieśń.

- Przydziel zadanie! Przydziel zadanie!

Płomienie buchnęły do góry.

- To niepotrzebne! - upierał się Tantal.

- PRZYDZIEL ZADANIE! PRZYDZIEL ZADANIE!

- Świetnie! - krzyknął w końcu Tantal, a oczy błyszczały mu gniewnie - Dzieciarnia chce, żebym przydzielił zadanie?

- TAK!

- Doskonale - powiedział. - Pozwolę bohaterowi udac się w niebezpieczną podróż, odzyskać Złote Runo i przy-niesć je do obozu. Chyba że wcześniej zginie.

Poczułem podniecenie. Nie pozwolę, aby Tantal mnie wystraszył. Tego właśnie potrzebowałem. Pójdę urato-wać Grovera i obóz. Nic mnie nie powstrzyma.

- Pozwolę naszemu bohaterowi skonsultować się z Wyrocznią! - oznajmił Tantal. - I wybrać dwóch towarzy-szy podróży. Wybór bohatera jest chyba oczywisty.

Tantal spojrzał na Annabeth i na mnie, jakby zamierzał obedrzec nas żywcem ze skóry.

- Bohaterem powinien być ktoś, kto zyskał szacunek wśród obozowiczów, kto wykazał się sprytem w wyścigu rydwanów i odwagą w obronie obozu. To ty poprowa-dzisz tę wyprawę... Clarisse!

Ogień zamigotał tysiącem najróżniejszych barw.

Mieszkańcy domku Aresa wiwatowali i tupali.

- CLARISSE! CLARISSE!

Clarisse wstała, wyraźnie oszołomiona. Następnie przełknęła ślinę i wypięła dumnie pierś.

- Przyjmuję zadanie!

- Ejże! - krzyknąłem. - Grover to mój kumpel. To ja miałem sen.

- Siadaj! - krzyknął ktoś z grupy Aresa. - Ty miałeś swoje pięć minut w zeszłym roku.

- Aha, on znowu chce być w centrum uwagi! - dorzucił ktoś inny.

Clarisse spojrzała na mnie ze złością.

- Przyjmuję zadanie! - powtórzyła. - Ja, Clarisse, córka Aresa, ocalę obóz!

Dzieci Aresa wiwatowały jeszcze głośniejsze. Annabeth usiłowała protestować, poparli ją inni z grupy Ateny.

Wszyscy zaczęli brnąć struny - krzycząc, kłócąc się i obrzucając kielbaskami. Już byłem przekonany, że zmieni się to w otwartą wojnę na pieczone ziemniaki, kiedy Tantal wrzasnął:

- Spokój bachory!

Jego ton zadziałał nawet na mnie.

- Siadac! - rozkazał. - Opowiem wam straszną historię.

Nie mieliśmy pojęcia do czego zmierzał, ale wszyscy niechętnie powróciliśmy na miejsca. Emanująca od Tantara złowroga aura była równie mocna jak u każdego potwora, z jakim miałem do czynienia.

- Pewnego razu żył sobie ludzki król, który był szczególnie umiłowany przez bogów! - Tantal położył sobie rękę na piersi, uznałem więc, że mówi o sobie.

- Ten król - ciągnął. - bywał nawet zapraszany na ucztę na Olimpie. Kiedy jednak próbował wynieść nieco ambrozji i nektaru na ziemię, żeby rozgryźć recepturę -

wiecie, chodziło tylko o jedną małą ciutkę - bogowie go ukarali. Wygnali go na zawsze ze swoich pałaców! Jego własny lud wyśmiewał się z niego! Własne dzieci z niego drwiły! A wierzcie mi, obozowicze, miał okropne dzieci.

Dzieci - zupełnie - takie - jak - wy!

Wskazał zakrzywionym palcem kilkoro spośród słuchających go obozowiczów, w tym również mnie.

- I wiecie co ten król zrobił ze swoimi niewdzięcznymi dziećmi? - spytał Tantal cicho. - Wiecie, jak odpłacił

bogom za okrutną karę, jaka go spotkała? Zaprosił

Olimpijczyków na ucztę w swoim pałacu, żeby pokazać im, że nie żywi urazy. Nikt nie zauważył, że nigdzie nie było dzieci. A kiedy bogowie dostali swój posiłek, zgadnijcie, co było w potrawce?

Nikt nie odważył się odpowiedzieć. Płomień miał teraz ciemnogrnatową barwę, rzucając na wykrzywioną twarz Tantara przeraźliwe cienie.

- Bogowie oczywiście ukarali go po śmierci - zakrakał

Tantal. - Pewnie, że ukarali. Ale on miał chwilę satysfakcji, nie? Jego dzieci nigdy więcej mu nie odpyskowały ani nie podważały jego autorytetu. I wiecie co? Słyszałem plotkę, że duch tego króla zamieszkał na tym właśnie obozie, czekając na okazję zemsty dla niewdzięcznych, buntowniczych dzieciach. A zatem...

ktoś jeszcze ma jakieś zastrzeżenia co do wysłania Clarisse na misję?

Milczenie.

Tantal skinął na Clarisse.

- Wyrocznia, moja droga. Proszę bardzo.

Clarisse przestępowała niespokojnie z nogi na nogę, jakby nawet ona nie pragnęła chwały za cenę bycia ulubienicą Tantara.

- Proszę pana...

- Idź! - warknął.

Ukloniła się niezgrabnie i pobiegła w stronę Wielkiego Domu.

- A co z tobą, Percy Jacksonie? - zamyślił się Tantal. -

Nie masz nic do powiedzenia, kuchto?

Nic nie odpowiedziałem. Nie zamierzałem mu dac okazji do ukarania mnie po raz kolejny.

- Doskonale - powiedział Tantal. - Przy okazji przypo-minam: nikt nie opuszcza terenu tego obozu bez mojego pozwolenia. Każdy, kto spróbuje... No cóż, jeśli przeżyje próbę, to będzie miał wieczysty zakaz wstępu, ale do tego raczej nie dojdzie. Od dziś harpie będą pilnowały rozkładu dnia, a one są zawsze głodne!

Dobranoc, drodzy obozowicze. Miłych snów.

Tantal machnął ręką i ogień zgasł, a my powlekliśmy się ku naszym domkom w ciemności.

Nie byłem w stanie nic wytłumaczyć Tysonowi.

Wiedział, że jest mi przykro. Że chciałem wyruszyć na wyprawę, a Tantal mi nie pozwolił.

- I tak pójdziesz? - spytał.

- Nie wiem - przyznałem. - To byłoby trudne. Bardzo trudne.

- Pomogę ci.

- Nie. Nie... nie mógłbym prosić cię o coś takiego, wielkoludzie. To zbyt niebezpieczne.

Tyson spojrzał na leżące na jego kolanach kawałki metalu, z których coś składał: sprężyny, kółka zębate i drobne druciki. Beckendorf dał mu trochę narzędzi i części zapasowych i teraz Tyson spędzał wieczory na majsterkowaniu, choć nie mogłem pojąć, w jaki sposób jego wielkie łapska są w stanie posługiwać się tak drob-nymi przedmiotami.

- Co budujesz? - zapytałem.

Tyson nie odpowiedział. Za to z głębi jego gardła wydo-był się żałosny jęk.

- Annabeth nie lubi cyklopów. Ty... nie chcesz mnie na wyprawie?

- Och, to nie o to chodzi - powiedziałem bez przekonania. - Annabeth cię lubi. Naprawdę.

Przypomniało mi się, że Grover, podobnie jak wszyscy satyrowie, umie odczytywać ludzkie emocje.

Zastana-wiałem się, czy cyklopi mają tak samo.

Tyson zawinął to, nad czym pracował, w kawałek ceraty. Ułożył się na łóżku i przycisnął swoje zawinątko do piersi, jakby to był pluszowy miś. Kiedy odwrócił się do ściany, zobaczyłem na jego plecach te dziwaczne blizny... jakby ktoś przejechał po nim traktorem. Po raz nie wiem który zastanowiło mnie, co go tak poraniło.

- Tatuś zawsze się o mnie troszczył - pociągnął nosem.

- Ale... myślę, że było mu przykro, że ma dziecko cyklopa.

Nie powinienem się w ogóle urodzić.

- Przestań tak mówić! Posejdon cię uznał, prawda? To znaczy... że mu na tobie zależy... i to bardzo...

Urwałem, myśląc o tych wszystkich latach, które Tyson przeżył na nowojorskiej ulicy, mieszkając w kartonie po lodówce. Dlaczego uważał, że Posejdon się o niego troszczy? Co za ojciec pozwala, żeby jego dziecko tak żyło, nawet jeśli to dziecko jest potworem?

- Tyson... obóz to dobry dom dla ciebie. Inni też się przyzwyczajają. Obiecuję.

Tyson westchnął. Myślałem, że mi coś odpowie. Po chwili zorientowałem się, że zasnął.

Leżałem na swoim łóżku, usiłując zamknąć oczy, ale nie mogłem. Bałem się, że może mi się znów przyśnić Grover. Jeśli to empatyczne łącze jest prawdziwe... jeśli coś mu się stanie... czy ja jeszcze kiedykolwiek się obudzę?

Przez okno widziałem księżyc w pełni. Z oddali dobiegał szum fal. Czułem ciepły zapach pól truskawkowych, słyszałem śmiech driad

goniących sowy po lesie. W tej nocy wyczuwało się jednak również coś złego: chorobę sosny Thalii, zatruwającą całą dolinę.

Czy Clarisse zdoła ocalić Wzgórze Herosów?

Uznałem, że więcej postawiłbym na to że to ja dostanę od Tantara odznakę Najlepszego Uczestnika Obozu.

Wstałem i wciągnąłem na siebie jakieś ubranie.

Wyjąłem spod łóżka ręcznik plażowy i sześciopak coli.

Cola była wbrew przepisom. Na obozie nie wolno pic ani jeść niczego przyniesionego z zewnątrz, ale jeśli się pogadało z kolegami z domku Hermesa i zapłaciło kilka złotych drachm, mogli przemycić niemal wszystko z najbliższego sklepu spożywczego.

Łaźnię po terenie po godzinie, kiedy wszyscy mieli być już w domkach, również było wbrew zasadom. Jeśli zostałem złapany, byłbym w niezłych opałach albo pożarłyby mnie harpie. Ale miałem ochotę pobyc nad oceanem. Zawsze się tam lepiej czuję. Lepiej mi się myśli. Wyszedłem z domku i skierowałem się na plażę.

Rozłożyłem ręcznik tuż obok linii przyływu i otworzyłem puszkę coli. Z niewiadomych powodów cukier i kofeina potrafiły zawsze nieco uspokoić mój nadaktywny mózg.

Usiłowałem wymyślić, co by tu zrobić, żeby uratować obóz, ale nie miałem żadnych pomysłów. Marzyłem o tym, żeby Posejdon ze mną porozmawiał, dał mi jakąś szansę czy co.

Niebo nade mną było czyste i pełne gwiazd.

Szukałem gwiazdozbiorów, które Annabeth nauczyła mnie rozpoznawać: Strzelec, Herkules, Orion, kiedy nad sobą usłyszałem głos:

- Piękne, prawda?

Omal nie zachłysnąłem się colą.

Tuż koło mnie stał facet w nylonowych spodenkach do biegania i

koszulce nowojorskiego maratonu. Był

szczupły i wysportowany, miał szpakowate włosy i łajdacki uśmiech na twarzy. Jakbym skądś go znał, ale nie wiedziałem skąd.

Z początku pomyślałem, że może biegał wieczorem po plaży i zabłądził w granice obozu. To nie powinno się zdarzyć. Zwykli śmiertelnicy nie byli w stanie wejść do doliny. Być może słabnąca magia sosny go przepuściła.

Ale w środku nocy? Na dodatek wokół nie ma nic oprócz kilku farm i rezerwatów przyrody. Skąd ten facet miałby przybiec?

- Mogę się przysiąc? - zapytał. - Strasznie dawno nie siedziałem.

Jasne, wiem... obcy w środku nocy. Zdrowy rozsądek podpowiadał: uciekaj, wzywaj pomoc itd. Ale ten czło-wiek zachowywał się tak spokojnie, że trudno było się go bac.

- Eee... oczywiście - odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję, miło z twojej strony. O, coca-cola! Mogę się poczęstować?

Usiadł po drugiej stronie ręcznika, otworzył puszkę i pociągnął łyk.

- No... i o to chodziło. Spokój, cisza i...

W jego kieszeni rozległ się dźwięk telefonu komórko-wego.

Biegacz westchnął. Wyjął komórkę, a ja otworzyłem oczy szekoro ze zdumienia: jego telefon otaczała niebie-skawa poświata. A kiedy wyciągnął antenkę, owinęły się wokół niej dwa stworzenia... zielone węże, nie większe od dżdżownic.

On sam nie zwracał na to uwagi. Zerknął na wyświetlacz i zaklą pod nosem.

- Muszę to odebrać. Chwileczkę. - Po czym odezwał się do telefonu: - Słucham?

I słuchał. Małeńkie węże pełzały tam i z powrotem po antence tuż

koło jego ucha.

- Tak - powiedział biegacz. - Tak... wiem, ale... nie obchodzi mnie, że jest przykuty do skały, a sępy wydzio-bują mu wątrobę. Jeśli nie ma numeru przesyłki, to nie jesteśmy w stanie jej sprawdzić... Dar dla ludzkości, super... Wiesz, ile my tego dostarczamy...

nieważne. Słuchaj, może odeślij go do Eris z działu obsługi klienta. Muszę kończyć.

Zakończył połączenie.

- Przepraszam. Biznes z nocną pocztą kwitnie. O czym to ja mówiłem...

- Masz węże na telefonie.

- Co? A, nie gryzą. Przywitajcie się... Greg, Marta...

Greg... Marta... - odezwał się chrapliwy męski głos w mojej głowie.

Nie bądź sarkastyczny - odpowiadał mu kobiecy głos.

A dlaczego? - spytał Greg. - To przecież ja wykonuję całą robotę.

- Och, dajmy sobie z tym spokój! - Biegacz wsunął tele-fon z powrotem do kieszeni. - O czym to my... Ach, tak.

Spokój i cisza.

Usiadł na skrzyżowanych nogach, po czym zapatrzył się w gwiazdy.

- Od tak dawna nie miałem okazji odpocząć. Odkąd wynaleziono telegraf, nic tylko pośpiech i pośpiech. Masz jakiś ulubiony gwiazdozbiór, Percy?

Wciąż nie mogłem przestać myśleć o maleńkich zielonych węzach, które wrzucił do kieszeni swoich szortów, ale odpowiedziałem:

- Hm, lubię Herkulesa.

- Dlaczego?

- No... miał chłopak pecha. Jeszcze bardziej niż ja.

Dzięki czemu czuję się nieco lepiej.

Biegacz się roześmiał.

- A nie dlatego, że był silny, sławny i tak dalej?

- Nie

- Ciekawy z ciebie młodzieniec. Co zamierzasz?

Wiedziałem doskonale o co pyta. Co zamierzasz zrobić w kwestii Runa.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, z jego kieszeni odezwał się przytłumiony głos węża o imieniu Marta: Mam Demeter na dwójce.

- Nie teraz - powiedział biegacz. - Powiedz, żeby została wiadomość.

Nie spodoba jej się to. Jak ostatnio kazałeś jej czekać, kwiaty w przesyłce zwiędły.

- Powiedz jej, że mam spotkanie! - Biegacz przewrócił oczami. - Wybacz, Percy. Mówiłeś, że...

Pokaż mu! - poprosiła Marta. - Nie pamiętam kiedy ostatnio byłam pełnowymiarowa!

Nie słuchaj jej! - zaprotestował Greg. - Ona tylko chce się popisać! Mężczyzna wyciągnął ponownie telefon.

- Pierwotna forma, proszę.

Komórka rozbłysnęła na niebiesko i rozciągnęła się w półtorametrowy drewniany kij z gołębimi skrzydełkami na samej górze. Greg i Marta, będący teraz całkiem sporymi zielonymi węzami, owinęły się wokół laski. To był kaduceusz, symbol domku numer jedenaście.

Serce skoczyło mi do gardła. Wiedziałem już, kogo swoim elfim wyglądem przypominał mi ten biegacz o nieco łajdackim błyskiem w oku...

- Jesteś ojcem Luke'a - powiedziałem. - Hermesem.

Bóg wyduł usta. Wbił kaduceusz w piasek, jakby to był kijek od

parasola plażowego.

- "Ojciec Luke'a". Tak to ludzie raczej mnie nie nazywają. Bóg złodziei, owszem. Bóg posłańców i podróżników, jeśli chcą być uprzejmi.

Bóg złodziei jest jak najbardziej na miejscu - oznajmił Greg.

Nie przejmuj się Gregiem. - Marta wysunęła ku mnie język. - Jest wredny, ponieważ Hermes woli mnie.

- Nieprawda!

- Prawda!

- Zachowujcie się - ostrzegł je Hermes - albo zamienię was z powrotem w komórkę i włączę alarm wibracyjny! A ty, Percy, wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co zamierzasz zrobić w kwestii misji?

- N-nie mam pozwolenia na misję.

- Owszem, nie masz. Czy to cię powstrzyma?

- Chcę pójść. Muszę uratować Grovera.

Hermes się uśmiechnął.

- Znałem kiedyś chłopaka... o, sporo od ciebie młodsze-go.

Właściwie to niemowlaka...

Zaczyna się - odezwał się Greg. - znowu będzie gadał o sobie.

Zamknij się! - warknęła Marta. - Chcesz przejść w tryb wibracji?

Hermes nie zwracał na nich uwagi.

- Pewnej nocy, kiedy matka tego chłopca nie patrzyła, wymknął się z jaskini i ukradł stado należące do Apollina.

- I został zmielony w drobny mak?

- Hmmm... nie. Po prawdzie wszystko skończyło się całkiem nieźle. Żeby wynagrodzić mu tę kradzież, chłopiec dał Apollinowi wynaleziony przez siebie instrument - lirę. Apollo tak się zachwycił muzyką, że zapomniał o gniewie.

- A jaki morał płynie z tej historii?

- Morał? - spytał Hermes. - Na bogów, traktujesz to jak bajkę. A to najprawdziwsza prawda. Czy z prawdziwej historii ma płynąć morał?

- Yyy...

- Co powiesz na to: kradzież nie zawsze jest zła?

- Nie sądzę, żeby spodobało się mojej mamie.

Szczury są pyszne - odpowiedział Greg.

A co to ma wspólnego z opowieścią? - spytała Marta.

Nic - odpowiedział Greg - ale jestem głodny.

- Już wiem - powiedział Hermes. - Młodzi ludzie nie zawsze słuchają poleceń, ale jeśli im się powiedzie i zrobią coś wspaniałego, czasem udaje im się uniknąć kary. Co na to powiesz?

- Podpowiadasz, że powinienem mimo wszystko ruszyć na wyprawę - powiedziałem - nawet mimo braku pozwolenia?

Oczy Hermesa rozbliły.

- Marto, czy mogę prosić o pierwszą teczkę?

Marta otworzyła pyszczek... i otwierała go dopóki nie zrobił się szeroki jak moje ramię. Następnie wypuła stalowy pojemnik - staroświecki termos z czarną plastikową pokrywką. Na jego boku były wymalowane na czerwono i żółto sceny mitologiczne: heros zabijający lwa i tenże heros unoszący w powietrze trzygłowego psa Cerbera.

- To Herakles - powiedziałem. - Ale jak...

- Jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj... - zadrwił

Hermes. - To przedmiot kolekcjonerski. Z Archiwum H, sezon pierwszy.

- Z Archiwum H?

- Boski materiał - westchnął Hermes. - Z czasów, zanim TV Hefajstos przerzuciła się na programy rozrywkowe. Oczywiście ten termos byłby wart znacznie więcej, gdybym miał pudełko na kanapki do

kompletu...

Albo gdyby Marta nie trzymała go w pysku - dorzucił
Greg.

Dostaniesz za to! - Marta zaczęła gonic go wokół
kaduceusza.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Dajesz mi to w prezen-cie?

- Jednym z dwóch - odparł Hermes. - No już, weź.

Omiał nie upuścić termosu, ponieważ z jednej strony był
lodowato zimny, z drugiej zaś wściekle gorący.

Naj-dziwniejsze było to, jakkolwiek obracałem termos, zawsze był
zimny od strony oceanu... od północy...

- To kompas! - zawołałem.

Hermes wyglądał na zaskoczonego.

- Bardzo sprytne. Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Jego zamierzone przeznaczenie jest nieco bardziej powa-żne.

Odetkaj go, a wypuścisz wiatry z dowolnej strony świata, żeby
przyspieszyć podróż. Nie teraz! I proszę, kiedy zechcesz to zrobić,
odkręć zakrętkę tylko troszkę. Wiatry są trochę jak ja - zawsze w ruchu.
Gdyby wszy-stkie cztery wydostały się naraz... Och, jestem pewny, że
będziesz ostrożny. A gdzie mój drugi prezent?

Greg?

Ona mnie dotyka - poskarżył się Greg. Oboje z Martą ślizgali się
po kaduceuszu.

- Ona cię zawsze dotyka - zwrócił uwagę Hermes. -

Jesteście spleceni. A jeśli zaraz nie przestaniecie, to znowu się
zawiążecie w supel.

Węże przerwały zapasy.

Greg rozsunał szczęki i wypuł niewielką plastikową buteleczkę
napelnioną witaminowymi pastylkami do żucia.

- Chyba żartujesz - powiedziałem. - Czy one mają kształt minotaurów?

Hermes wziął buteleczkę i nią potrząsnął.

- Cytrynowe, owszem. Winogronowe są chyba w kształcie Erynii. A może hydr? W każdym razie są bardzo potężne. Nie zażywaj ich, jeśli nie będziesz naprawdę potrzebował.

- A po czym poznam, że naprawdę potrzebuję?

- Uwierz mi, będziesz wiedział. Dziewiec podstawowych witamin, minerałów, aminokwasów...

Wszystko, czego potrzeba, żeby poczuć się znów sobą.

Rzucił we mnie buteleczką.

- Yyy, dziękuję. - powiedziałem. - Ale powiedz mi, Panie Hermesie, dlaczego mi pomagasz?

Uśmiechnął się do mnie melancholijnie.

- Może dlatego, że mam nadzieję, że uda ci się uratować wielu ludzi dzięki tej wyprawie, Percy. Nie tylko twojego przyjaciela, Grovera. Wbiłem w niego wzrok.

- Masz na myśli... Luke'a?

Hermes nie odpowiedział.

- Słuchaj - powiedziałem. - Znaczy się, Panie Hermesie, dziękuję i tak dalej, ale możesz równie dobrze zabrać z powrotem swoje dary. Luke'a nie da się ocalić. Nawet gdyby udało mi się go znaleźć... On mi powiedział, że chce rozwalic Olimp na kawałki. Zdradził wszystkich, których znał. On... on nienawidzi zwłaszcza ciebie.

Hermes wpatrywał się w gwiazdy nad naszymi głowami.

- Mój drogi młody kuzynie... Przez te tysiące lat nauczyłem się jednej rzeczy na pewno: nie wolno przekreślać nikogo z rodziny, niezależnie od tego, jak ten ktoś się o to stara. Nieważne, jak bardzo cię niena-widzą, jak cię zawstydzają albo po prostu nie doceniają twojego

geniuszu, mimo że wynalazłeś internet...

- To ty wynalazłeś internet?

Pomysł wyszedł ode mnie - odezwała się Marta.

Szczury są pyszne - oznajmił Greg.

- Pomysł był mój - powiedział Hermes. - Mam oczywiście na myśli internet, a nie szczury. Ale nie o to chodzi, Percy, czy ty rozumiesz to, co mówię o rodzinie?

- N-nie... nie jestem pewny.

- Kiedyś zrozumiesz. - Hermes wstał i strzepnął piasek z nóg. - A tymczasem muszę lecieć.

Masz sześćdziesiąt nieodebranych telefonów - podrzu-ciła Marta.

I tysiąc trzydzieści siedem e-maili - dodał Greg. - Nie licząc ofert zniżki na ambrozię zamawianą online.

- A co do ciebie, Percy - powiedział jeszcze Hermes - to czas, w jakim musisz wypełnić zadanie, jest znacznie krótszy, niż ci się wydaje. Twoi przyjaciele powinni zaraz tu być... już są.

Usłyszałem Annabeth wołającą mnie po imieniu zza wydm. Głos Tysona dobiegał z nieco większej odległości.

- Mam nadzieję, że dobrze was spakowałem - powiedział Hermes. - Mam pewne doświadczenie w podróżo-waniu.

Pstryknął palcami i u moich stóp pojawiły się trzy żółte worki żeglarskie.

- Oczywiście wodoodporne. Jeśli ładnie poprosisz, to twój ojciec powinien pomóc wam dostać się na statek.

- Statek?

Hermes wskazał ręką. Istotnie, przez zatokę Long Island zbliżał się wielki statek wycieczkowy. Jego białe i złote światła odbijały się na

ciemnej powierzchni wody.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Nic z tego nie rozumiem.

Nawet nie zgadzałem się na tę podróż!

- Na twoim miejscu podjąłbym decyzję w ciągu najbliższych pięciu minut - poradził mi Hermes. - Tyle potrzebują harpie, żeby tu dotrzeć i was pozrec. A teraz dobranoc, kuzynie i... czy wypada mi to powiedzieć?

Niech bogowie będą z tobą.

Wyciągnął rękę i kaduceusz podpłynął ku jego dłoni.

Powodzenia - powiedziała do mnie Marta.

Przywieź mi szczura - dorzucił Greg.

Kaduceusz zamienił się w telefon i Hermes wsunął go do kieszeni.

Oddalił się biegiem po plaży. Dwadzieścia kroków od nas jego kształt zamigotał i znikł, pozostawiając mnie samego z termosem, buteleczką pastylek witaminowych i pięcioma minutami na podjęcie właściwej decyzji.

R O Z D Z I A Ł VIII

NA POKŁADZIE

"KSIĘŻNICZKI

ANDROMEDY"

Kiedy znaleźli mnie Annabeth i Tyson, wpatrywałem się w fale.

- Co się dzieje? - zapytała Annabeth. - Wołałeś o pomoc!

- Ja też słyszałem! - dodał Tyson. - Słyszałem jak krzyczysz

"Potwory atakują!"

- Nikogo nie wołałem - odrzekłem. - Wszystko w porządku.
 - W takim razie, kto... - Annabeth zauważyła trzy żółte worki, termos i buteleczkę witamin w mojej ręce -

Co...

- Posłuchajcie - powiedziałem. - Nie mamy dużo czasu.
 Opowiedziałem im o rozmowie z Hermesem. Zanim skończyłem, w oddali dało się słyszeć skrzeczenie: patrol złapał nasz trop.

- Percy - oznajmiła Annabeth. - Musimy podjąć się tej misji.
 - Wywalą nas, wiesz o tym. Wierz mi, w tej dziedzinie jestem ekspertem.

- No to co? Jeśli nam się nie uda to i tak nie będzie żadnego obozu.
 - Tak, ale obiecałem Chejronowi...
 - A ja obiecałam, że będę cię strzegła przed niebezpieczeństwami. Złamię obietnicę, jeśli nie pojedę z tobą! Tyson może zostać i powiedzieć im...

- Chce jechać - oznajmił Tyson.

- Nie! - w głosie Annabeth zabrzmiała nutka paniki. -
 To znaczy... Percy, zrób coś. Wiesz, że to niemożliwe.
 Znow zasnatowało mnie, o co jej chodzi z tymi cyklo-pami.
 Najwyraźniej o czymś nie chciała mi powiedzieć.

Oboje z Tysonem wpatrywali się we mnie, oczekując odpowiedzi.
 Tymczasem statek oddalał się coraz bardziej.

Sęk w tym, że jakaś częśćka mnie wcale nie pożałowała towarzystwa Tysona. Spędziłem w jego towarzystwie ostatnie trzy dni, wykpiwany przez pozostałych obozowiczów i wprawiany w zakłopotanie milion razy dziennie, ponieważ wciąż mi wypominano nasze pokrewieństwo. Potrzebowałem nieco oddechu.

Na dodatek nie miałem pojęcia, czy on w ogóle będzie w stanie

nam pomóc, ani też jak go pilnować. Pewnie, Tyson był bardzo silny, ale na miarę cyklopią był wciąż małym dzieckiem, umysłowo odpowiednikiem siedmio-, może ośmiolatka. Wyobrażałem sobie, jak panikuje i zaczyna płakać, kiedy usiłujemy przemknąć niezauważeni obok jakiegoś potwora czy coś w tym rodzaju. Mógł nas wszystkich narazić na śmierć.

Z drugiej strony skrzeczenie harpii się zbliżało...

- Nie możemy go zostawić - zdecydowałem. - Tantal go ukarze za naszą ucieczkę.

- Percy - powiedziała Annabeth, usiłując zachować spokój - jedziemy na wyspę Polifema! Polifem to... c-y-g...

c-y-k... - tupnęła gniewnie nogą. Przy całej swojej wiedzy Annabeth była podobnie jak ja dyslektyczką. Mogliśmy spędzić całą noc usiłując poprawnie przeliterować słowo

"cyklop" - Wiesz co mam na myśli!

- Tyson może jechać - upierałem się. - jeśli tylko chce.

Tyson zaklaskał w dłonie.

- Chcę!

Annabeth spojrzała na mnie ponuro, ale chyba przekonała się, że nie zmienię zdania. A może wiedziała, że nie mamy czasu na kłótnie.

- Niech będzie - powiedziała. - A jak zamierzamy się dostać na statek?

Zawsze miałem problemy z wzywaniem mojego ojca modlitwą czy też jakkolwiek chcecie to nazwać, ale wszedłem między fale.

- Eee... Tato? - zawołałem. - Jak leci?

- Percy! - szepnęła Annabeth. - Nam się spieszy!

- Potrzebujemy twojej pomocy - powiedziałem nieco głośniejszym głosem. - Musimy dostać się na tamten statek, no...

zanim zostaniemy pożarci i tak dalej, więc...

Z początku nic się nie wydarzyło. Fale rozbijały się jak zawsze o

brzeg. Skrzek harpii zdawał się dobiegac tuż zza wydm. A potem jakoś w odległości trzystu metrów od brzegu na powierzchni morza pojawiły się trzy białe linie, które zbliżały się szybko do plaży, niczym pazury rozrywające ocean.

Kiedy się do nas zbliżyły, piana się rozstała i spomiędzy fal wynurzyły się łby trzech białych ogierów.

Tysona zatkało z zachwytu.

- Rybie koniki!

Miał rację. Kiedy stworzenia wypełzły na piasek, zobaczyłem, że tylko od przodu były końmi: tylną część ich tułowi stanowiły srebrzyste rybie ciała o połyskują-cych łuskach i tęczowych płetwach ogonowych.

- Hipokampy! - zawołała Annabeth. - Jakie piękne.

Jeden z nich zarżał z uznaniem i trącił Annabeth pyskiem.

- Pozachwycamy się później - powiedziałem. -

Chodźmy!

- Mam ich! - rozległ się za nami skrzekliwy głos. -

Nie-grzeczne dzieciaki z domków! Pora na przekąskę dla szczęśliwych harpii!

Pięć z nich pojawiło się już nad wydmami: nieduże, pękate wieźmy o pomarszczonych twarzach i ze szpona-mi. Ich pierzaste skrzydła były za małe w stosunku do ciał. Przypominały miniaturowe panie ze stołówki skrzyżowane z ptakami dodo. Nie latały bardzo szybko, dzięki bogom, ale jak kogoś dorwały, potrafiły być wyjątkowo wredne.

- Tyson! - zawołałem. - Bierz worek!

Tyson wciąż gapił się z otwartą buzią na hipokampy.

- Tyson!

- Co?

- Chodź!

Z pomocą Annabeth zdołałem sprawić, że w końcu się poruszył. Chwyciliśmy worki i dosiedliśmy naszych wie-rzchowców. Posejdon

musiał wiedzieć, że wśród jeźdźców będzie Tyson, ponieważ jeden z hipokampów był znacznie większy od pozostałych - w sam raz, żeby dźwigać cyklopa.

- Trzymać się! - powiedziałem.

Mój hipokamp skręcił i zanurkował między fale.

Rumaki niosące Annabeth i Tysona zrobiły to samo.

Harpie rzucały za nami przekleństwa, usiłując wyciem przyzwac z powrotem swoją przekąskę, ale hipokampy pędziły po wodzie z prędkością motorówek.

Harpie szybko pozostały w tyle i wkrótce wybrzeże Obozu Hero-sów stało się jedynie ciemniejszą smużką na horyzoncie. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę to miejsce. Chwilowo miałem jednak na głowie ważniejsze problemy.

Przed nami majaczył kształt liniowca - naszego autostopu na Florydę i ku Morzu Potworów.

Jazda na hipokampie okazała się łatwiejsza niż na pegazie. Pędziliśmy pod wiatr, przełamując fale tak gładko i pewnie, że prawie nie potrzebowiałem się trzymać.

Kiedy zbliżyliśmy się do statku, zorientowałem się, jaki był ogromny. Miałem wrażenie, że spoglądam na wieżowiec na Manhattanie. Biały kadłub był wysoki na co najmniej dziesięć pięter, na których ustawiono kolej-ny tuzin pokładów o jasno oświetlonych balkonach i iluminatorach. Na dziobie tuż nad wodą wymalowano czarnymi literami nazwę statku, oświetloną reflektorem. Potrzebowałem kilku sekund, żeby ją odcyfrować:

KSIĘŻNICZKA ANDROMEDA

Do dziobu przymocowany był wielki gallon: wysoka na trzy piętra

kobieta w greckim chitonie, wyrzeźbiona w taki sposób, że wydawała się przykuta do statku. Była młoda i piękna, miała rozwiane czarne włosy, ale na jej twarzy malowało się absolutne przrażenie. Nie miałem pojęcia, po co umieszczać wrzeszczącą ze strachu księż-niczkę na dziobie statku wycieczkowego.

Przypomniiał mi się mit o Andromedzie: jak została przykuta do skały przez własnych rodziców jako ofiara dla morskiego potwora. Może miała za dużo jedynek na świadectwie albo co. W każdym razie mój imiennik, Perseusz, ocalił ją, zanim została pożarta, i zamienił morskiego potwora w kamień za pomocą głowy Meduzy.

Takiemu Perseuszowi zawsze się udawało i dlatego mama dała mi po nim imię, chociaż on był synem Zeusa, a ja Posejdona. Prawdziwy Perseusz był jednym z nieli-cznych herosów z mitologii greckiej, których historia kończyła się szczęśliwie. Inni umierali: zdradzeni, pokie-reszowani, okaleczeni, otruci albo przekłęci przez bogów. Mama miała nadzieję, że udzieli mi się szczęście Perseu-sza. Sądząc po dotychczasowych kolejach mojego życia, nie podzielałem jej optymizmu.

- Jak się dostaniemy na pokład? - Annabeth przekrzy-czała ryk fal, ale hipokampy najwyraźniej wiedziały, czego nam potrzeba. Przemknęły wzdłuż prawej burty statku, bez trudu płynąc przez jego potężny kliwater, i zatrzymały się przy drabinie przyczepionej do kadłuba.

- Panie przodem - zwróciłem się do Annabeth.

Zarzuciła wokrek na ramię i chwyciła się najniższego szczebla. Kiedy podciągnęła się na drabinę, jej hipokamp zarżał na pożegnanie i zanurkował pod wodę.

Annabeth zaczęła się wspinać. Oczekałem aż znalazła się kilka szczebli wyżej, i poszedłem w jej ślady.

W wodzie pozostał tylko Tyson. Jego hipokamp kręcił z nim kółka

i fikał w powietrzu, a Tyson zaśmiewał

się tak, że jego śmiech odbijał się echem od kadłuba statku.

- Ciii, Tyson! - zawołałem. - Chodź na górę, wielkoludzie!

- Nie możemy zabrac Tęczusia? - a uśmiech znikł z jego twarzy.

Wlepiłem w niego wzrok.

- Tęczusia?

Hipokamp zarżał, jakby podobało się jego nowe imię.

- Hmm, musimy iść - oznajmiłem. - A Tęczuś... no cóż, nie potrafi wspinac się po drabinach.

Tyson pociągnął nosem. Przytulił twarz do grzywy hipokampa.

- Będę za tobą tęsknił, Tęczusiu!

Hipokamp wydał tak żalosny dźwięk, że mógłbym przysiąc, że płakał.

- Może się jeszcze zobaczymy - odpowiedziałem.

- O tak! - zawołał Tyson, ożywiając się natychmiast. -

Jutro!

Nie składałem żadnych obietnic, ale w końcu udało mi się przekonać Tysona, żeby się pożegnał i chwycił za szczebel. Hipokamp o imieniu Tęczuś wydał ostatnie smutne rzenie, zrobił salto i zanurkował w morzu.

Drabinka prowadziła na pokład gospodarczy, gdzie złożono żółte łodzie ratunkowe. Po obu stronach znajdowały się zaryglowane podwójne drzwi, które Annabeth zdołała otworzyć za pomocą noża i sporej dawki staro-greckich przekleństw.

Wyobrażałem sobie, że będziemy musieli się przemykać jako pasażerowie na gapę i tak dalej, ale kiedy sprawdziliśmy kilka korytarzy i wyjrzeliliśmy z balkonu na główną promenadę otoczoną zamkniętymi

sklepami, zaczęło do mnie docierać, że nie mamy się przed kim chować. To znaczy, oczywiście, że był środek nocy ale przemierzyliśmy prawie pół długości statku i nie natknęliśmy się na nikogo. Minęliśmy ze czterdzieści albo pięćdziesiąt drzwi do kajut, zza których nie docho-dził najcichszy dźwięk.

- To statek widmo - mruknąłem.

- Nie - odpowiedział Tyson, przekładając w palcach rzemyk swojego worka - Bardzo brzydko pachnie.

Annabeth zmarszczyła nos.

- Nic nie czuję.

- Cyklopi są jak satyrowie - wyjaśniłem. - Wyczuwają węchem potwory. Zgadza się, Tyson?

Pokiwał nerowo głową. Teraz kiedy znaleźliśmy się poza Obozem Herosów, Mgła znów zniekształciła jego twarz. Musiałem dokładnie skupić wzrok, żeby dostrzec jedno oko zamiast dwóch.

- Okej - powiedziała Annabeth. - Co dokładnie wyczuwasz?

- Coś niedobrego - odzекł Tyson.

- Super - mruknęła. - To wszystko wyjaśnia.

Znaleźliśmy się na pokładzie nad basenem. Wokół niego stały rzędy pustych leżaków, a bar zamykała druciana siatka. Nad kołyszącą się w rytm poruszeń statku wodą w basenie unosiła się niesamowita poświata.

Nad nami, z przodu i z tyłu, znajdowały się kolejne atrakcje: ścianka wspinaczkowa, pole do minigolfa, obracająca się restauracja, ale nie było żadnych śladów życia.

A jednak... wyczuwałem coś znajomego. Coś niebezpiecznego. Miałem wrażenie, że gdybym nie był

tak zmęczony i gdyby przez długą noc nie wypaliła się we całą mnie adrenalina, być może byłbym w stanie odgadnąć, co tu nie gra.

- Potrzebujemy kryjówki - oznajmiłem. - Bezpiecznego miejsca, gdzie będziemy mogli się przespac.

- Spac - zgodziła się sennie Annabeth.

Zbadaliśmy jeszcze kilka korytarzy, aż wreszcie znaleźliśmy pusty apartament na poziomie dziewiątym.

Drzwi były otwarte, co wydawało mi się dziwne. Na stoliku stał koszyk z czekoladkami, na szafce nocnej schłodzona butelka cydru, a na każdej poduszce leżała miętówka zaopatrzona w karteczkę z odręcznym napisem "Miłej podróży!".

O

tworzyliśmy po raz pierwszy worki i

stwierdziliśmy, że Hermes istotnie zadbał o wszystko: ubrania na zmianę, kosmetyki, prowiant, portfele pełne pieniędzy i sakiewki ze złotymi drachmami. Udało mu się nawet zapakować ceratowy tobołek Tysona z jego narzędziami i kawałkami metalu oraz bejsbolówkę niewidkę Anna-beth, dzięki czemu oboje poczuli się od razu lepiej.

- Będę tuż obok - oznajmiła Annabeth. - I pamiętajcie chłopcy, żeby nic nie jeść i nie pic.

- Uważasz, że to zaklęte miejsce?

Zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Coś tu jest nie w porządku. Lepiej... bądźcie ostrożni.

Zamknęliśmy drzwi na klucz.

Tyson padł na kanapę. Przez chwilę dłubał coś przy swoich kawałkach metalu - których nadal nie chciał mi pokazać - ale wkrótce zaczął ziewać. Wreszcie zawinął

wszystko w ceratę i zasnął.

Leżałem na łóżku i gapiłem się przez iluminator.

Wydawało mi się, że słyszę głosy na korytarzu, jakieś szepty.

Wiedziałem, że to niemożliwe. Przeszliśmy się przez cały statek i nie widziałem nikogo. Ale głosy nie dawały mi spacji. Przypomniła mi się moja podróż do Podziemia i szepty duchów zmarłych, przepływających wokół nas.

W końcu zmęczenie wzięło górę. Zasnąłem... i przyśnił mi się najgorszy z dotychczasowych koszmarów.

Stałem w grocie na skraju ogromnej przepaści. Znałem to miejsce aż za dobrze. Wejście do Tartaru. Rozpoznałem też lodowaty śmiech rozlegający się echem w ciemności pod mną.

Czyżby to był nasz młody bohater? - głos brzmiał tak jakby ktoś przejechał ostrzem noża po kamieniu. - W

drodze ku następnemu wielkiemu zwycięstwu.

Miałem ochotę wrzasnąć do Kronosa, żeby zostawił mnie w spokoju. Wyciągnąć Orkana i powalić go. Ale nie byłem w stanie się ruszyć. A nawet gdybym był, jak miałbym zabić coś, co już kiedyś zostało zniszczone -

pocwiartowane i wrzucone w wieczny mrok?

Nie pozwól, abym cię powstrzymał - powiedział tytan.

- Może tym razem jak poniesiesz klęskę, zasnatowisz się, czy warto być sługą bogów. W jaki sposób twój ojciec okazał ci ostatnio zainteresowanie?

Jego śmiech wypełnił jaskinie i nagle sceneria się zmieniła.

Stałem w innej grocie - sypialni i więzieniu Grovera wewnątrz nory cyklopa.

Grover siedział przy krosnach w zabrudzonej sukni ślubnej, szaleńczo rozplątując wątki nieukończonego trenu.

- Kruszynko! - zawołał potwór zza głazu.

Grover zaskowytał i zaczął ponownie splatać wątki.
 Grota zatrzęsła się, kiedy głaz przetoczył się na bok.
 W przejściu stanął cyklop tak olbrzymi, że Tyson był przy nim karzełkiem. Miał ostre żółtawe zęby i sękatę ręce tak wielkie jak ja cały od stóp do głów. Ubrany był w wyblakły fioletowy podkoszulek z napisem ŚWIATO-WA WYSTAWA OWIEC 2001. Musiał mieć ponad cztery metry wzrostu, ale najbardziej charakterystyczne było ogromne pokryte bielmem, bliznami i siatką kata-rakt oko. Jeśli nawet nie był całkiem ślepy, to niewiele brakowało.

- Co tam robisz? - zapytał potwór.

- Nic takiego! - odparł Grover falsetem. - Tkam mój ślubny tren, jak widzisz.

Cyklop wsunął rękę do groty i macał dookoła, dopóki nie natknął się na krosna. Wziął w palce tkaninę.

- Nie jest ani trochę dłuższy!

- Ależ oczywiście, że jest, mój kochany. Widzisz?

Dodałam co najmniej kilka centymetrów.

- Kolejny poślizg! - ryknął potwór, po czym zaczął węszyć. - Pięknie pachniesz! Jak koza!

- Och - Grover zmusił się do cichego chichotu. -

Podoba ci się? To Eau de Chevre. Używam specjalnie dla ciebie.

- Mmmmm! - Cyklop wyszczerzył zęby. - Pachnie niezwykle smakowicie!

- Ależ z ciebie flirciarz!

- Koniec z opóźnieniami!

- Ależ kochany, przecież jeszcze nie skończyłam!

- Jutro!

- Nie, nie. Jeszcze dziesięć dni.

- Pięc!

- No to... niech będzie siedem. Skoro nalegasz.

- Siedem! To mniej niż pięć, prawda?

- Oczywiście. Właśnie tak.

Potwór zawarczał najwyraźniej niezadowolony z ukła-du, ale pozostawił Grovera z warsztatem tkackim i prze-sunął głaz z powrotem na miejsce.

Grover zamknął oczy, nadal drząc. Odetchnął głęboko starając się uspokoić nerwy.

- Pospiesz się Percy! - mruknął. - Proszę, proszę, proszę!

Obudził mnie gwizd i głośnik na statku - mówił w nim jakiś niezwykle rozradowany koleś z australijskim akcentem.

- Dzień dobry, pasażerowie! Dziś cały dzień spędzimy na morzu. Mamy doskonałą pogodę na imprezę karaib-ską przy basenie! I nie zapominajcie o możliwości wygrania w bingo miliona dolarów o godzinie pierwszej w sali Krakena! A dla naszych specjalnych gości ćwicze-nia w łamaniu gnatów na promenadzie!

Usiadłem na łóżku.

- Co on powiedział?

Tyson pomrukiwał, wciąż nieco senny. Leżał na brzuchu na swoim łóżku, ze stopami zwisającymi tak daleko za krawędzią, że sięgały łazienki.

- Ten radosny człowiek... mówił coś o łapaniu kwiatów?

Miałem nadzieję, że to ja się przesłyszałem, ale usłyszałem natarczywe pukanie do drzwi między poko-jami apartamentu. Annabeth wsunęła głowę przez szparę. Jej jasne włosy były potargane.

- Ćwiczenia w łamaniu gnatów?

Kiedy już się ubraliśmy, wyruszyliśmy na zwiedzanie statku i ku wielkiemu zdumieniu ujrzeliliśmy innych ludzi. Koło tuzina starszych

obywateli zmierzało na śniadanie. Jakiś tatuś prowadził dzieci na poranne pływanie w basenie. Po pokładzie przechadzali się członkowie załogi w śnieżnobiałych mundurach, salutując pasażerom.

Nikt nie pytał, kim jesteśmy. Nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Coś jednak nie było w porządku.

Kiedy mijala nas rodzina w strojach kąpielowych, ojciec zwrócił się do swoich dzieci:

- Jesteśmy na wycieczce. Trzeba się dobrze bawic.

- Tak, tatusiu. - odpowiedziała trójka dzieci jednym głosem. - Jest fajowo. Popływamy w basenie.

I się oddalili.

- Dzień dobry - zwrócił się do nas mężczyzna z załogi, błyskając oczami. - Wszyscy doskonale się bawimy na pokładzie "Księżniczki Andromedy". Miłego dnia.

I odszedł w swoją stronę.

- Percy, to jest dziwne - szepnęła do mnie Annabeth -

Oni wszyscy są w jakimś transie.

W tej chwili mineliśmy jadalnię i dostrzegliśmy pierwszego potwora. Był to piekielny ogar - czarny mastiff oparty łapami o bufet, z pyskiem zanurzonym w jajecznicę. Musiał być młody, ponieważ jak na swoją rasę był niewielkich rozmiarów: nie większy od niedźwiedzia grizzly. Mimo to jego widek zmroził mi krew. Kiedyś jego pobratymiec o mało mnie nie zabił.

Najdziwniejsze było to, że para w średnim wieku stała w kolejce tuż za piekielnym psem, czekając cierpliwie na swoje porcje jajek.

Najwyraźniej nie dostrzegali nic niepokojącego.

- Nie jestem głodny - wymamrotał Tyson.

Zanim Annabeth albo ja zdążyliśmy zareagować na jego słowa, gdzieś dalej w korytarzu rozległ się syk:

- Sześćściu nassstępných dołączyło wczoraj.

Annabeth wskazała rozpaczliwie najbliższą kryjówkę - damską toaletę - i wszyscy troje wskoczyliśmy do środka. Byłem tak przerażony, że nawet nie przyszło mi do głowy zakłopotanie.

Coś a raczej dwa cosie przesunęły się wzdłuż drzwi łazienki, wydając dźwięk, jakby ktoś pocierał papierem ściernym o dywan.

- Tak jessst - odparł drugi gadzi głos. - On ich przyciąga.

Szszszybko rośśśnie w sssilę.

Dwa cosie wpęły do jadalni z lodowatym sykiem, który można uznać za węzowy śmiech.

Annabeth spojrzała na mnie.

- Musimy się stąd wydostać.

- Myślisz, że mam ochotę siedzieć w damskim kiblu?

- Mam na myśli statek, Percy! Musimy się wydostać ze statku!

- Bardzo brzydko pachnie - zgodził się z nią Tyson. - I psy zjadają wszystkie jajka. Annabeth ma rację.

Musi-my zmykać i z toalety, i ze statku.

Wzdrygnąłem się. Skoro Annabeth i Tyson autentycz-nie zgadzali się w jakiejś sprawie, to chyba powinienem ich słuchać.

W tej samej chwili usłyszałem kolejny głos gdzieś na zewnątrz - taki, który zmroził mnie jeszcze bardziej niż jakikolwiek potwór.

- ... tylko kwestia czasu. Nie poganiaj mnie, Agriosie.

To bez wątplenia był Luke. Nigdy nie zapomnę tego głosu.

- Nie poganiaj cię! - warknął ktoś inny. Jego głos brzmiał niżej i bardziej gniewnie niż Luke'a. - Mówię tylko, że jeśli to nie wypali...

- Wypali - rzucił Luke. - Oni złapią przynętę. Chodź musimy się dostać do kapitańskiej kajuty i sprawdzić skrzynię. Głosy się oddaliły.

- Zwiewamy? Już? - szepnął lękliwie Tyson.

Wymieniliśmy spojrzenia z Annabeth i powzięliśmy w milczeniu decyzję.

- Nie możemy - powiedziałem Tysonowi.

- Musimy się dowiedzieć, co knuje Luke - zgodziła się Annabeth. -
A jeśli się uda, to pokonamy go, zakujemy w łańcuchy i zaciągniemy na Olimp.

R O Z D Z I A Ł IX

NAJGORSZA IMPREZA RODZINNA W

MOIM ŻYCIU

Annabeth zgłosiła się na ochotnika, że pójdzie sama, bo ma czapkę niewidkę, ale przekonałem ją, iż to zbyt niebezpieczne. Albo idziemy wszyscy, albo nikt.

- Nikt! - zagłosował Tyson. - Dobrze?

W końcu jednak poszedł z nami, gryząc nerwowo swoje ogromne paznokcie. Zatrzymaliśmy się w naszym apartamencie tylko po to, żeby zabrać rzeczy.

Uznaliś-my, że niezależnie od rozwoju wypadków, kolejny nocleg może nie выпаść nam na pokładzie tego nawiedzonego statku, nawet jeśli można tu wygrać milion w bingo. Upewniłem się, że Orkan jest w

kieszeni, a witaminy i termos otrzymane od Hermesa znajdują się na samym wierzchu worka. Nie chciałem, żeby Tyson wszystko dźwigał, ale on się uparł, a Annabeth powiedziała, że mam się nie przejmować. Tyson może nosić na ramieniu trzy pełne worki równie łatwo, jak ja nosiłbym zwykły plecak.

Przemknęliśmy się korytarzami, kierując się według rozmieszczonych co jakiś czas planów statku ku kabinnie kapitańskiej. Niewidzialna Annabeth robiła za patrol.

Chowaliśmy się, ilekroć ktoś nas mijał, ale większość ludzi, których widzieliśmy, należała do kategorii otepiałych pasażerów o szklistych oczach.

Kiedy wrapaliśmy się po schodach na pokład numer trzynastcie, gdzie według planów miała się znajdować kapitańska kajuta, Annabeth syknęła:

- Kryć się! - i wepchnęła nas do szafki z zapasami.

Korytarzem zbliżało się kilku mężczyzn.

- Widziałeś tego etiopskiego drakona w ładowni? - spytał jeden z nich.

Drugi się roześmiał.

- Owszem, imponujący.

Annabeth pozostawała niewidzialna, ale ścisnęła mnie mocno za ramię. Miałem wrażenie, że skądś znam głos tego drugiego faceta.

- Słyszałem, że mają dostarczyć jeszcze dwa - powiedział ten znajomy głos. - Jeśli będzie ich przybywać w takim tempie to, chłopie... nie ma mocnych!

Głosy się oddaliły.

- To był Chris Rodriguez! - Annabeth ściągnęła bejsbolówkę i stała się widzialna. - Pamiętasz... z domku jedenastego.

Rzeczywiście był ktoś taki w zeszłym roku. Należał do tych

nieokreślonych obozowiczów, którzy utknęli w domku Hermesa, ponieważ olimpijski rodzic nigdy ich nie uznał. Uświadomiłem sobie, że w tym roku nie widziałem na obozie Chrisa.

- Co tu robi inny heros?

Annabeth pokręciła głową, najwyraźniej zaniepokojona.

Przesuwaliśmy się dalej korytarzem. Nie potrzebowałem już planu, żeby wiedzieć, że zbliżam się do Luke'a. Wyczuwałem nieprzyjemną, zimną, złowrogą obecność.

- Percy... - Annabeth zatrzymała się nagle. - Patrz.

Stała przed szklaną ścianą, spoglądając w dół na wielopiętrowy wąwóz, biegnący przez środek statku. Na samym dole biegła promenada - aleja pełna sklepów - ale nie ona przyciągnęła uwagę Annabeth.

Przed cukiernią zebrała się grupka potworów: z tuzin olbrzymich Lajstrygonów, podobnych do tych, którzy zaatakowali mnie podczas gry w zbijanego, dwa piekielne ogary i kilka jeszcze dziwnych stworzeń - żeńskich postaci z węzowymi ogonami zamiast nóg.

- Drakainy scytyjskie - szepnęła Annabeth. - Smocze kobiety.

Potwory otaczały półkołem młodego chłopaka w greckiej zbroi, który atakował słomianą kukłę. Serce pode-szło mi do gardła, kiedy uzmysłowiłem sobie, że mane-kin ma na sobie pomarańczową koszulkę Obozu Hero-sów. Na naszych oczach chłopak w zbroi pchnął

maneki-na w brzuch, a następnie ciął w górę. Na wszystkie strony posypała się słoma. Potwory wiwatowały, wyjąc.

Annabeth odeszła od okna. Miała twarz szarą jak popiół.

- Chodźmy - powiedziałem do niej, starając się brzmieć odważniej, niż się czułem. - Im szybciej znajdziemy Luke'a, tym lepiej.

Korytarz kończył się podwójnymi dębowymi drzwiami, które wyglądały, jakby prowadziły w jakieś ważne miejsce. Kiedy znaleźliśmy

się dziesięć metrów od nich, Tyson się zatrzymał.

- Głosy w środku.

- Słyszysz z daleka? - spytałem.

Tyson zamknął oko, jakby wyteżał uwagę. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał jak chrapliwe naśladowanie tonu Luke'a.

- ... przepowiednię sami. Głupcy nie będą mieli pojęcia, dokąd się udac.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, głos Tysona zmienił się ponownie, tym razem brzmiąc niżej i bardziej szor-stko, jak ten drugi chłopak, który rozmawiał z Lukiem przed jadalnią.

- Myślisz, że ten stary wałach naprawdę sobie poszedł?

Tyson roześmiał się zupełnie jak Luke.

- Nie ufają mu. Wiesz, jakie on ma trupy w szafie.

Otrucie drzewa przeważało szalę.

Annabeth się wzdrygnęła.

- Przestań, Tyson! Jak ty to robisz? Ciarki mnie przechodzą.

Tyson otworzył oko z absolutnym zdziwieniem.

- Tylko słuchałem.

- Słuchaj dalej - powiedziałem. - Co jeszcze mówią?

Tyson ponownie zamknął oko, po czym zasyczał głosem tego opryskliwego:

- Cisza!

Następnie szeptem Luke'a:

- Jesteś pewny?

- Tak - odpowiedział Tyson szorstko. - Pod samymi drzwiami.

Za późno zdałem sobie sprawę z tego, co się stało.

Miałem tylko czas, żeby krzyknąć: "Wiejemy!", zanim drzwi kabiny otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Luke. Przy boku miał dwóch włochatych olbrzymów uzbrojonych w oszczepy. Ich ostrza były

wymierzone prosto w nas.

- No, no - powiedział Luke, uśmiechając się krzywo. -
Czyżby to byli moi ukochani kuzyni? Ależ wejdźcie.

Kajuta kapitańska była wspaniała ale i przerażająca.

Część piękna: ogromne okna w krzywiźnie ściany, wyglądające na rufę statku. Zieleń morza i błękit nieba ciągnące się aż po horyzont. Perski dywan na podłodze.

Dwie miękkie sofy w samym środku pokoju, łóżko z baldachimem po jednej stronie i machoniowy stół

jada-łny po drugiej. Stół ugiął się od jedzenia: pudełek z pizzą, butelek napojów gazowanych i sterty kanapek z wołowiną na srebrzystej tacy.

Część potworna: na okrytym aksamitem podwyższeniu w tyle pokoju leżała długa na trzy metry złota trumna. A właściwie sarkofag, pokryty płaskorzeźbami przedstawiającymi płonące miasta i herosów ginących straszną śmiercią. Mimo, że do pomieszczenia wpadało przez okna światło słoneczne, obecność tej trumny sprawiała, że czuło się lodowaty chłód.

- I co? - odezwał się Luke, zataczając z dumą krąg rękami. - Trochę lepsze warunki niż w domku jedenastym, nie?

Zmienił się od zeszłego roku. Zamiast szortów i podkoszulka miał na sobie zapinaną na guziki koszulę, spodnie khaki i eleganckie skórzane buty. Jego jasne włosy, kiedyś tak niesforne, były krótko przycięte.

Wyglądał jak jakiś model, który z wredną miną pokazuje, co modny łajdak powinien w tym sezonie założyć do klubu.

Pod okiem miał nadal bliznę - paszarpany biały ślad, pozostałość

po walce ze smokiem. O sofę oparty był jego magiczny miecz, Szerszeń, błyskający dziwnie ostrzem w wykonanym w połowie ze stali, a w połowie z niebiańskiego spiżu - głównią zdolną zabijać zarówno śmiertelników jak i potwory.

- Siadajcie - powiedział Luke. Pstryknął palcami i trzy krzesła wyjechały na środek pokoju.

Nie usiedliśmy.

Ogromni towarzysze Luke'a wciąż celowali w nas oszczepami. Wyglądali jak bliźniacy, ale z pewnością byli ludźmi. Po pierwsze mieli po około dwa i pół metra wzrostu i nosili jedynie niebieskie dzinsy - może dlatego, że ich olbrzymie torsy pokrywała gruba warstwa gęste-go, brązowego futra. Zamiast paznokci mieli pazury, za-miast stóp - łapy. Ich nosy były ryjkowatego kształtu, a wśród zębów wyróżniały się ostre kły.

- Och, gdzież moje dobre wychowanie! - zawołał przy-milnie Luke. - Przedstawiam wam moich asystentów, Agriosa i Oriosa. Zapewne o nich słyszeliście.

Nic nie odpowiedziałem. Pomimo wycelowanych we mnie oszczepów, to nie niedźwiedzowaci bliźniacy, napawali mnie przerażeniem.

Wyobrażałem sobie ponowne spotkanie z Lukiem wiele razy od tego dnia, kiedy usiłował mnie zabić ze-szłego lata. Wyobrażałem sobie, jak dzielnie stawiam mu czoła, wyzywając go na pojedynek. Ale teraz, kiedy staliśmy twarzą w twarz ledwie powstrzymywałem drżenie rąk.

- Nie znacie dziejów Agriosa i Oriosa? - zdziwił się Luke. - Ich matka, Polyfonte... Cóż, to naprawdę smu-tna historia. Afrodyta nakazała tej dziewczynie się zakochać. Ona jednak odmówiła i pobięła po pomoc do Artemidy. Artemida przyjęła ją do swojego orszaku dzie-wczyn łowczyń, ale Afrodyta się zemściła. Kiedy Artemi-da się o tym dowiedziała, porzuciła z obrzydzeniem swoją towarzyszkę.

Zachowanie typowe dla bogów, nieprawdaż? Biją się między sobą a nieszczęśni ludzie za to płacą. Dwaj synowie tej dziewczyny, Agrios i Orios, nigdy nie żywili ciepłych uczuć dla Olimpu. Lubią jednak herosów na tyle, żeby...

- Ich zjeść - warknął Agrios. To jego szorstki głos słyszeliśmy wcześniej w rozmowie z Lukiem.

- He, he, he! - zarechotał jego brat Orios, oblizując otoczone sierścią wargi. Śmiał się tak, jakby złapał go atak astmy, dopóki Luke i Agrios nie uciszyli go spojrzeniami.

- Zamknij się, idioto! - warknął Agrios. - Kara! Już!

Orios zachlipał. Podreptał w kąt pokoju, opadł na krzesło i zaczął walić głową w stół, aż zabrzęczała srebrna zastawa.

Luke zachowywał się tak, jakby to wszystko było najzupełniej normalne. Rozsiadł się wygodnie na sofie i wyłożył nogi na stolik do kawy.

- Cóż. Percy, pozwoliliśmy ci przeżyć kolejny rok.

Mam nadzieję, że to doceniasz. Jak tam mama? I szkoła?

- Otrułeś sosnę Thalii.

Luke westchnął.

- Od razu do rzeczy, co? No dobra, oczywiście, że otrułem to drzewo. I co z tego?

- Jak mogłeś - w głosie Annabeth brzmiał taki gniew, iż obawiałem się, że wybuchnie. - Thalia uratowała ci życie! Uratowała nam życie! Jak mogłeś ją potraktować tak bez szacunku...

- Wcale jej nie potraktowałem! - odpyskował jej Luke. - To bogowie źle ją potraktowali, Annabeth! Gdyby Thalia żyła, stanęłaby po mojej stronie.

- Kłamiesz!

- Gdybyś wiedziała, co nadciąga, zrozumiałabyś...

- Rozumiem tyle, że chcesz zniszczyć obóz! -

krzyknęła. - Jesteś potworem!

Luke potrząsnął głową.

- Bogowie cie zaślepili. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić świata bez nich, Annabeth? Po co ci te trzy tysiące lat historii, które tak zgłębiasz? Trzy tysiące lat niepotrzebnego bagażu! Zachód jest zgniły do cna.

Trzeba go zniszczyć. Przyłącz się do mnie! Możemy stworzyć od nowa świat. Przydałby się nam twój rozum, Annabeth.

- Bo nie macie własnego!

Zmroził oczy.

- Znam cię, Annabeth. Zaslługujesz na coś więcej niż bezsensowna misja ratowania obozu. Potwory zaleją Wzgórz Herosów w ciągu miesiąca. Herosi, którzy przeżyją, będą mieć wybór: przyłączyć się do nas albo stac się ofiarami bezlitosnego polowania. Naprawdę chcesz znaleźć się w przegranym obozie... w takim towarzystwie? - Luke wskazał na Tysona.

- Ej! - wtrąciłem się.

- Podróż z cyklopem - zaśmiał się szyderczo Luke. - I ktoś tu mówi o braku szacunku dla pamięci Thalii!

Zaskakujesz mnie, Annabeth. Ze wszystkich ludzi...

- Przestań! - wrzasnęła.

Nie zrozumiałem, do czego Luke robił aluzje, ale Annabeth schowała twarz w dłoniach, jakby miała ochotę się rozpłakac.

- Zostaw ją - powiedziałem. - I nie mieszaj do tego Tysona.

Luke się roześmiał.

- Och, oczywiście, słyszałem o tym. Twój ojciec go uznał.

Musiałem wyglądać na zaskoczonego, ponieważ Luke się uśmiechnął.

- Tak, Percy, wszystko wiem. Również o twoim planie

odnalezienia Runa. Jak wyglądają współrzędne, przypo-mnijmy sobie... 30, 31, 75, 12? Jak widzisz, wciąż mam w obozie przyjaciół, którzy mnie informują na bieżąco.

- Chyba szpiegów.

Wzruszył ramionami.

- Ile zniewag ze strony twojego ojca jesteś w stanie zniesć, Percy? Myślisz, że on jest ci wdzięczny? Myślisz, że Posejdonowi zależy na tobie bardziej niż na tym tu potworze?

Tyson zacisnął pięści i wydał gardłowy dźwięk przypominający nieco grzmot.

Luke zachichotał.

- Bogowie cię wykorzystują, Percy. Czy masz pojęcie co może być dla ciebie na wyciągnięcie ręki, jeśli uda ci się skończyć szesnaście lat? Czy Chejron kiedykolwiek wyjawiał ci przepowiednię?

Miałem ochotę przyłożyć mu i powiedzieć, żeby wypchał się sianem, ale on jak zwykle wiedział, w jaki sposób wytrącić mnie z równowagi.

- Szesnaście urodziny?

Oczywiście wiedziałem doskonale, że Chejron wiele lat temu otrzymał przepowiednię od Wyroczni. Ale co z tym "jeśli uda ci się skończyć szesnaście lat?" Wcale mi się to nie podobało.

- Wiem wszystko, co powinienem wiedzieć -

wydusi-łem z siebie. - Czyli to, kim są moi nieprzyjaciele.

- Jesteś głupi.

Tyson roztrzaskał stojące najbliżej krzesło na kawałki.

- Percy nie jest głupi!

Zanim zdołałem go powstrzymać, rzucił się na Luke'a. Zamierzył się pięściami na jego głowę - był to cios, który przedziurawiłby tytanową blachę - ale niedźwiedziowaci bliźniacy interweniowali. Każdy z nich

chwycił Tysona za jedno ramię, zatrzymując go w miejscu. Następnie popchnęli go do tyłu, aż się zachwiał. Upadł na dywan z takim łomotem, że cały pokład się zatrzęsł.

- Niedobrze, cyklopie - powiedział Luke. - Wygląda na to, że moi miśkowaci przyjaciele we dwójkę stanowią dla ciebie przeszkodę nie do pokonania. Może powinienem pozwolić im...

- Luke - wtrąciłem się. - Posłuchaj mnie. Wysłał nas twój ojciec. Jego twarz przybrała barwę ostrej papryki.

- Nigdy... nie wymawiaj... jego imienia.

- Kazał nam wsiąść na ten statek. Myślałem, że to tylko w ramach przejażdżki, ale on wysłał nas tutaj, żebyśmy ciebie znaleźli. Powiedział mi, że nie ma za-miaru z ciebie zrezygnować, niezależnie od tego, jak bardzo jesteś na niego zły.

- Zły? - ryknął Luke. - Nie rezygnuje ze mnie? On mnie porzucił, Percy! Ja chcę zniszczyć Olimp! Rozwalić wszy-stkie trony na drzazgi! Możesz przekazać Hermesowi, że tak się stanie. Za każdym razem, kiedy przyłącza się do nas jakiś heros, Olimpijczycy stają się słabsi, a my roś-niemy w siłę. On staje się coraz silniejszy. - Luke wska-zał na złoty sarkofag.

To pudło przyprawiało mnie o dreszcze przerażenia, ale nie zamierzałem dać tego po sobie poznać.

- No i co? - zapytałem buńczusznie. - Co to niby...

W tej samej chwili uświadomiłem sobie, co może być w tym sarkofagu. Temperatura w pomieszczeniu jakby spadła o dwadzieścia stopni.

- Ej, nie mówisz chyba...

- On się od-twa-rza - odpowiedział Luke. - Powolutku wzywamy jego siłę życiową z otchłani. Z każdym nowym rekrutem, który do nas dołącza, pojawia się kolejna niewielka częśćka.

- To obrzydliwe! - krzyknęła Annabeth.

Luke rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

- Twoja matka urodziła się z rozłupanej głowy Zeusa, Annabeth, więc na twoim miejscu bym się nie odzywał.

Wkrótce będziemy mieli tyle z pana tytanów, że zdoła-my go całkiem odbudować. Stworzymy dla niego nowe ciało, a będzie to dzieło godne kuźni Hefajstosa.

- Jesteś szalony - powiedziała Annabeth.

- Dołącz do nas, a nie pożałujesz nagrody. Mamy potężnych przyjaciół, sponsorów, których pieniądze zapewni-ły nam ten statek i znacznie więcej. Twoja matka nie musiałaby już nigdy pracować, Percy.

Mógłbyś jej kupić pałac. Możesz mieć władzę - cokolwiek zechcesz. A ty, Annabeth, możesz zrealizować swoje marzenie o zostaniu architektem. Zbudować coś, co przetrwa tysiące lat. Świątynię panów nowej ery!

- Spadaj do Tartaru - odpowiedziała.

Luke westchnął.

- Co za szkoda.

Wziął do ręki coś, co wyglądało jak pilot do telewizora, i nacisnął czerwony guzik. Niemal natychmiast drzwi kabiny otwarły się i do środka wmaszerowali dwaj uzbrojeni w pałki członkowie załogi. Mieli tak samo szkliste oczy, jak inni śmiertelnicy, których tu widzia-łem, ale czułem, że nijak nie wpłynie to na ich możliwo-

ści w walce.

- Ochrona, doskonale - powiedział Luke. - Obawiam się, że mamy pasażerów na gapę.

- Tak jest - odparli sennie.

Luke zwrócił się do Oriosy.

- Czas nakarmić drakona etiopskiego. Zaprowadź

tych głupców na dół i pokaz im, jak to się robi.

Orios uśmiechnął się głupkowato.

- He, he, he!

- Ja też pójdę - mruknął Agrios. - Mój brat jest do niczego. Ten cyklop...

- Nie stanowi żadnego zagrożenia - przerwał mu Luke, spoglądając na złoty sarkofag, jakby coś go niepokoiło. - Zostań tutaj Agriosie.

Mamy do omówienia ważne sprawy.

- Ale...

- Nie zawieź mnie, Oriosie. I przypilnuj, żeby drakon został porządnie nakarmiony.

Orios popchnął nas swoim oszczepem i wyprowadził z kabiny. Za nami szli dwaj ludzcy strażnicy.

Schodząc w dół korytarzem i czując ostrze oszczepu Oriosa na plecach, rozmyślałem o tym, co powiedział

Luke: że niedźwiedzi bliźniacy we dwójkę dorównują siłą Tysonowi. Ale może osobno...

Wychynęliśmy z korytarza pośrodku statku i szliśmy otwartym pokładem między rzędami łodzi ratunkowych.

Poznałem ten statek na tyle dobrze, żeby mieć świadomość, że to nasze ostatnie spojrzenie na światło słoneczne. Kiedy znajdziemy się po drugiej stronie, wsłazdie-my do windy, która zawiezie nas do ładowni, a wtedy - już po nas.

Spojrzałem na Tysona.

- Teraz - powiedziałem.

Zrozumiał, bogom niech będą dzięki. Odwrócił się i posłał Oriosa dziesięć metrów do tyłu, ku basenowi, na sam środek rodziny otępiałych

turystów.

- O, nie! - jęknęły jednogłośnie dzieci. - W basenie jest nefajowo!
Jeden z ochroniarzy wyciągnął pałkę, ale Annabeth pozbawiła go tchu dobrze wymierzonym kopniakiem.

Drugi strażnik podbiegł do najbliższego alarmu.

- Zatrzymaj go! - krzyknęła Annabeth, ale było już za późno.

Zanim zdążyłem rzucić w niego leżakiem, on już uruchomił alarm.

Rozbłysły czerwone światła, ryknęły syreny.

- Do łodzi! - wrzasnąłem.

Popędziliśmy do najbliższej.

Zanim zdołaliśmy ściągnąć okrywające ją płótno, na pokładzie zaroilo się od potworów i ochroniarzy, którzy roztrącali turystów i kelnerów uwijających się dookoła z tacami pełnymi tropikalnych drinków. Facet w greckiej zbroi wyciągnął miecz i rzucił się ku nam, ale poślizgnął

się w kałuży pinakolady. Lajstrygońscy łucznicy zabrali się na wyższym pokładzie i napinali właśnie swoje ogro-mne łuki.

- Jak się to uruchamia? - krzyknęła do mnie Annabeth.

Piekielny ogier skoczył na mnie, ale Tyson odbił go daleko za pomocą gaśnicy.

- Wsiadac! - ryknąłem. Odetkałem Orkana i ciąłem w poprzek pierwszego deszczu strzał. W każdej chwili mogli nas trafić.

Łódź ratunkowa zwisała przy burcie statku, wysoko nad wodą, Annabeth i Tyson nie mogli sobie prowadzić z dźwignią zwalniających uchwyty.

Wskoczyłem do środka.

- Trzymajcie się! - krzyknąłem i przeciąłem cumy.

Nad naszymi głowami zagwizdały belty, a my spadali-śmy lotem swobodnym prosto w toń oceanu.

R O Z D Z I A Ł X

REJS Z MARTWYMI KONFERERATAMI

Termos! - krzyknąłem, pędząc w kierunku wody.

- Co? - Annabeth myślała chyba, że postradałem zmysły. Uczepiła się z całej siły uchwytów łodzi, a wiatr roz-wiewał jej włosy.

Tyson jednak zrozumiał. Zdołał otworzyć mój worek i wyciągnąć magiczny termos Hermesa, nie przestając jednocześnie trzymać się łódki.

Wokół nas świstały bełty i oszczepy.

Chwyciłem termos w nadziei, że robię to, co należy.

- Trzymajcie się!

- Przecież się trzymam! - krzyknęła Annabeth.

- Mocniej!

Zaparłem się nogami o dmuchaną ławkę łódki, Tyson trzymał Annabeth i mnie za koszulki, i odkręciłem zak-rętkę termosu o jedną czwartą.

Natychmiast wyskoczyła z niego biała smuga wiatru i popchnęła nas w bok, zmieniając nasze pikowanie w dół

w lot ślizgowy pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Wiatr jakby się śmiał, kiedy uwolniłem go z termosu, jak gdyby ucieszył się z wolności. Uderzyliśmy w powie-rzchnię oceanu, odbiliśmy się od niej kilka razy niczym puszczona na wodę kaczka, a chwilę później pędziliśmy naprzód jak motorówka. W twarze uderzała nas słona

piana, a przed sobą mieliśmy jedynie otwarte morze.

Ze statku, który pozostał za nami, dobiegły nas wściekłe okrzyki, ale znaleźli się już poza zasięgiem ich broni. "Księżniczka Andromeda" wyglądała przez chwilę jak papierowy okręcik na horyconcie, po czym znikła.

Pędząc przez ocean, usiłowaliśmy z Annabeth wysłać iryfonem wiadomość do Chejronem. Uznaliśmy, że trzeba powiadomic kogoś o poczynaniach Luke'a, a nie mieliśmy pojęcia, komu poza nim moglibyśmy zaufać.

Wiatr z termosu podnosił ładną mgiełkę, która two-rzyła w rozświetlonym słońcem powietrzu tęczę -

dosko-

nałą dla Iris - ale mimo to połączenie było słabe. Kiedy Annabeth wrzuciła w mgiełkę złotą drachmę i zwróciła się do bogini tęczy, aby pokazała nam Chejrona, jego twarz pojawiła się, ale w tle widac było dziwaczne świa-tła stroboskopowe, a głośny ryk muzyki sprawiał

wraze-nie, jakby transmisja dochodziła z klubu tanecznego.

Opowiedzieliśmy o tym, jak wymknęliśmy się z obozu, o Luke'u, "Księżniczce Andromedzie" i złotej skrzyni ze szczątkami Kronosa, ale zarówno hałas po jego stronie, jak i szum wiatru oraz fal po naszej sprawiały, że nie byłem pewny, ile z tego do niego dotarło.

- Percy! - krzyknął Chejron. - Musisz uważać na...

Jego głos utonął w głośnych wrzaskach, gdzieś za nim, brzmiały tak, jakby szalała tam cała banda rozwścieczo-nych Komanczów.

- Co? - odkrzyknąłem.

- A niech tych moich przeklętych kuzynów! - Chejron uchylił się przed przelatującym nad jego głową tale-rzem, który roztrzaskał się gdzieś poza zasięgiem obra-zu. - Annabeth, nie powinnaś pozwolić Percy'emu opu-szczac obozu! Ale jeśli uda wam się odzyskać Runo...

- Dawaj, chłopie! - ryknął ktoś za plecami Chejrona. -
Buhahaha!

Ktoś podkręcił muzykę; basy zadudniły tak, że cała nasza łódź zadrżała.

- ... Miami - wrzasnął Chejron. - Będę starał się miec oko...

Nasz mglisty ekran rozpadł się na kawałki, jakby ktoś po drugiej stronie rzucił w niego butelką, i Chejron znikł.

Godzinę później dostrzegliśmy przez sobą ląd - długi pas plaży, za którą wznosiły się wysokie budynki hoteli.

Woda zaroiła się od rybackich kutrów i tankowców. Po naszej prawej przemknęła motorówka straży przybrzeżnej - i zawróciła, jakby chciała przyjrzec się nam pono-wnie. Obawiam się, że nie na codzień spotykają się z żółtą szalupą, która bez silnika pędzi z prędkością stu węzłów na godzinę z trójką dzieciaków na pokładzie.

- To Virginia Beach! - powiedziała Annabeth, kiedy zbliżyliśmy się do brzegu. - Bogowie, jakim cudem

"Księżniczka Andromeda" zdołała dopłynąć tak daleko w ciągu nocy? To jakieś...

- Pięćset trzydzieści mil morskich - dokończyłem.

Wlepiała we mnie wzrok.

- Skąd to wiesz?

- N-nie... nie wiem.

Annabeth się zamyśliła.

- Percy... jaka jest nasza pozycja?

- 36 stopni 44 minuty szerokości północnej, 76 stopni 2 minuty długości zachodniej - odpowiedziałem bez wahania. Po czym pokręciłem głową. - Oj. Skąd ja to wiem?

- To przez twojego tatę - oznajmiła Annabeth. - Kiedy znajdujesz się na morzu, znasz dokładne współrzędne.

Ale masz fajnie!

Wcale nie byłem tego pewny. Nie miałem ochoty być ludzkim GPS-em. Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Tyson poklepał mnie po ramieniu.

- Jeszcze jedna łódź.

Spojrzałem za siebie. Motorówka straży przybrzeżnej była na naszym tropie. Błyskała światłami i nabierała prędkości.

- Nie mogą nas złapać - powiedziałem. - Zadają za dużo pytań.

- Kieruj się na zatokę Chesapeake - podpowiedziała Annabeth. - Znam tam niezłą kryjówkę.

Nie pytałem o szczegóły ani też skąd ona zna tak dobrze ten obszar. Zaryzykowałem delikatne poluzowanie pokrywy termosu i świeży powiew wiatru rzucił nas wokół północnego krańca Virginia Beach ku Chesapeake. Łódź straży została daleko w tyle. Nie zwolniliśmy dopóki wokół nas nie zamknęły się brzegi zatoki, i zorientowałem się, że wpłynęliśmy w ujście rzeki.

Wyczułem zmianę wody ze słonej na słodką. Nagle dopadło mnie wyczerpanie, jakbym stracił całą adrenalinę. Znowu nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję ani w jakim kierunku powinienem prowadzić łódź. Na szczęście Annabeth dawała mi wskazówki.

- Tam - powiedziała - za ten wał piaskowy.

Wpłynęliśmy na mokradła porośnięte kępami bagiennej trawy. Zatrzymałem łódkę u stóp ogromnego cyprysu.

Nad nami wznosiły się porośnięte pnączami drzewa.

W lesie świergotały owady. Powietrze było parne i gorące, znad rzeki unosiła się mgiełka. Przede wszystkim nie był to Manhattan i wcale mi się tu nie podobało.

- Chodźcie - powiedziała Annabeth. - To nieco dalej na brzegu.

- Co? - zapytałem.

- Chodź - Chwyciła mój worek. - No i lepiej schowajmy tę łódź. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

Przykryliśmy z Tysonem łódkę gałęziami, po czym ruszyliśmy za Annabeth brzegiem. Nogi zapadały nam się w czerwonym mule. Wąż prześlizgnął się koło mojej stopy i znikł w trawie:

- Niedobre miejsce - ocenił Tyson i pacną gromadkę moskitów, które ustawiły się niczym kolejka po śniadanie na jego ramieniu.

- To tu - odezwała się kilka minut później Annabeth.

Widziałem tylko kolczaste krzaki. Annabeth odsunęła na bok poplątane gałęzie, jakby to były drzwi, i zrozumiałem, że mam przed sobą zakamuflowaną kryjówkę.

W środku było dość miejsca dla trzech osób, nawet jeśli tą trzecią osobą był Tyson. Ściany były wykonane z tkaniny przypominającej indiańskie pledy, ale wyglądały na wodoodporne. W kącie stała sarta najróżniejszych rzeczy przydatnych na biwaku: śpiworów, koców, tury-stycznych lodówek; dostrzegłem nawet lampę naftową. Były też przedmioty w sam raz dla herosów: brązowe groty oszczepów, kołczan pełen strzał, zapasowy miecz, pudełko ambrozji. Pachniało stęchlizną, jakby bardzo dawno nikt tu nie mieszkał.

- Kryjówka herosów. - Spojrzałem na Annabeth z podziwem. - To twoje dzieło?

- Thalii i moje - odpowiedziała cicho. - I Luke'a.

Nie powinno było mnie to zaniepokoić. Przecież wiedziałem, że Thalia i Luke opiekowali się Annabeth, kiedy była mała. Widziałem, że wszyscy troje uciekali razem, kryjąc się przed potworami, i radzili sobie sami, zanim Grover odnalazł ich i próbował zaprowadzić na Wzgórze Herosów. A jednak ilekroć Annabeth wspominała o czasie, który spędzili razem, czułem jakąś taką... no, nie wiem. Niepewność?

Nie. To niewłaściwe słowo.

Właściwe brzmi: zazdrość.

- Słuchaj... - powiedziałem. - Nie boisz się, że Luke będzie nas tu szukał?

Pokręciła głową.

- Zbudowaliśmy mnóstwo podobnych kryjówek.

Wątpię, czy Luke pamięta, gdzie one wszystkie są. I czy w ogóle go to obchodzi.

Usiadła na kocach i zaczęła przeglądać zawartość swojego worka. Z jej zachowania wywnioskowałem, że nie miałem ochoty na dalszą rozmowę.

- Ej, Tyson? - odezwałem się. - Co byś powiedział na mały rekonesans? Wiesz, na przykład mógłbyś poszukać w okolicy jakiegoś leśnego sklepu spożywczego albo czegoś w tym rodzaju.

- Sklepu spożywczego?

- Tak, przydałaby się jakaś przekąska. Pączki z cukrem pudrem albo inne przysmaki. Tylko nie chodź zbyt daleko.

- Pączki z cukrem pudrem - powiedział z zachwytem Tyson. - Poszukam pączków w lesie. - Wyszedł przed kryjówkę i zawołał: - Ej, pączki!

Kiedy wyszedł, usiadłem naprzeciwko Annabeth.

- Wiesz; strasznie mi przykro z powodu tego, wiesz, spotkania z Lukiem.

- To nie twoja wina - Wyciągnęła swój sztylet i zaczęła wycierać ostrze szmatką.

- Zbyt łatwo pozwolił nam odejść - powiedziałem.

Miałem nadzieję, że tylko mi się wydawało, ale Anna-beth kiwnęła głową.

- O tym samym myślałam. To co podsłuchaliśmy - jak mówili, że

to na pewno "wypali", i o "złapaniu przynęty"

... Obawiam się, że to było o nas.

- Myślisz, że Runo jest przynętą? Albo Grover?

Wpatrywała się w ostrze swojego sztyletu.

- Nie mam pojęcia, Percy. Może on chce Runo dla siebie. Może ma nadzieję, że wykonamy za niego czarną robotę, a on nam je potem ukradnie. Tylko nie chce mi się wierzyć, że naprawdę otruł to drzewo.

- Czemu niby uważa - zapytałem. - że Thalia stanęłaby po jego stronie?

- Myli się

- Masz wątpliwości.

Annabeth rzuciła mi wściekłe spojrzenie, a ja zacząłem żałować, że zapytałem ją o to, kiedy miała w ręce nóż.

- Percy, czy ty wiesz, kogo przypominasz mi najbar-dziej? Thalię. Jesteście do siebie tak podobni, że to aż przerażające. Wiesz, wy albo bylibyście najlepszymi kumplami, albo skoczylibyście sobie do gardeł.

- To ja wybieram "najlepszych kumpli".

- Thalia złościła się czasem na swojego tatę. Ty tak samo. Ale czy zwróciłbyś się przeciwko Olimpowi z tego powodu?

Wpatrywałem się w pełen strzał kołczan stojący w kącie.

- Nie.

- W porządku. W takim razie ona też nie. Luke się myli. -

Annabeth wbiła czubek noża w ziemię.

Miałem ochotę zapytać ją o tę przepowiednię, o której wspomniał Luke, i co to ma do moich szesnastych urodzin. Uznałem jednak, że i tak mi nie powie. Chejron wyraził się całkiem jasno, że nie powinienem jej poznać, dopóki bogowie tak nie postanowią.

- A o co chodziło Luke'owi z tymi cyklopami? -

spytałem. - Powiedział jakoś tak: że ze wszystkich ludzi ty...

- Wiem, co powiedział. On... on robił aluzję do prawdziwego powodu śmierci Thalii.

Milczałem, nie bardzo wiedząc, co mógłbym powiedzieć.

Annabeth weschnęła niepewne.

- Nigdy nie można ufać cyklopom, Percy. Sześć lat temu, tamtej nocy, kiedy Grover prowadził nas na Wzgórze Herosów...

Urwała, bo gałęzie zasłaniające wejście do chaty zatrzeszczały. Tyson wsunął się do środka.

- Pączki z cukrem pudrem! - oznajmił z dumą, wyciągając przed siebie pudełko ze słodyczami.

Annabeth gapiła się na niego ze zdumieniem.

- Skąd to wytrzasnąłeś? Jesteśmy na kompletnym pustkowiu. Tu wokół nie ma nic w odległości...

- Kilkunastu metrów - oznajmił Tyson. - Cukiernia "Pączkobranie"... tuż za tym wzgórzem!

- Niedobrze - mruknęła Annabeth.

Przykucnęliśmy za drzewem, wpatrując się w cukier-nię stojącą w lesie. Wyglądała na całkiem nową, miała jasno oświetlone okna, a nawet parking, skąd wąska droga prowadziła między drzewa, ale poza tym nie było tu nic, a na podjeździe nie stał ani jeden samochód. Przy kasie widzieliśmy jednego pracownika czytającego gazetę. I tyle. Na sklepowej markizie wielkimi czarnymi literami, które nawet ja byłem w

stanie odczytać, było napisane:

PĄCZKOBRAKIE

Kreskówkowy ogr obgryzał, precłowate O w napisie.

Pachniało ładnie, świeżymi bułeczkami z czekoladowym nadzieniem.

- Tego nie powinno tu być - szepnęła Annabeth. - Coś mi tu nie gra.

- Co? - spytałem. - To tylko piekarnia.

- Ciii!

- Czemu szepczesz? Tyson był w środku i kupił nam pączki. Nic mu się nie stało.

- On jest potworem.

- Ej, przestań, Annabeth. "Pączkobranie" nijak nie su-geruje potworów! To pewnie lokalna sieć cukierni.

Takie same znajdziesz gdzie indziej.

- Tak, to zapewne sieciówka - przytaknęła. - I nie wy-daje ci się dziwne, że taki sklep pojawił się dokładnie wtedy, kiedy kazałeś Tysonowi poszukać pączków?

Tutaj, w samym środku lasu?

Zastanowiłem się. Było to nieco dziwaczne, ale w sumie cukiernie nie znajdują się wysoko na mojej osobistej liście sił mroku.

- To może być gniazdo - wyjaśniła Annabeth.

Tyson zachlipał. Wątpię, żeby rozumiał to, o czym mówiła Annabeth, lepiej niż ja, ale coś w jej tonie go zaniepokoiło. Wsadził rękę między pączki w pudełku i obsypał sobie całą twarz cukrem purem.

- Gniazdo czego? - spytałem.

- Nigdy cię nie zastanawiało, dlaczego sieciówki poja-wiają się jak grzyby po deszczu? - odpowiedziała pyta-niem. - Jednego dnia nic nie ma, a następnego -

bum, nowa pizzeria, kawiarnia czy co tam jeszcze?

Najpierw jeden lokal, potem dwa, cztery... dokładnie kopie w całym kraju.

- Yyy, nie. Nigdy nie przyszło mi do głowy zastanowić się nad tym.

- Percy, niektóre sieci mnożą się tak szybko dlatego, że ich lokale są magicznie połączone z mocą życiową potwo-ra. Pewne dzieci Hermesa wymyśliły sposób na to w połowie XX wieku. Hodują...

Zamarła.

- Co? - ponagliłem. - Hodują co?

- Żadnych... nagłych... ruchów - odpowiedziała, jakby zależało od tego jej życie. - Odwróćcie się bardzo powoli.

W tej samej chwili usłyszałem jakieś szuranie, jakby coś ogromnego pełzło po ściółce leśnej.

Odwróciłem się i dostrzegłem coś wielkości nosorożca poruszające się w mroku między drzewami. Syczało a jego przednia część wykręcała się we wszystkich kierunkach. Z początku nie byłem w stanie zrozumieć, co mam przed oczami. Następnie uświadomiłem sobie, że to coś ma kilka szyj - co najmniej siedem, każdą zakończoną syczącym gadzim łbem. Miało również grubą skórę, a pod każdą szyją zwisał plastikowy śliniaczek z napisem "PĄCZKOBRAK DLA NAJMŁODSZYCH".

Wyciągnąłem długopis; ale napotkałem wzrok Anna-beth, w którym dostrzegłem nieme ostrzeżenie.

Nie teraz.

Zrozumiałem. Wiele potworów ma bardzo słaby wzrok. Istniała szansa, że ta hydra nas minie. Gdybym jednak w tej chwili odetkał długopis, jego spiszowy blask na pewno zwróciłby jej uwagę.

Czekaliśmy.

Hydra była zaledwie kilka metrów od nas. Wydawało się, że

obwąchuje grunt wokół siebie, jakby tropiła.

Nagle zobaczyłem, że dwie z jej głów wrywają sobie kawałek żółtego płótna - jeden z naszych worków. Ten potwór był już w kryjówce, a teraz podążał naszym zapachem.

Serce waliło mi jak młotem. Kiedyś na obozie widziałem wypchaną głowę hydry w charakterze trofeum myśliwskiego, ale nijak nie przygotowało mnie to na spotkanie z prawdziwym potworem. Głowy miały romboidalny kształt, zupełnie jak u grzechotników, ale w pyskach połyskiwały rzędy ostrych rekinowatych zębów.

Tyson dygotał. Zrobił krok w tył i przypadkiem nade-pnął na suchą gałązkę. Natychmiast wszystkie siedem głów zwróciło się ku nam, sycząc wściekle.

- Rozsyпка! - zakomendorowała Annabeth, uskakując w prawo.

Odskokczyłem w lewo. Jedna z paszcz hydry plunęła zieloną cieczą, która przeleciała tuż koło mojej głowy i rozprysnęła się na pniu wiązu. Z drzewa uniósł się dym i pień zaczął się roztopiac. Drzewo zakołysało się i prze-chyliło w kierunku Tysona, który nadal się nie ruszał, skamieniały ze strachu na widok potwora, stojącego teraz dokładnie na przeciwko niego.

- Tyson! - pociągnąłem go z całej siły i przewróciłem dokładnie w tej samej chwili, kiedy hydra skoczyła do przodu, a drzewo zważyło się wprost na dwa z jej łbów.

Zatoczyła się do tyłu, wyrwała głowy spod pnia i zawy-ła wściekle w kierunku powalonego drzewa. Ze wszy-stkich siedmiu pysków wystrzelił kwas, a wiąz roztopił się w dymiącą kałużę błota.

- Rusz się! - rozkazałem Tysonowi. Odbiegłem na bok i odetkałem Orkana, w nadziei że przyciągnę uwagę potwora.

Zadziałało.

Widok niebiańskiego spizu jest dla większości potwo-rów nienawistny. Kiedy tylko pojawiło się lśniące ostrze, hydra rzuciła się w

jego stronę wszystkimi łbami, sycząc i obnażając zęby.

Dobra wiadomość: Tyson znalazł się chwilowo poza polem rażenia. Zła wiadomość: mogłem łąda moment zamienić się w moką plamę.

Jeden z pysków klapnął na próbę w moim kierunku.

Niewiele myśląc, zamachnąłem się mieczem.

- Nie! - wrzasnęła Annabeth.

Za późno. Odciałem równiutko łeb hydry. Potoczył się w trawę, pozostawiając kołyszący się kikut, który natychmiast przestawał krwawić i zaczął się nadymać niczym balon.

W jednym momencie przecięta szyja wypączkowała dwie odnogi, a na końcu każdej z nich wyrósł

pełnowy-miarowy łeb. Teraz miałem przed sobą ośmiogłową chydre.

- Percy! - zwróciła się do mnie z naganą w głosie Annabeth. - Właśnie otworzyłeś kolejny lokal

"Pączko-brania".

Uskoczyłem przed strumieniem kwasu.

- Ja tu zaraz zginę, a tobie globalizacja w głowie! Jak mamy to pokonać?

- Ogień! - krzyknęła Annabeth. - Potrzebujemy ognia!

Gdy tylko to usłyszałem, przypomniałem sobie właściwą historię. Żeby zapobiec powielaniu się łbów hydry, trzeba wypalić kikuty zanim głowy odrosną. Tak przynajmniej postąpił Herakles. Tylko że my nie mieliśmy ognia.

Wycofałem się w kierunku rzeki. Potwór poszedł za mną.

Annabeth podbiegła do mnie i usiłowała odwrócić uwagę jednej z głów, uderzając ją po zębach sztyletem, ale druga zahusła się na boki

niczym maczuga, prze-wracając Annabeth w błoto.

- Nie bic moich przyjaciół! - Tyson rzucił się między hydrę a Annabeth. Kiedy Annabeth stanęła na nogi, Tyson młócił łby potwora pięściami tak szybko, że przy-pomniały mi się zręcznościówki, w które grywałem w salonie gier. Ale nawet on nie był w stanie w nieskoń-czoność walczyć z hydrą.

Przez cały czas cofaliśmy się, uchylając się przed stru-mieniami kwasu i odpierając ataki kłapiących paszcz bez odcinania głów, ale zdawałem sobie sprawę, że jest to tylko odwlekanie nieuniknionego. W końcu któreś z nas popełni błąd i ten potwór nas zabije.

Nagle usłyszałem dziwaczny dźwięk...puf-puf-puf, które w pierwszej chwili wziąłem za uderzenia mojego własnego serca.

Dudnienie było tak mocne, że zatrzęsł się brzeg rzeki.

- Co to za hałas? - krzyknęła Annabeth, nie spuszczać oczu z hydry.

- Maszyna parowa - powiedział Tyson.

- Co? - odskoczyłem w bok, ponieważ potwór plunął na mnie jadem.

W tej chwili na rzece za naszymi plecami rozległ się znajomy głos:

- Tam! Przygotować wielkie działo!

Nie śmiałem odwrócić głowy od hydry, ale jeśli dobrze się domyślałem, kogo mamy za sobą, to staliśmy teraz w obliczu dwóch wrogów na dwóch frontach.

- Są zbyt blisko, psze pani - odpowiedział jej chropowa-ty męski głos.

- Przekłęci herosi! - prychnęła dziewczyna. - Cała naprzód!

- Tak jest, psze pani.

- Strzelaj wedle uznania, kapitanie.

Annabeth pojęła, co się dzieje, ułamek sekundy przede mną.

- Padnij! - wrzasnęła i rzuciliśmy się na ziemie w chwili, kiedy na rzece rozległo się potężne, wstrząsające BUUUM! Zobaczyłem rozbłysk, spryskując nas pasku-dnym zielonym śluzem, który jednak natychmiast wyparował, jak to mają w zwyczaju potworne flaki.

- Fuuuj! - wrzasnęła Annabeth.

- Parowiec! - zawołał Tyson.

Wstałem, usiłując wykaszlec włączące do gardła drobinki prochu unoszącego się nad ziemią.

Z biegiem rzeki przybliżał się do nas najdziwniejszy statek, jaki kiedykolwiek widziałem. Płynął w dużym zanurzeniu, niemal jak łódź podwodna, a pokład miał

wyłożony żelazem. Pośrodku znajdowała się trapezoida-lna wieżyczka zaopatrzona w otwory na działa po obu stronach. Z jej czubka powiewał sztandar: dzik i włócznia na czerwonokrwistym tle. Na pokładzie stały

szeregi żywych trupów w szarych mundurach -

nieuma-rli żołnierze o lśniących twarzach, tylko częściowo zakrywających czaszki, jak u tych upiorów, które widziałem w Podziemiu: gdzie trzymały straż w pałacu Hadesa.

Ten pancerny okręt był bojowym krążownikiem z czasów wojny secesyjnej. Na dziobie widniał omszały napis:

CSS BIRMINGHAM

A tuż obok dymiącego działa, któreomal nas nie zabiło, w pełnym greckim uzbrojeniu stała Clarisse.

- Frajerzy - parsknęła szyderczo. - Ale obawiam się, że muszę wam pomóc. Na pokład.

R O Z D Z I A Ł X I

CLARISSE ROZWALA WSZYSTKO
DO SZCZĘTU

No to macie kłopoty - oznajmiła Clarisse.

Właśnie skończyliśmy zwiedzanie statku (na które wcale nie mieliśmy ochoty), przechodząc głównie przez mroczne kajuty pełne nieumarłych żołnierzy.

Obejrze-li-śmy kocioł, palenisko i maszynę parową, która huczała i stękała, jakby lada chwila miała wybuchnąć.

Zobaczyli- śmy magazyn prochu i pokład artyleryjski (ulubione miejsce Clarisse) z dwiema gładkolufowymi haubicami na obu burtach oraz dziewięciocalowymi gwintowanymi działami na dziobie i rufie - wszystko to dopasowane do kul armatnich z niebiańskiego spiżu.

Dokądkolwiek ruszyliśmy, spoglądali na nas martwi konfereraccy marynarze, których upiorne brodate twarze lśniły na czaszkach. Zaakceptowali Annabeth, ponieważ powiedziała im, że pochodzi z Wirginii. Mną też się zainteresowali, ze względu na nazwisko Jackson - jak jeden z dowódców armii Południa - ale stracili zapal, kiedy powiedziałem im, że jestem z Nowego Jorku.

Zaczęli prychar i mamrotac przekleństwa pod adresem Jankesów. Tyson śmiertelnie się ich bał. Przez całą podróż błagał Annabeth, żeby trzymała go za rękę, co nieszczerólnie ją

zachwyciło.

W końcu zostaliśmy zaprowadzeni na obiad. Kajuta kapitańska na "CSS Birmingham" była wielkości sporej szafy wnękowej, ale i tak większa niż pozostałe pomieszczenia na statku. Na stole leżał biały obrus i stała porcelanowa zastawa. Szkieletowa załoga podawała kana-pki z masłem orzechowym i drzemem, pieczone ziemniaki i colę. Nie miałem ochoty przyjmować jedzenia od upiorów, ale głód przeważał nad lękiem.

- Tantal wygnał was na wieczność - oznajmiła z zadowoleniem Clarisse. - Pan D. mówi, że jeśli kiedykolwiek pojawicie się znów na obozie, to zamieni was w wiewiórki i rozjedzie samochodem terenowym.

- To od nich masz ten okręt? - zapytałem.

- Pewnie, że nie. Od ojca.

- Od Aresa?

Clarisse prychnęła.

- Myślisz, że tylko ty masz wpływy na morzu? Dusze żołnierzy poległych po stronie przegrywającej muszą wypłacić kontrybucję Aresowi. To ich przekleństwo za przegraną. Prosiłam ojca o transport morski i oto on. Ci wojacy zrobią wszystko, co im rozkażę. Zgadza się, kapitanie?

Kapitan stanął za jej plecami, sztywno wyprostowany i zły, wlepił we mnie głodne spojrzenie błyszczących zielonych oczu.

- Jeśli to oznacza koniec tej piekielnej wojny, psze pani i w końcu pokój, to zrobimy wszystko. Zniszczymy każdego.

Clarisse uśmiechnęła się.

- Zniszczyć każdego. Podoba mi się.

Tyson głośno przełknął ślinę.

- Clarisse - odezwała się Annabeth. - Być może Luke też poszukuje

Runa. Spotkaliśmy go. Zna współrzędne i zmierza na południe. Ma liniowiec pełen potworów.

- Super! Zmiotę go z powierzchni ziemi.

- Nic nie rozumiesz - odparła Annabeth. - Musimy połączyć siły. Pozwól, żebyśmy ci pomogli.

- Nie! - Clarisse uderzyła pięścią w stół. - To moja misja, mądralo! Wreszcie to ja będę bohaterką, a wasza dwójka nie odbierze mi tej szansy.

- A gdzie twoi koledzy z domku? - zapytałem. - Mogłaś zabrać ze sobą dwójkę towarzyszy, zgadza się?

- Oni nie... kazałam im zostac. Bronic obozu.

- Czyli nawet ludzie z twojego własnego domku nie chcieli ci pomóc?

- Zamknij się, Persiu! Nie potrzebuję ich! Ani ciebie!

- Clarisse - powiedziałem. - Tantal cię wykorzystuje.

Nic go nie obchodzi obóz. Marzy o jego zniszczeniu.

Wysłał cię abyś poniosła porażkę.

- Nie! Nie obchodzi mnie, co Wyrocznia... - urwała.

- Co? - spytałem. - Co powiedziała ci Wyrocznia?

- Nic. - Clarisse zaczerwieniła się aż po czubki uszu. -

Wiedz tyle, że skończę tę misję, a ty nie będziesz mi pomagał. A z drugiej strony nie mogę wam pozwolić...

- Jesteśmy więc więźniami? - spytała Annabeth.

- Gośćmi. Przynajmniej na razie. - Clarisse wyciągnęła nogi na białym obrusie i otworzyła puszkę coli.

- Proszę ich zaprowadzić na dół, kapitanie. Przydzielcie im hamaki na dolnym pokładzie. A jeśli nie będą grzeczni, pokażcie im, jak postępujemy ze szpiegami wroga.

Sen pojawił się gdy tylko zamknąłem oczy.

Grover siedział przy krosnach, prując pośpisznie ślubny tren, kiedy głaz w przejściu przetoczył się na bok i rozległ się syk cyklopa.

- Aha!

Grover wydał z siebie skowyt.

- Kochanie! Nie zauważyłam... podszedłeś tak cichutko!

- Prujesz! - ryknął Polifem. - Stąd te opóźnienia!

- Och, nie. Ja... ja wcale...

- Chodź! - Polifem chwycił Grovera w pasie i pół niosąc, a pół ciągnąc, powlókł go przez tunele jaskini.

Grover robił wszystko, byle utrzymać buty na wysokim obcasie na nogach. Welon przekrzywił się na jego głowie i mógł spaść w każdej chwili.

Cyklop zaciągnął go do groty wielkości hali magazyno-wej, wypełnionej różnym sklepowym badziewiem. Był tam okryty owczą skórą fotel, telewizor, na którym również leżała owcza skóra, byle jak zbite półki na książki zastawione owczymi gadżetami: kubkami w kształcie baranich łbów, gipsowymi barankami, grami planszowymi z owieczkami w roli głównej, książeczkami do kolorowania i figurkami.

Podłoga zasłana była ster-tami owczych kości, a także innymi szczątkami, bynaj-mniej nie przypominającymi owczych: były to kości satyrów, którzy zabłąkali się na wyspę w poszukiwaniu Pana.

Polifem postawił Grovera na ziemi tylko na chwilę potrzebną mu, żeby przetoczyć kolejny wielki głaz. Do tej groty wpadło jasne światło dnia, aż Grover jęknął

tęsknie. Świeże powietrze!

Cyklop pociągnął go na zewnątrz, na pagórek, z którego roztaczał się widok na najpiękniejszą wyspę, jaką w życiu widziałem.

Wyglądała jak siodło, które ktoś przeciągnął toporem. Po obu stronach rozciągały się zielone wzgórza, a między nimi biegła szeroka dolina przeorana głęboką szczeliną, nad którą przeczucono sznurowymost. W głąb wąwozu spływały śliczne strumyczki tworzące na jego ścianach tęczowe wodospady. Między drzewami przelatywały z szumem skrzydeł papugi. Na drzewach kwitły różowe i fioletowe kwiaty. Setki owiec pasły się na łące, ich wełna lśniła niczym miedziane i srebrne monety.

W samym środku wyspy, tuż przy sznurowym moście, rósł ogromny powykrzywiany dąb, a między jego najniższymi konarami coś połyskiwało.

Złote Runo.

Nawet we śnie wyczuwałem jego potęgę promieniującą na całą wyspę, sprawiającą, że trawa stawała się zieleńsza, a kwiaty piękniejsze. Niemal wyczuwałem działanie naturalnej magii. Mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak mocny musiał być ten zapach dla satyra.

Grover zaklwił żałość.

- Tak - oznajmił z dumą Polifem. - Widzisz to? Runo to klejnot mojej kolekcji! Ukradłem go herosom dawno temu i od tego czasu mam... darmowe obiady! Satyrowie ściągają tu z całego świata niczym cmy lecące do ognia.

Są pysznym żarciem! A teraz...

Polifem podniósł straszliwie wyglądające nożyce ze spiżu.

Grover zapiszczał, ale cyklop jedynie chwycił znajdującą się najbliżej owcę, jakby była wypchanym zierzęciem, i zestrzygł z niej wełnę, po czym podał tę puszystą masę

Groverowi.

- Nałóż to na kołowrotek! - rozkazał z dumą. -

Magiczne. Nie da się spruć.

- Och... oczywiście...

- Biedna Kruszyńka! - rozpromienił się Polifem. -

Marna z niej tkaczka. Ha, ha! Nie ma się czym martwić.

Ta nic rozwiąże problem. Twój tren może być gotowy na jutro!

- Ależ ty jesteś... przemyślny!

- He, he

- Ojej... kochany - zająknął się Grover - a co, jeśli ktoś spróbuje odbić... to znaczy zaatakować wyspę? - Grover spojrzał prosto na mnie i wiedziałem, że zadał to pytanie ze względu na nas. - Co go powstrzyma przed przybyciem prosto tutaj, do twojej jaskini?

- Moja strachliwa żoneczka! Czyż to nie urocze? Nie martw się. Polifem ma najnowszy system

antywłama-niowy. Intruz musiałby się przedrzeć przez moje zwierzaczki.

- Zwierzaczki?

Grover zaczął się rozglądać po wyspie, ale nie było na niej widac nic oprócz pasących się spokojnie na łące owiec.

- A potem - warknął Polifem. - musiałby pokonać mnie!

Rąbnął pięścią w najbliższą skałę, która pękła i rozpadła się na pół.

- Chodź, już czas! - zawołał. - Wracamy do jaskini.

Grover wyglądał tak, jakby zamierzał się rozpłakać...

tak blisko wolności, a zarazem tak rozpaczliwie daleko.

Kiedy głaz zamknął wejście, w oczach mojego kumpla weszły łzy. Był znów uwięziony w cuchnącej, oświetlo-nej pochodniami, wilgotnej norze cyklopa.

Obudził mnie dźwięk dzwonów alarmowych na całym statku.

- Wszyscy na pokład! - krzyknął chrapliwie kapitan. -

Znaleźć pannę Clarisse! Gdzie ta dziewczyna się podziewa?

W tej samej chwili jego upiorna twarz pojawiła się nade mną.

- Wstawaj, Jankesie. Twoi kumple są już na pokładzie. Zbliżamy się do przejścia.

- Jakiego przejścia?

Uśmiechnął się szeroko, dosłownie szczerząc pełny garnitur zębów.

- Na Morze Potworów, oczywiście.

Wpakowałem do płóciennego chlebaka cały mój dobytek, który przeżył atak hydry, i przerzuciłem go przez ramię. Miałem dziwne przeczucie, że cokolwiek się stanie, nie spędzę kolejnej nocy na pokładzie "CSS

Birmingham".

Szedłem właśnie na górę, kiedy coś sprawiło, że stanąłem jak wryty. Czyjaś obecność w pobliżu... coś znanego i nieprzyjaznego. Bez specjalnego powodu poczułem się tak, jakbym miał ochotę na bójkę.

Najchętniej trzasnąłbym w twarz martwego konfederata.

Ostatnio czułem się tak, kiedy...

Zamiast wspiąć się na górę, podpełzałem do krawędzi klatki wentylacyjnej i zajadłem w dół, do kotłowni.

Tuż pode mną stała Clarisse, rozmawiając z obrazem, który migotał w parze unoszącej się z kotła. Obraz przedstawiał muskularnego mężczyznę w

motocyklo-wym kombinezonie z czarnej skóry, z włosami obciętymi na rekruta, w błyskających czerwienią okularach słonecznych i nożem przypiętym do pasa.

Zacisnąłem pięści. Był to najbardziej nie ulubiany przeze mnie Olimpijczyk: Ares, bóg wojny.

- Żadnych wymówek, dziewczyno! - warknął.

- T-tak, ojcie - wymamrotała Clarisse.

- Nie chcesz, żebym się wściekł, prawda?

- Nie, ojcie.

- Nie, ojcie. - przedrzeźnił ją Ares. - Jesteś żalosna.

Powinienem posłać na tę misję któregoś z moich synów.

- Dam radę - obiecała Clarisse drżącym głosem. -

Będziesz ze mnie dumny.

- No, mam nadzieję - odpowiedział ostrzegawczym tonem. - To ty prosiłaś mnie o tę misję. Jeśli pozwolisz temu gnojkwowi Jacksonowi odebrać sobie zadanie...

- Ale Wyrocznia powiedziała...

- NIE OBCHODZI MNIE, CO POWIEDZIAŁA

WYRO-CZNIA! - ryknął Ares z taką mocą, że obraz zadrżał. - Uda ci się. A jeśli nie...

Uniósł pięść. Mimo że był jedynie obrazem w parze wodnej, Clarisse zrobiła krok do tyłu.

- Rozumiemy się? - warknął Ares.

Ponownie odezwał się dzwon alarmowy. Słyszałem zbliżające się głosy - to oficerowie wykrzykiwali rozkazy załodze przygotowującej działa.

Odsunąłem się od klatki wentylacyjnej i wróciłem na górny pokład do Annabeth i Tysona.

- Co się stało? - spytała Annabeth. - Znow miałeś koszmar?

Przytaknąłem, ale nic więcej nie powiedziałem. Nie wiedziałem, co myśleć o tym, czego świadkiem byłem na dole. Niepokoiło mnie to niemal w równym stopniu co sen o Groverze.

Clarisse weszła na górę po mnie. Starąłem się na nią nie patrzeć.

Zabrała lornetkę jednemu z oficerów zombie i spojrzała na

horyzont.

- Nareszcie. Cała naprzód, kapitanie!

Spojrzałem w tym samym kierunku co ona, ale niewiele widziałem. Niebo było zaciągnięte chmurami, a powietrze zamglone i wilgotne niczym para z żelazka.

Kiedy bardzo mocno zmrużyłem oczy, byłem w stanie dotszec kilka ciemnych, niewyraźnych plam w oddali.

Moje morskie zmysły podpowiedziały mi, że jesteśmy gdzieś u wybrzeży Florydy, a zatem pokonaliśmy sporą odległość przez noc - dalej, niż byłby w stanie dotrzeć jakikolwiek statek śmiertelników.

Silnik stęknął, kiedy przyspieszyliśmy.

Tyson pomrukiwał pod nosem:

- Za duże obciążenie silników. Nie na głęboką wodę.

Nie byłem pewny skąd on to wie, ale zaniepokoiły mnie jego słowa.

Po kilku kolejnych minutach wielkie ciemne plamy przed nami stały się wyraźniejsze. Na północy z morza wynurzała się potężna wyspa o klifach wysokości co najmniej trzydziestu metrów. Znajdująca się około mili na południe od niej druga plama ciemności okazała się wzbierającym sztormem. Niebo i morze wrzały w jednej ryczącej masie.

- Huragan? - spytała Annabeth.

- Nie - odparła Clarisse. - Charybda.

Annabeth pobladła.

- Oszalałaś?

- To jedyna droga na Morze Potworów. Pomiędzy Charybdą i jej siostrą Skyllą - Clarisse wskazała na wierzchołek klifu, a ja poczułem, że mieszka tam coś czego nie mam ochoty spotykać.

- Co masz na myśli mówiąc "jedyna droga"? -

zapytałem. - Morze jest przecież otwarte! Wystarczy to opłynąć

bokiem.

Clarisse przewróciła oczami.

- Czy ty nic nie wiesz? Gdybym próbowała to opłynąć, one znów pojawiłyby się na mojej drodze. Jeśli chcesz się dostać na Morze Potworów, musisz przepłynąć między nimi.

- A Symplegaty, Zderzające się Skały? - spytała Annabeth. - To drugie przejście. Jazon płynął tamtędy.

- Nie jestem w stanie rozwalic skał działami -
powie-działa Clarisse. - Potwory natomiast...

- Oszalałaś - stwierdziła Annabeth.

- Patrz i ucz się, Mądralińska. - Clarisse odwróciła się do kapitana.

- Kurs na Charybdę!

- Tak jest psze pani.

Silnik stęknął, żelazne pokrycie zabrzęczało i statek zaczął nabierać prędkości.

- Clarisse - odezwałem się. - Charybda zasysa morze.

Nie tak to szło?

- I wypływa je z powrotem; owszem.

- A co ze Skyllą?

- Mieszka w jaskini na tym klifie. Jeśli zanadto się zbliżymy, opuści swoje straszliwe łby i zacznie wyłapy-wac żeglarzy z pokładu, jednego po drugim.

- W takim razie lepiej skieruj na Skyllę -
podpowie-działem. - Wszyscy schowamy się pod pokład i przem-kniemy szybko koło niej.

- Nie! - upierała się Clarisse. - Jeśli Skylla nie dostanie łatwo swojego kąska, może porwać cały statek.

Poza tym znajduje się zbyt wysoko, żeby stanowić dogo-dny cel. Moje działa nie są w stanie strzelać prosto w górę. Charybda po prostu

siedzi w samym środku swojego wiru. Popłyniemy na nią, wycelujemy i wrzuci-my ją prosto do Tartaru!

Mówiła to z takim przekonaniem, że niemal jej uwierzyłem.

Silnik szumiał. Kotły podgrzewały się tak, że pokład pod moimi stopami stawał się coraz cieplejszy. Wszędzie kłębił się dym.

Krwistoczerwona flaga Aresa załopotała na wietrze.

Kiedy zbliżaliśmy się do potworów, ryk Charybdy stawał się coraz głośniejszy - potwornie chlupiące wycie, jakby ktoś spuszczał wodę w największej toalecie gala-ktyki. Za każdym razem kiedy Charybda wciągała wodę, statek drżał i skakał do przodu. Za każdym razem, kiedy ją wypuszczała, unosiliśmy się w górę i byliśmy zalewani przez trzymetrowe fale.

Usiłowałem wyliczyć okres wiru. Na moje oko Chary-bda potrzebowała około trzech minut, żeby wessac i zniszczyć wszystko wokół w odległości kilometra. Żeby uniknąć wessania, musielibyśmy przemknąć tuż koło klifu Skylli. A jakkolwiek potworna miałaby ona być, klify wyglądały jak dla mnie całkiem nieźle.

Nieumarli żołnierze ze spokojem wypełniali swoje zadania na górnym pokładzie. Uznałem, że skoro walczyli już kiedyś w przegranej sprawie, to obecna nie robiła pewnie na nich wrażenia. A może nie troszczyli się o siebie, bo i tak byli już martwi. Żadna z tych myśli nie napawała mnie szczególnym optymizmem.

Annabeth stała obok mnie, trzymając się kurczowo relingu.

- Masz nadal ten termos z wichrami?

Przytaknąłem.

- Ale to by było zbyt niebezpieczne w takim wirze.

Wiecej wiatru tylko pogorszy sprawę.

- A co z konrtolą wody? - spytała. - Jesteś przecież synem

Posejdona. Już to kiedyś robiłeś.

Miała rację. Zamknąłem oczy i próbowałem uspokoić morze, ale

nie byłem w stanie się skoncentrować. Fale nie odpowiadały na moje wezwania.

- Nie dam rady. - powiedziałem żałośnie.

- Potrzebujemy planu ratunkowego. - oznajmiła Anna-beth. - Bo ten nie zadziała.

- Annabeth ma rację - odezwał się Tyson. - Silnik nie pracuje dobrze.

- Co masz na myśli? - spytała Annabeth.

- Ciśnienie. Tłoki wymagają naprawy.

Zanim zdążył wyjaśnić, kosmiczna toaleta splukała się z potężnym wiuuuuu! Statek skoczył do przodu i upadłem na pokład. Znaleźliśmy się wewnątrz wiru.

- Cała wstecz! - wrzasnęła Clarisse, usiłując przekrzyć hałas. Morze wokół nas wrzało, fale roztrzaskiwały się nad pokładem. Żelazne pokrycie było rozgrzane do tego stopnia, że unosiła się z niego para. -

Musimy znaleźć się w zasięgu strzału! Gotować działa na burcie!

Martwi konfederaci ganiłi tam i z powrotem. Śruba ze zgrzytem przeszła na wsteczny, żeby spowolnić pęd statku, ale nie przestawaliśmy się ślizgać ku środkowi wiru.

Spod pokładu wybiegł marynarz zombie i pędził w stronę Clarisse. Z jego szarego munduru unosił się dym, broda mu płonęła.

- Kocioł przegrzany, psze pani! Za moment wybuchnie!

- No to jazda na dół i napraw go!

- Nie da się! - krzyknął marynarz. - Wyparowujemy w tym żarze!

Clarisse rąbnęła pięścią w ściankę wieżyczki.

- Potrzebuję tylko kilku minut! Tyle, żeby znaleźć się w zasięgu strzału!

- Płyniemy za szybko - oznajmił ponuro kapitan. -

Gotujcie się na śmierć.

- Nie! - ryknął Tyson. - Ja mogę to naprawić.

Clarisse spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ty?

- To cyklop - powiedziała Annabeth. - Jest odporny na ogień. I zna się na mechanice.

- Idź! - wrzasnęła Clarisse.

- Nie, Tyson! - Chwyciłem go za rękę. - To zbyt niebezpieczne! Poklepał mnie po dłoni.

- To jedyny sposób, bracie. - Na jego twarzy malowało się zdecydowanie... wręcz pewność siebie. Nigdy nie widziałem u niego takiej miny. - Naprawię to. I zaraz wrócę.

Patrząc jak szedł za dymiącym marynarzem pod pokład, miałem okropne przeczucie. Najchętniej pobiegłbym za nim, ale statkiem znów zakłósało... i w tej samej chwili zobaczyłem Charybdę.

Pojawiła się zaledwie kilkaset metrów przed nami w wirze mgły, dymu i wody. Najpierw dostrzegłem rafę: czarny grzbiet koralowca z uczepionym szczytu drzewkiem figowym - dziwną oazą spokoju w samym środku wiru. Wszędzie dookoła fale wyginały się w lej niczym światło wokół czarnej dziury. Następnie zobaczyłem potworność uczepioną rafy tuż poniżej linii wody: gigantyczną paszczę o oślizgłych wargach i omszałych zębiskach rozmiarów małych łódek. Co gorsza, na zębach potwór nosił aparat ortodontyczny, taśmy

zardzewiałego metalu, do których przyczepiły się kawałki ryb, drewna i śmieci.

Charybda mogłaby być koszmarnym snem mojego dentysty. Składała się wyłącznie z ogromnego czarnego pyska z krzywymi siekaczami i fatalnym zgryzem, przez stulecia nie zajmowała się niczym innym oprócz jedzenia i nie myła zębów po posiłkach. Na moich oczach połknęła całe morze wokół siebie: rekiny, ławice ryb, olbrzymią

kałamarnicę. Uświadomiłem sobie, że za parę sekund "CSS Birmingham" pójdzie w ich ślady.

- Panno Clarisse! - zawołał kapitan. - Działa na prawej burcie i na dziobie w zasięgu strzału!

- Ognia! - rozkazała Clarisse.

W paszczę potwora zostały wystrzelone trzy pociski.

Jeden odstrzelił kawałek siekacza. Drugi znikł w przełyku. Trzeci odbił się od aparatu Charybdy i uderzył

w nas rykoszetem, zrywając z masztu sztandar Aresa.

- Ognia! - rozkazała ponownie Clarisse.

Artylerzyści załadowali, ale ja wiedziałem, że to na nic.

Musieliśmy zbombardować potwora jeszcze ze sto razy, żeby odnieść jakikolwiek skutek, a nie mieliśmy na to czasu. Za szybko nas wsysało.

W tej chwili vibracje odczuwalne na pokładzie się zmieniły.

Pomruk maszyn stał się mocniejszy i równy.

Statek zakołysał się i zaczął płynąć pod prąd, dalej od paszczy.

- Tyson dał radę! - zawołała Annabeth,

- Zaczekajcie! - krzyknęła Clarisse. - Musimy być blisko!

- Zginiemy! - zaprotestowałem. - Musimy się oddalić!

Chwyciłem za reling, czując jak statek walczy z zasy-saniem.

Złamany masz sztandaru Aresa urwał się i utkwił między zębami Charybdy. Nie posuwaliśmy się do przodu, ale przynajmniej nie traciliśmy pozycji.

Tysonowi jakimś cudem udało się dodać statkowi tyle sił, żeby mógł opierać się wirowi.

Paszcza niespodziewanie się zatrzasnęła. Morze uspokoiło się całkowicie, a woda przykryła Charybdę.

Nagle, równie szybko jak się wcześniej zamknęła, paszcza otwarła się, wypływając ścianę wody, wyrzucając wszystko, co nie nadawało się

do jedzenia, łącznie z kulami armatnimi, z których jedna uderzyła w "CSS

Birmingham" z brzękiem, jaki wydaje upuszczona na ziemię pokrywa od kotła w obozowej kuchni.

Fala wysoka chyba na dwanaście metrów rzuciła nami do tyłu. Usiłem całej siły woli, żeby utrzymać statek w równowadze, ale wciąż kręciliśmy się w niekontrolowany sposób, pędząc ku klifom po przeciwnej stronie cieśniny.

Spod pokładu wypadł kolejny dymiący żołnierz.

Zatoczył się na Clarisse, tak że oboje omal nie wypadli za burtę.

- Maszyny zaraz wybuchną!

- Gdzie jest Tyson? - zapytałem nerwowo.

- Na dole - odpowiedział marynarz. - Jakoś to utrzymuje w kupie, ale nie wiem, jak długo wytrzyma.

- Musimy opuścić statek - oznajmił kapitan.

- Nie! - wrzasnęła Clarisse.

- Nie mamy wyboru, psze pani. Kadłub już się rozpada. Statek nie...

Nie zdążył dokończyć zdania. Z nieba szybko jak błyskawica strzeliło coś brązowo-zielonego porwało kapitana i uniosło go do góry. Pozostały po nim tylko wysokie skórzane buty.

- Skylla! - ryknął jakiś marynarz, kiedy z klifu spadła kolejna kolumna oślizgłego ciała i porwała go w górę. Wydarzyło się to tak szybko, że miałem wrażenie, jakbym oglądał promień lasera, a nie ruchy potwora.

Nie byłem nawet w stanie dostrzec pyska, tylko błysk zębów i łusek.

Odetkałem Orkana i usiłowałem ciąć w szyję unoszącą kolejnego marynarza, ale byłem stanowczo zbyt powolny.

- Wszyscy pod pokład! - krzyknąłem.

- Nie możemy! - Clarisse też dobytek miecza. - Pod pokładem szaleje ogień.

- Szalupy ratunkowe! - wymyśliła Annabeth. -
Szybko!

- Nie przepłyną koło tych klifów - zaprotestowała Clarisse. -
Zostaniemy wszyscy pożarci.

- Musimy spróbować, Percy, termos.

- Nie zostawię Tysona!

- Musimy przygotować łódzie!

Clarisse posłuchała Annabeth. Wraz z kilkoma nieumarłymi marynarzami zdjęła przykrycie z jednej z dwóch ratunkowych szalup wiosłowych, podczas gdy Skylla bombardowała nas z nieba swoimi głowami niczym rojem zębatych meteorów, porywając konfederalców jednego po drugim.

- Wsiadaj do drugiej łodzi. - Rzuciłem Annabeth termos. - Idę po Tysona.

- Nie możesz! - zaprotestowała Annabeth. - Ugotujesz się!

Nie słuchałem. Podbiegłem do klapy kotłowni i nagle poczułem, że nie dotykam już stopami pokładu.

Leciałem prosto do góry, wiatr szumiał mi w uszach, ściana klifu przemykała zaledwie kilkanaście centymetrów od mojej twarzy.

Skylla zdołała w jakiś sposób chwycić mnie za chlebak i niosła mnie ku swojemu legowisku. Niewiele myśląc machnąłem mieczem i zdołałem wbic ostrze w sam środek, paciorkowatego oka. Jęknęła i puściła mnie.

Sam upadek by wystarczył, bo przecież wisiałem w powietrzu na wysokości trzydziestu metrów. Ale jakby tego było mało, dokładnie w tej chwili, kiedy spadałem, okręt "CSS Birmingham" eksplodował tuż

pode mną.

BUUUUM!

Maszynownia wyleciała w powietrze. Kawałki żela-stwa latały na wszystkie strony niczym na ognistych skrzydłach.

- Tyson! - ryknąłem.

Łodzie ratunkowe zdołały odpłynąć od statku, ale nie bardzo daleko. Z nieba padały odłamki płonącego wraku.

Clarisse i Annabeth zostaną zgniecione, albo spalone, albo też wciągnięte pod wodę przez samą siłę tonącego kadłuba, a i to wszystko były opcje optymisty-czne, przy założeniu, że uda im się wymknąć Skylli.

W tym momencie usłyszałem kolejny wybuch -

odgłos otwieranego termosu Hermesa. Nieco zbyt szeroko. Białe smugi wiatrów wypadły na wszystkie strony, po-syłając szalupy w przeciwnych kierunkach, oraz unosząc mnie w górę i popychając dalej nad ocean.

Nic nie widziałem. Wirowałem w powietrzu, oberwa-łem czymś ciężkim w głowę i uderzyłem w wodę z taką siłą, że połamamłbym wszystkie kości, gdybym nie był synem Pana Mórz.

Ostatnie co zapamiętałem to zapadanie się w płonące morze ze świadomością, że Tyson odszedł na zawsze. Marzyłem tylko o tym, żeby móc utonąć.

R O Z D Z I A Ł XII

WIZYTA W CENTRUM ODNOWY

BIOLOGICZNEJ MADAME KIKI

Obudziłem się na łódce wiosłowej z prowizorycznym żaglem z szarego materiału mundurowego. Koło mnie siedziała Annabeth, halsując pod wiatr.

Próbowałem usiąść i natychmiast mnie zamroczyło.

- Odpoczywaj - powiedziała. - Będiesz potrzebował odpoczynku.

- Tyson...?

Pokręciła głową.

- Tak mi przykro, Percy. Naprawdę.

Milczeliśmy a wiatr kołysał nami w górę i w dół.

- On miał szanse przeżyć - powiedziała Annabeth bez przekonania.

- Znaczy, wiesz, ogień nie jest w stanie go zabić.

Przytaknałem, ale nie widziałem żadnych powodów do nadziei. Widziałem, jak ten wybuch rozrywał lite żelazo. Jeśli Tyson był w kotłowni, to nie miał żadnych szans.

Oddał życie za nas, a mnie po głowie chodziły wspo-mnienia wyłącznie z tych chwil, kiedy czułem w jego obecności zażenowanie oraz protestowałem przeciwko nazywaniu nas bracmi.

Fale uderzały o łódkę. Annabeth pokazała mi to, co udało jej się ocalić z katastrofy: termos Hermesa (już pusty), saszetkę ambrozji, kilka koszulek marynarskich i butelkę coli. Wyłowiła mnie z wody i znalazła mój chlebak przegryziony na pół przez Skyllę. Większość mojego dobytku odpłynęła, ale wciąż miałem buteleczkę Hermesowych multiwitamin, no i oczywiście nie opuścił

mnie Orkan. Długopis zawsze powracał do mojej kiesze-ni,

niezależnie od tego, gdzie go zgubiłem.

Żeglowaliśmy przed siebie kilka godzin. Teraz, na Morzu Potworów, woda błyszczała żywszą zielenią przy-pominającą jad hydry. Wiatr pachniał świeżo i słono, ale dawało się w nim wyczuć dziwny metaliczny zapach...

jakby nadciągającej burzy z piorunami. A może czegoś jeszcze groźniejszego. Wiedziałem, w jakim kierunku powinniśmy płynąć. Wiedziałem, że od naszego celu dzieli nas dokładnie sto trzysta mil morskich na zachód - północny zachód. Mimo to czułem się całkowicie zagubiony.

Niezależnie od tego, w jaką kierowaliśmy się stronę, miałem wrażenie, że słońce zawsze świeci mi prosto w oczy. Na zmianę pociągaliśmy po łyku coli i osłanialiśmy się żaglem, jak tylko się dało. I rozmawialiśmy o moim ostatnim śnie o Groverze.

Według szacunków Annabeth mieliśmy niespełna dobę na odnalezienie naszego kumpla, przy założeniu, że mój sen był dokładny i że cyklop Polifem nie zmienił

zdania i nie postanowił poślubić Grovera wcześniej.

- Taaa - powiedziałem cierpko. - Nigdy nie można ufac cyklopom. Annabeth wbiła wzrok w fale.

- Przepraszam, Percy. Myliłam się co do Tysona, okej?

Żałuję, że nie mogę mu tego powiedzieć.

Próbowałem się na nią nie złościć, ale to nie było łatwe. Za dużo razem przeszliśmy. Annabeth kilkakrotnie uratowała mi życie. Nie potrafiłem naprawdę mieć do niej pretensji.

Spojrzałem na nasz niezbyt bogaty dobytek: pusty termos wiatrów, butelka multiwitamin. Przypomni mi się wyraz wściekłości na twarzy Luke'a, kiedy usiłowa-łem porozmawiać z nim o jego tacie.

- Annabeth, czym jest proroctwo Chejrona?

Zacisnęła usta.

- Percy, ja nie powinnam...

- Wiem, że Chejron obiecał bogom nic mi nie mówić.
Ale ty nic nie obiecywałaś, prawda?

- Wiedza nie zawsze jest pożyteczna.

- Przecież twoja mama jest boginią mądrości!

- Wiem! Ale ilekroć herosi dowiadują się czegoś o przyszłości, próbują ją zmienić, a to zawsze źle się kończy.

- Bogowie martwią się czymś, co zrobię, jak będę starszy - próbowałem zgadywać. - Kiedy skończę szesnaście lat.

Annabeth miętosila w rękach swoją bejsbolówkę.

- Percy, nie znam całej przepowiedni, ale ostrzega ona przed dzieckiem półkrwi pochodzącym od kogoś z Wielkiej Trójki... tym, które dożyje szesnastu lat. Tak naprawdę to dlatego Zeus, Posejdon i Hades zawarli po drugiej wojnie światowej ten pakt o nieposiadaniu potomków. Dziecko Wielkiej Trójki, które dożyje szesnastu lat, stanie się bardzo niebezpieczną bronią.

- Dlaczego?

- Ponieważ ten heros zdecyduje o losach Olimpu.

Podejmie decyzję, która albo ocali Wiek Bogów, albo go skończy.

Zastanowiłem się chwilę nad tym. Nie miewam choroby morskiej, ale zrobiło mi się niedobrze.

- To dlatego Kronos nie zabił mnie w zeszłym roku.

Przytaknęła.

- Możesz być dla niego bardzo użyteczny. Jeśli zdołałby przeciągnąć cię na swoją stronę, bogowie znaleźliby się w niezłych tarapatach.

- Ale jeśli to o mnie chodzi w tej przepowiedni...

- To będziemy wiedzieć, jeżeli przeżyjesz jeszcze trzy lata. To dużo dla herosa. Kiedy Chejron usłyszał po raz pierwszy o Thalii, uznał,

że to ona jest tym dzieckiem z przepowiedni. Dlatego tak rozpaczliwie starał się doprowadzić ją do obozu. Ale ona zdecydowała się na walkę i została przemieniona w sosnę, i nikt z nas nie wiedział, co o tym myśleć. Dopóki ty się nie pojawiłeś.

Po naszej lewej wypłynęła nad wodę naszpikowana kolcami zielona płetwa grzbietowa długości niemal pięciu metrów, po czym znikła.

- To dziecko z przepowiedni... ono nie może być, no wiesz, na przykład cyklopem? - spytałem. - Wielka Trójka ma mnóstwo potwornych dzieci.

Annabeth potrząsnęła przecząco głową.

- Wyrocznia powiedziała "heros". A to zawsze oznacza pół boga, pół człowieka. Naprawdę nie ma teraz nikogo poza tobą.

- W takim razie dlaczego bogowie w ogóle pozwalają mi żyć? Bezpieczniej byłoby mnie zabić.

- To prawda.

- Dzięki.

- Percy, ja nie wiem. Obawiam się, że niektórzy bogo-wie woleliby cię zabić, ale boją się obrazić Posejdona. Inni... może cały czas cię obserwują, zastanawiając się, jaki się okażesz. W końcu równie dobrze możesz się stac narzędziem ocalenia. Prawdziwe pytanie brzmi: Co zrobisz za trzy lata? Jaką podejmiesz decyzję?

- Czy przepowiednia coś w tej sprawie podpowiada?

Annabeth się zawahała.

Może i powiedziałyby mi coś więcej, ale w tej chwili z nieba zanurkowała mewa i usiadła na naszym prowizo-rycznym maszcie. Annabeth ze zdziwieniem spojrzała na niewielką garstkę liści, które ptak zrzucił jej na kolana.

- Łąd. - powiedziała. - Jesteśmy w pobliżu ładu.

Usiadłem. Rzeczywiście, w oddali widoczna była niebieskobrazowa kreska. Chwilę później dostrzegłem już wyspę z górą pośrodku, olśniewająco białymi budynkami, plażą otoczoną palmami i przystanią, przy której kołysały się dziwacznie wyglądające łodzie i statki.

Prąd znosił naszą szalupę ku temu miejscu, które sprawiało wrażenie tropikalnego raj.

- Witajcie! - powitała nas kobieta ze skoroszytem.

Wyglądała jak stewardesa: błękitny kostiumik bizneswoman, idealny makijaż, włosy związane w koński ogon. Uścisnęła nam dłonie, kiedy tylko zeszli-śmy na ląd. Sądząc po olśniewającym uśmiechu, jakim nas uraczyła, można by pomyśleć, że właśnie wysiedli-śmy z "Księżniczki Andromedy", a nie z poobijanej szalupy.

Tylko że nasza łódka wcale nie była najdziwniejsza z tych wszystkich, które cumowały w tutejszej przystani.

Było tu parę eleganckich jachtów, ale i łódź podwodna marynarki Stanów Zjednoczonych, i kilka dłubanek, a także staroświecki trójmasztowiec. Było też lądowisko dla helikopterów, na którym stał śmigłowiec z logo telewizji z Fort Lauderdale, a także niewielki lotnisko-wiec z cessną i samolotem wyglądającym jak myśliwiec z czasów drugiej wojny światowej. Może to jakieś repliki do zwiedzania przez turystów albo co.

- Pierwszy raz u nas? - zapytała kobieta.

Wymieniliśmy z Annabeth spojrzenia.

- Yyy... - zaczęła Annabeth.

- Pierwszy - raz - w - naszym - centrum - powtórzyła kobieta, notując coś w swoim skoroszycie. - Zobaczymy...

Zlustrowała nas od stóp do głów krytycznym wzrokiem.

- Hmmm. Młoda dama powinna zacząć od maseczki ziołowej. A dżentelmen od kompleksowej odnowy biologicznej, oczywiście.

- Czego?

Ona jednak była zbyt zajęta robieniem notatek, żeby zwrócić uwagę na moje pytanie.

- Świetnie! - powiedziała w końcu z promiennym uśmiechem. - Jestem przekonana, że Madame Kika zechce porozmawiać z wami osobiście przed fiestą.

Chodźcie ze mną.

No, i w tym problem. Annabeth i ja przyzwyczailiśmy się do pułapek, które zazwyczaj na pierwszy rzut oka wyglądały bardzo sympatycznie. Spodziewałem się zatem, że nasza stewardesa zamieni się lada moment w węża, demona czy coś w tym rodzaju. Z drugiej strony przez większość dnia dryfowaliśmy w małej szalupie.

Byłem zmęczony upałem i głodny, więc kiedy kobieta wspomniała o posiłku, mój żołądek usiadł na tylnych łapach i zaczął prosić jak piesek.

- To chyba nie zaszkodzi - mruknęła Annabeth.

Oczywiście, że mogło jednak zaszkodzić, ale i tak poszliśmy za tą kobietą. Trzymałem cały czas ręce w kieszeniach, w których schowałem magiczne artefakty: multiwitaminy od Hermesa i miecz Orkan, ale im bardziej zagłębialiśmy się między zabudowania kurortu, tym łatwiej zapominałem o tym wszystkim.

To miejsce było niezwykle. Wszędzie, gdzie tylko się obróciłem, miałem przed oczami biały marmur i lazuro-wą wodę. Po zboczu góry wspinały się tarasy, na wszystkich poziomach znajdowały się baseny połączone wodnymi zjeżdżalniami i wodospadami oraz podziemnymi

tunelami, którymi też dało się pływać.

Fontanny rozpryskiwały wodę w powietrzu, tworząc niewiarygodne kształty: lecące orły, galopujące konie.

Tyson kochał konie, wiedziałem też, że zachwyciłby się tymi fontannami. Prawie obróciłem się, żeby zobaczyć jego minę, kiedy uzmysłowiłem sobie, że go tu nie ma.

- Wszystko w porządku? - spytała Annabeth. - Zbladłeś.

- W porządku - skłamałem. - Tylko... Chodźmy.

Mijaliśmy po drodze najróżniejsze oswojone zwierzęta. Na stercie plażowych ręczników drzemał

morski żółw. Lampart spał na trampolinie. Gośćmi centrum były, jak

zauważyłem same młode kobiety wylegające się na leżakach, popijające koktajle owocowe i czytające kolorowe czasopisma, podczas gdy na ich twarzach zasychały ziołowe maseczki, a manikiurzystki w białych mundurkach uwijały się wokół ich paznokci.

Kierowaliśmy się ku schodom wiodącym do czegoś, co wyglądało na główny budynek, kiedy usłyszałem kobiecy śpiew. Głos unosił się w powietrzu niczym kołysanka. Słowa pochodziły z języka innego niż grecki, może nawet starszego, jakiegoś minojskiego czy coś takiego. Rozumiałem, o czym była pieśń: o świetle księżyca w gajach oliwnych, o barwach jutrzeńki. I o magii. Było tam coś o magii. Ten głos zdawał się unosić mnie nad schodami i wieść prosto ku niej.

Weszliśmy do sporej sali, której całą jedną ścianę tworzyły okna. Ściana przeciwna była pokryta w całości lustrami, w związku z czym pomieszczenie to zdawało się nie mieć końca. Było tu trochę drogich białych mebli, a na stoliku w jednym z kątów stała spora drucziana klatka, która kompletnie nie pasowała do reszty pokoju, ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi, ponieważ w tej właśnie chwili zobaczyłem

śpiewającą kobietę... i zatkało mnie.

Siedziała przy krosnach wielkości sporego ekranu telewizyjnego, przeplatając kolorowe nitki ze zdumiewającą wprawą. Jej gobelin sprawiał wrażenie trójwymiarowego; przedstawiał krajobraz nad wodospadem tak realistyczny, że widziałem spadającą wodę i chmury płynące po utkanym niebie.

Annabeth wstrzymała oddech.

- Jakie to piękne.

Kobieta się odwróciła. Była jeszcze piękniejsza niż jej tkanina. Długie ciemne włosy miała przeplecione złotymi nitkami. Jej zielone oczy przewiercały człowieka na wylot, a haftowane na czarnym jedwabiu jej sukni motywy zdawały się poruszać na materiale: sylwetki zwierząt, czarne na czarnym, niczym jelenie biegnące przez nocny las.

- Podoba ci się moja tkanina, kochana? - spytała kobieta.

- Och, tak, proszę pani! - odpowiedziała Annabeth. -

Moja mama...

Urwała. Nie mogła opowiadać przecież na prawo i lewo, że jej matką jest Atena, bogini, która wynalazła warsztat tkacki. Większość ludzi zamknęłaby ją za takie słowa w pokoju bez klamek.

Nasza gospodyni uśmiechnęła się tylko.

- Masz doskonały gust, moja droga. Tak się cieszę z waszego przybycia. Mam na imię Kika.

Zwierzęta zamknięte w klatce zaczęły popiskiwac.

Sądząc po odgłosach, jakie wydawały, musiały to być świnki morskie.

Przedstawiliśmy się Madame. Obrzuciła mnie wzrokiem, w którym malowała się dezaprobatą, jakbym oblał jakiś egzamin. Natychmiast poczułem się źle. Coś sprawiało, że naprawdę pragnąłem przypodobać się tej kobiecie.

- Och, mój drogi - westchnęła. - Ty naprawdę potrzebujesz mojej pomocy.

- Tak, pani? - spytałem.

Madame Kika zawołała kobietę w kostiumie bizneswoman.

- Hyllo, zabierz Annabeth na przejażdżkę, dobrze?

Pokaż jej wszystkie atrakcje. Trzeba jej dać nowe ubrania. No i te włosy, ojej. Zabierzemy się za porządną stylizację, jak tylko porozmawiam z tym tu młodzieńcem.

- Ale... - w głosie Annabeth brzmiała uraza. - Co jest nie tak z moimi włosami?

Madame uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Moja droga, jesteś śliczna. Naprawdę! Ale zupełnie tego nie pokazujesz, podobnie jak twoich talentów.

Marnujesz taki potencjał!

- Marnuję?

- No cóż, chyba nie jesteś zadowolona z tego wyglądu!

Och, nie wiem, czy istnieje ktokolwiek, kto jest naprawdę z siebie zadowolony. Ale się nie przejmuj. W

naszym centrum możemy wszystko naprawić. Hyllo pokaże ci, co mam na myśli. Musisz moja kochana, otworzyć się na swoje prawdziwe ja!

W oczach Annabeth pojawiła się nieopisana tęsknota.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby brakowało jej słów.

- Ale... co z Percym?

- Och, Percy... - Madame Kika posłała mi zamyślane spojrzenie. - On zdecydowanie wymaga mojej osobistej uwagi. Nad nim trzeba znacznie bardziej popracować niż nad tobą.

W normalnych warunkach, gdybym usłyszał coś takiego, rozzłościłoby mnie to, ale słysząc te słowa z ust Madame Kiki, poczułem

smutkek. Rozczarowałem ją.

Chciałem wymyślić coś, żeby się poprawić.

Świnki morskie piszczały, jakby były głodne.

- Dobrze... - powiedziała Annabeth. -

Przypuszczam...

- Tędy, moja droga - powiedziała Hylla.

I Annabeth pozwoliła się poprowadzić do pełnego fontann ogrodu.

Madame Kika ujęła mnie za rękę i poprowadziła ku wyłożonej lustrami ścianie.

- Widzisz, Percy... aby uwolnić swój potencjał, naprawdę potrzebujesz pomocy. Pierwszym krokiem jest przyznanie, że nie akceptujesz takiego wyglądu.

Nie mogłem ustac spokojnie przed lustrem.

Niena-widziałem samej myśli o moim wyglądzie - na przykład pierwszego pryszcza, który mi wyskoczył na nosie na początku roku szkolnego, albo tego, że moje dwa przed-nie zęby nie były idealnie równe, albo też, że moje włosy nigdy właściwie się nie układały.

Głos Madame Kiki przypominał mi o tym wszystkim, jakby oglądała mnie pod mikroskopem. Na dodatek miałem na sobie wyjątkowo niemodne ciuchy. To oczywiste.

Kogo to obchodzi? - myślała jakaś częśćka mnie. Ale stojąc przed lustrem Madame Kiki, miałem problem z dostrzeżeniem w sobie jakiegokolwiek pozytywnej cechy.

- Już dobrze, dobrze - odezwała się pocieszającym tonem Madame Kika. - Może spróbujemy czegoś... takiego.

Pstryknęła palcami i błękitna jak niebo zasłona opadła na lustro. Lśniła podobnie jak tkanina na krosnach.

- Co widzisz? - spytała Madame Kika.

Patrzyłem na niebieską materię, nie bardzo wiedząc, co miała na myśli.

- Nie...

I w tej chwili zasłona zmieniła kolory. Zobaczyłem siebie... Odbicie, ale niezupełnie odbicie. Na tkaninie migotała znacznie fajniejsza wersja Percy'ego Jacksona: w modnych ciuchach i z pewnym siebie uśmiechem na twarzy. Zęby stały się idealnie równe. Nie było widac ani jednego pryszcza. Miałem piękną opaleniznę. Byłem lepiej zbudowany. Może nawet nieco wyższy. To byłem ja pozbawiony wszelkich niedoskonałości.

- Super... - wydukałem.

- Chciałbyś tak wyglądać? - spytała Madame Kika. - A może powinniśmy spróbować czegoś innego...

- Nie - odpowiedziałem. - To... to jest wspaniałe.

Mogłabyś naprawdę...

- Mogę zafundować ci kompleksową odnowę biologiczną - obiecała Madame Kika.

- A gdzie jest haczyk? - spytałem. - Jakaś, no... specjalna dieta?

- Och, to całkiem proste - odrzekła Kika. - Mnóstwo świeżych owoców, trochę ćwiczeń sportowych, no i oczywiście... to.

Podeszła do barku i napełniła szklanę wodą.

Następnie otworzyła saszetkę z napojem w proszku i nasypała do wody nieco czerwonych granulek. Mikstura zaśniła. A kiedy blask przygasł, napój wyglądał zupełnie jak koktajl truskawkowy.

- Taki koktajl zamiast zwykłych posiłków - oznajmiła.

- Natychmiastowy efekt gwarantowany.

- Jak to możliwe?

Roześmiała się.

- Po co te pytania? Jak to, nie chcesz natychmiast przemienić się w

doskonałego siebie?

Jakaś myśl czająca się na samym dnie umysłu nie dawała mi spokoju.

- Dlaczego w tym kurorcie nie ma żadnych facetów?

- Ależ są - zapewniła mnie Madame Kika. - Za chwilę ich spotkasz. Skosztuj tego koktajlu. Zobaczysz.

Spoglądałem na błękitną tkaninę i na odbicie przedstawiające mnie, a zarazem nie mnie.

- Ej, Percy - zwróciła się do mnie Madame Kika z lekką naganą. - Rezygnacja z kontroli to najtrudniejsza część procesu kompleksowej odnowy. Musisz podjąć decyzję: czy wolisz zaufać swoim wyobrażeniom o tym, czym powinienes byc, czy też moim?

Czułem suchość w gardle. Usłyszałem własny głos:

- Pani.

Madame Kika uśmiechnęła się i podała mi szklanę.

Unosiłem ją do ust.

Smak napoju nie odbiegał od jego wyglądu - to był truskawkowy koktajl na mleku. Niemal natychmiast poczułem rozchodzące się po całym ciele ciepło: z początku przyjemna, potem boleśnie gorąca, rozdzierająca jakby mikstura zaczęła wrzec w moich żyłach.

Złapałem się za brzuch i upuściłem szklanę.

- Co pani... Co się dzieje?

- Nie przejmuj się, Percy. - powiedziała Madame Kika. - Ból minie. Patrz! Tak, jak obiecywałam.

Natychmiast-owy efekt.

Coś było straszliwie nie w porządku

Zasłona opadła, a w lustrze zobaczyłem, jak moje ręce marszczą się, skręcają, i wypuszczają delikatne pazurki.

Na twarzy wyrosło mi futro, podobnie jak pod koszulką i we wszystkich niewłaściwych miejscach, jakie można sobie wyobrazić. Zęby ciążyły w ustach. Ubrania zrobiły się za duże albo też Madame Kika rosła... nie, to ja się kurczyłem.

W jednym okropnym momencie wpadłem w jaskinię z ciemnej materii: zostałem nakryty moją własną koszulką. Usiłowałem biec, ale poczułem chwytające mnie ręce - dłonie równie duże jak ja sam. Chciałem wołać o pomoc, ale z ust dobyło mi się tylko: "Ułiii, ułiii, ułiii!".

Straszliwe, wielkie palce ścisnęły mnie w pasie i uniosły w górę. Wrywałem się i kopałem, ale ręce i nogi były jakoś dziwnie za krótkie, a chwilę później spoglądałem z przerażeniem prosto w wielkie oczy osadzone w ogromnej twarzy Madame Kiki.

- Wspaniale! - krzyknęła. Wierciłem się spanikowany, ale ona tylko zacisnęła uchwyt na moim futerkowym brzuchu. - Widzisz, Percy? Uwolniłeś swoje prawdziwe ja!

Uniosła mnie przed lustrem, a to, co zobaczyłem, sprawiło, że miałem ochotę krzyczec. Ułiii, ułiii, ułiii!

Stała tam Madame Kika, piękna i uśmiechnięta, trzymając w ręku puchate stworzonko o wielkich sieka-czach, maleńkich pazurkach i biało-rudym futerku. Kiedy się wierciłem, zwierzątko w lustrze powtarzało moje ruchy. Byłem... to była...

- Świnka morska - oznajmiła Madame Kika. - Śliczna, nieprawdaż? Faceci to świny, Percy Jacksonie. Kiedyś zamieniałam ich w prawdziwe wieprze, ale byli duzi, śmierdzący i trudni do utrzymania. W sumie niewiele się różnili od tego, czym byli wcześniej. Świnki morskie są znacznie sympatyczniejsze! Ale chodźmy, musisz poznać innych mężczyzn.

- Ułiii! - zaprotestowałem, usiłując ją podrapac, ale Madame Kika ścisnęła mnie tak mocno, że omal nie straciłem przytomności.

- Żadnych takich, malutki - upomniała mnie - bo dam cię na kolacje sowom. Idź do klatki jak grzeczny zwierzaczek. Jutro, jeśli będziesz się dobrze sprawował, zostaniesz wysłany w podróż. Zawsze znajdzie się jakaś klasa szkolna, której przyda się świnka morska.

Moje myśli szalały w równym stopniu jak moje maleńkie serduszko. Musiałem dostać się z powrotem do swoich ubrań, które leżały w bezwładnej stercie na podłódze. Jeśliby mi się to udało, mógłbym dobyć Orkana z kieszeni i... I co? Nie byłbym w stanie odetkać długopi-su. A nawet gdybym dał radę, to nie uniósłbym miecza.

Wyrywałem się bezradnie, kiedy Madame Kika niosła mnie do klatki ze świnkami morskimi i otworzyła druciane drzwi klatki.

- Oto moje najbardziej nieznośne egzemplarze, Percy Jacksonie - ostrzegła. - Nigdy nie będą potulnymi zwierzatkami klasowymi, ale mogą cię nauczyć trochę manier. Większość z nich siedzi w tej klatce od trzystu lat. Jeśli nie chcesz zostać z nimi na wieki, radziłabym...

- Madame! - rozległo się w oddali wołanie Annabeth.

Madame Kika zaklęła po starogrecku. Wrzuciła mnie do klatki i zatrzasnęła drzwiczki. Pisałem i chwyciłem pazurkami za druty, ale to na nic się nie zdało. Patrzyłem, jak pospiesznie upycha moje ubrania pod krosna-mi, ponieważ właśnie w tej chwili do sali weszła Annabeth.

Rozejrzała się po pokoju.

- Gdzie jest Percy? - zapytała, marszcząc brwi.

Popiskiwałem wściekle, ale ona najwyraźniej mnie nie słyszała.

Madame Kika się uśmiechnęła.

- Na jednym z naszych zabiegów, kochana. Bez obaw.

Wyglądasz wspaniale. Jak ci się podobała przechadzka?

Oczy Annabeth rozbłysły.

- Pani biblioteka jest niesamowita!

- Owszem - przytaknęła Madame Kika. - Wszelka wiedza z ostatnich trzech tysięcy lat. Wszystko, co miałabyś ochotę przeczytać,

wszystko, czym chciałabyś być, moja droga.

- Architektura?

- E tam! - prychnęła Madame Kika. - Ty, moja mała, masz zadatki na czarodziejkę. Zupełnie jak ja.

Annabeth cofnęła się o krok.

- Na czarodziejkę?

- Tak, moja duszko - Madame ujęła ją za rękę. Na jej dłoni pojawił się płomyk i zaczął tańczyć po opuszkach jej palców. - Jestem córką Hekate, bogini magii.

Rozpo-znaję córki Ateny, kiedy spotykam je na swojej drodze. Nie różnimy się aż tak bardzo od siebie, ty i ja.

Obie podziwiamy wielkość. Żadna z nas nie lubi pozostawać w cieniu mężczyzn.

- Nie... nie rozumiem.

Znów zacząłem piszczeć jak szalony, usiłując przyciągnąć uwagę Annabeth, ale ona albo mnie nie słyszała, albo puszczała ten hałas mimo uszu.

Tymczasem z domków wychodziły inne świnki morskie, żeby sobie mnie obejrzeć. Nigdy nie sądziłem, że świnka morska może wyglądać wrednie, ale te właśnie tak wyglądały. Było ich z pół tuzina, wszystkie miały brudne futro, krzywe zęby i czerwone paciorkowate oczy. Były pokryte trocinami i cuchnęły tak, jakby rzeczywiście przebywały od trzystu lat w niesprzątanej klatce.

- Zostań ze mną - mówiła kobieta do Annabeth. -

Zgłębiaj razem ze mną wiedzę. Możesz dołączyć do moich ludzi, zostać czarodziejką, nauczyć się, jak nagi-nac wolę innych do swojej. Możesz stać się nieśmiertel-na!

- Ale...

- Jesteś niezwykle bystra, kochana - kontynuowała Madame Kika. - Za mądra na to, żeby pozostawać na tym głupim obozie dla herosów. Ile

jesteś w stanie wyliczyć wielkich bohaterów?

- Eee...No, Atlanta, Amelia Earhart...

- Ba! Mężczyźni przejmują całą chwałę. - Madame zacisnęła dłoń w pięść, gasząc magiczny płomień. -

Magia jest dla kobiet jedyną drogą do uzyskania mocy.

Medea, Kalipso, oto potężne kobiety! No i oczywiście ja.

Największa z nich wszystkich.

- Pani... Madame Kika... Kirke!

- Oczywiście, moja droga.

Annabeth cofnęła się, a Kirke wybuchnęła śmiechem.

- Nie musisz się niczego obawiać. Nie zrobię ci krzywdy.

- Co pani zrobiła z Percym?

- Pomogłam mu jedynie zrealizować się w jego prawdziwym kształcie.

Annabeth rozejrzała się po pokoju. W końcu dostrzegła klatkę i moje rozpaczliwe drapanie w kraty, a także pozostałe świnki morskie zbierające się wokół

mnie. Wybałuszyła oczy.

- Zapomnij o tym - powiedziała Kirke. - Przyłącz się do mnie i naucz magii.

- Ale...

- Twój przyjaciel będzie miał dobrą opiekę. Zostanie odwieziony do wspaniałego nowego domu na stałym lądzie. Przedszkolaki będą się nim zachwycać. A ty tymczasem staniesz się mądra i potężna. Będiesz miała wszystko o czym kiedykolwiek marzyłaś.

Annabeth wciąż się we mnie wpatrywała, ale na jej twarzy malowało się rozmarzenie. Wyglądała tak samo jak ja, kiedy Kirke zaczarowała mnie i namówiła do napicia koktajlu świnkomorskiego. Piszczalem i drapałem, usiłując ją ostrzec, i wybiec z tego transu, ale

byłem całkowicie bezradny.

- Niech o tym pomyślę - mruknęła Annabeth. - Proszę o... chwilę samotności. Chciałabym się pożegnać.

- Ależ oczywiście, kochana - zagruchała Madame Kika

- Tylko chwilę. Och... a co do całkowitej prywatności... -

Machnęła ręką i w oknach pojawiły się żelazne kraty.

Kirke wyszła z pokoju, a ja usłyszałem ryglujące się za nią wszystkie zamki.

Rozmarzenie znikło z twarzy Annabeth.

Podbiegła do mojej klatki.

- Okej, którą z nich jesteś?

Pisałem... podobnie jak wszystkie pozostałe świnki: Annabeth zrobiła zrozpaczoną minę. Omiotła znów pokój spojrzeniem i dostrzegła kawałek moich džinsów wystający pod krosnem.

Tak!

Podbiegła tam i przeszukała kieszenie.

Zamiast jednak przynieść mi Orkana, wyjęła buteleczkę multiwitamin Hermesa i zaczęła walczyć z zakrętką.

Miałem ochotę krzyknąć do niej, że nie czas na zabawy z suplementami diety! Musi dobyć miecza!

Annabeth włożyła do ust cytrynową ciągutkę w chwili, gdy drzwi otwały się z hukiem i pojawiła się w nich z powrotem Kirke, w otoczeniu dwóch asystentek w biznesowych kostiumach.

- Och - westchnęła czarodziejka. - Jakże szybko mija chwila. Jaką dasz mi odpowiedź, kochana?

- Taką - odpowiedziała Annabeth, dobywając swój spiżowy sztylet. Kirke cofnęła się, ale jej zdumienie szybko minęło.

- Doprawdy, dziewczynko! - parsknęła pogardliwie - z nożem do

mojej magii? Czy to rozsądne?

Rzuciła spojrzenie asystentkom, które uśmiechnęły się w odpowiedzi. Uniosły ręce, jakby przygotowując się do rzucenia zaklęcia.

Uciekaj! - miałem ochotę krzyknąć do Annabeth, ale byłem w stanie wydawać jedynie gryzone piski.

Pozo-stałe świnki morskie zapiszczały z przerażenia i rozbiegły się po klatce. Ja również poczułem potrzebę panicznej ucieczki i poszukiwania kryjówki, ale musiałem coś wymyślić! Nie wytrzymałbym utraty Annabeth, w dodatku zaraz po tym, jak straciłem Tysona.

- Jakaż to kompleksowa odnowa nada się dla naszej Annabeth? - zamyśliła się Kirke. - Coś małego i charakterystycznego: Wiem... zmija!

Spomiędzy jej palców wystrzelił niebieski ogień i owinał węzowymi splotami Annabeth.

Przyglądałem się temu z przerażeniem, ale nic się nie wydarzyło. Annabeth nadal była sobą, tyle że znacznie bardziej rozgniewaną. Skoczyła do przodu i przytknęła ostrze noża do szyi Kirke.

- A może tak przemieniałabyś mnie w panterę? Taką, która właśnie rzuciła się na ciebie z pazurami?

- Jak?! - jęknęła z rozpaczą Kirke.

Annabeth uniosła do góry moją buteleczkę witamin, machając nią czarodziejce przed oczami.

Kirke zawyla, dając wyraz frustracji.

- Przeklęty Hermes i jego farmaceutyki! To tylko nowinkarskie suplementy! Działają tylko przez chwilę!

- Zamień Percy'ego z powrotem w człowieka, bo inaczej... - powiedziała Annabeth.

- Nie mogę!

- A więc sama się o to prosisz.

Asystentki Kirke podeszły do przodu, ale ich pani je powstrzymała.

- Cofnąć się! Ona jest odporna na magię, dopóki ta przeklęta

witamina nie przestanie działać.

Annabeth pociągnęła Kirke ku klatce ze świnkami morskimi, straciła daszek i wrzuciła do środka resztę witamin.

- Nie! - krzyknęła Kirke.

Rzuciłem się po pastylki jako pierwszy ale pozostałe świnki wybiegły z domków, zaciekawione tym, nowym pokarmem.

Po pierwszym kęsie poczułem wzbierający we mnie ogień. Wgryzałem się w witaminę, aż przestała wyda-wać się tak olbrzymia, a klatka zrobiła się mniejsza, po czym nagle bum! - eksplodowała.

Siedziałem na podłó-dze, znów w ludzkiej postaci - i jakimś cudem w swoich ciuchach, bogom niech będą dzięki - obok sześciu innych facetów. Całkiem zdezorientowani wytrzępywali trociny z włosów i mrugali oczami.

- Nie! - wrzasnęła Kirke. - Nic nie rozumiesz! To są ci najgorsi!

Jeden z mężczyzn się podniósł. Był to wielki facet z długą potarganą czarną jak smoła brodą i zębami w tym samym kolorze. Miał na sobie niedopasowane ubrania ze skóry i wełny, wysokie do kolan buty i miękki filcowy kapelusz. Pozostali mężczyźni byli ubrani mniej wymy-ślnie: w bryczesy i poplamione białe koszule.

Wszyscy mieli bose stopy.

- Arrrr! - zaryczał olbrzym. - Co ta wiedźma ze mną zrobiła?

- Nie! - jęknęła Kirke.

Annabeth zatkało.

- Poznaję cię! Jesteś Edward Teach, syn Aresa?

- Jako żywo, panienko - warknął potężny mężczyzna. -

Ale większość ludzi zwie mnie Czarnobrodym! A to czarodziejka, która nas uwięziła, chłopcy. Przebic ją żelazem, a potem znajdziecie mi wielki kocioł z selerem.

Arrrr!

Kirke krzyczała. Razem ze swoimi asystentkami uciekła z sali.

Annabeth schowała swój sztylet i rzuciła mi wściekle spojrzenie.

- Dzięki... - głos mi się urwał. - Naprawdę przepraszam...

Zanim zdążyłem wymyślić, jak przeprosić ją za to, że byłem takim kretynem, chwyciła mnie w ramiona, po czym równie szybko odskoczyła.

- Tak się cieszę, że nie jesteś świnką morską.

- Ja też. - Miałem nadzieję, że moja twarz nie jest aż tak czerwona jak mi się wydawało.

Annabeth wyplątała złote nitki z włosów.

- Chodź Glonomóżdżku - powiedziała. - Musimy się stąd wydostać, dopóki Kirke jest zajęta.

Zbiegliśmy po tarasach w dół wzgórza, mijając krzyczące pracownice centrum i piratów łupiących kurort. Ludzie Czarnobrodego łamali pochodnie przygotowane na wieczorną fiestę, wrzucali ziołowe specyfiki do basenów i przewracali stojące przed sauną ławy pełne ręczników.

Nie czułem się całkiem w porządku z powodu wypu-szczenia na wolność tych dzikich piratów, ale z drugiej strony doszedłem do wniosku, że zasłużyli na jakąś inną rozrywkę niż kółko do biegania, po tym jak spędzili w klatce trzy stulecia.

- Który statek? - spytała Annabeth, kiedy dobiegliśmy do przystani.

Rozejrzałem się wokół z rozpaczą. Nie bardzo mogli-śmy zabrac naszą szalupę. Musieliśmy się wydostać z wyspy jak najszybciej, ale co innego moglibyśmy wyko-rzystać? Łódź podwodną? Myśliwiec?

Nie umiałem pilotować żadnego z tych pojazdów. I nagle zobaczyłem.

- Ten.

Annabeth zamrugała oczami.

- Ale...

- Mogę sprawić, że popłynie.

- Jak?

Nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Po prostu skądś wiedziałem, że stary żaglowiec jest dla mnie najlepszy.

Chwyciłem Annabeth za rękę i pociągnąłem ją w kierunku trójmasztowca. Na dziobie widniał

wymalowany napis, który odcyfrowałem znacznie później:
ZEMSTA KRÓLOWEJ ANNY.

- Arrrr! - rozległ się gdzieś za nami ryk Czarno-brodego. - Rabusie na pokładzie mojego okrętu!

Brac ich, chłopcy!

- Nie zdążymy! - krzyknęła Annabeth, kiedy wspinaliśmy się na pokład.

Rozejrzałem się po całkowicie bezładnej plątanie lin i żagli. Okręt był w doskonałym stanie jak na coś co ma trzysta lat, ale przygotowanie go do wypłynięcia w morze i tak zajęłoby pięćdziesięcioosobowej załodze kilka godzin. Widziałem piratów gnających po schodach, wymachujących pochodniami i łodygami selera.

Zamknąłem oczy i skupiłem uwagę na falach obijających się o kadłub, na prądach oceanicznych i wiatrach wokół mnie. Nagle w moim umyśle pojawiło się właści-we słowo.

- Bezanmaszt! - ryknąłem.

Annabeth popatrzyła na mnie, jakbym zwariował, ale chwilę później w powietrzu rozległ się szelest napinających się lin, łopot rozwijającego się płótna i trzeszczenie drewnianych krawków.

Annabeth uchyliła się, kiedy nad jej głową przeleciał sztag by owinąć się wokół bukszprytu.

- Percy, jak...

Nie znałem odpowiedzi, ale czułem, że statek odpowia-da na moje

polecenia, jakby stanowił część mojego ciała. Rozkazałem żaglom się podnieść, tak łatwo jakbym wy-ciągał ramię. Poleciałem sterowi się obrócić.

"Zemsta Królowej Anny" wyskoczyła z doku, a kiedy piraci dobiegli na nabrzeże, my byliśmy już na pełnym morzu. Konkretnie: wpływalismy właśnie na Morze Potworów.

R O Z D Z I A Ł XIII

ANNABETH USIŁUJE DOPIYNAĆ DO DOMU

Wreszcie znalazłem coś, w czym jestem dobry.

"Zemsta Królowej Anny" odpowiadała na wszystkie moje polecenia. Wiedziałem, za które liny należy pocią-gnać, które żagle podnieść, w którą stronę sterować. Przecinalismy fale z prędkością, jak szacowałem jakichś dziesięciu węzłów. Rozumiałem nawet, jak bardzo jest to szybko. Jak na żaglowiec -

piekielnie szybko.

Czułem się doskonale - z wiatrem smagającym mnie po twarzy, falami załamującymi się na dziobie statku.

Niemniej teraz, kiedy uciekaliśmy przed niebezpieczeństwem, potrafiłem myśleć jedynie o tym, jak bardzo brakuje mi Tysona, i jak bardzo martwię się o Grovera.

Nie mogłem pogodzić się z tym, jak dramatycznie zawałem na Wyspie Kirke. Gdyby nie Annabeth, wciąż byłbym gryzoniem kryjącym

się w domku z gromadką milusich, puchatych piratów. Myślałem o tym, co powie-działa Kirke: Widzisz, Percy? Uwolniłeś swoje praw-dziwe ja!

Nadal czułem się odmieniony. Nie tylko dlatego, że nagle zacząłem odczuwać potrzebę pożywiania się sałatą. Byłem nerwowo, jakby instynkt małego strachli-wego zwierzątka stał się częścią mnie. A może on zawsze tam był. To właśnie naprawdę mnie niepokoiło.

Żeglowaliśmy przez całą noc.

Annabeth starała się pomagać mi w trzymaniu wachty, ale żeglarstwo nie było jej mocną stroną. Po godzinach kołysania jej twarz nabrała koloru awokado więc zeszła pod pokład, żeby odpocząć w hamaku.

Wpatrywałem się w horyzont. Niejeden raz widziałem potwory. Raz w świetle księżyca nad powierzchnię morza wystrzelił słup wody wysokości wieżowca. W pewnej chwili fale przeciął rząd zielonych kolców - jakiś długi na dobre trzydzieści metrów gad. Nie chciałem wiedzieć więcej.

Raz widziałem - Nereidy - połyskujące kobiece duchy morza. Usiłowałem do nich pomachać, że znikły w głębi-nie, pozostawiając mnie w niepewności co do tego, czy w ogóle mnie zauważyły.

Jakiś czas po północy Annabeth wyszła na pokład.

Właśnie mijaliśmy wyspę z dymiącym wulkanem. Morze bulgotało i dymiło wokół jej brzegów.

- Jedna z kuźni Hefajstosa - oznajmiła Annabeth. - To tu wytwarza swoje metalowe monstra.

- Takie jak spizowe byki?

Przytaknęła.

- Omiń ją. Jak największym łukiem.

Nie trzeba było mi dwa razy powtarzać. Opłynęliśmy z dala wyspę, która w końcu stała się plamką czerwonej mgły za nami.

Spojrzałem na Annabeth.

- Ten powód dla którego tak bardzo nienawidzisz cyklopów... To, dlaczego naprawdę zginęła Thalia... Co się wtedy stało?

W ciemności nie byłem w stanie dostrzec jej twarzy.

- Chyba należy ci się odpowiedź - powiedziała w końcu. - Tej nocy, kiedy Grover odprowadzał nas do obozu, kilka razy pomylił drogę i skręcił w złym kierunku. Pamiętasz, że kiedyś ci o tym opowiadał?

Przytaknąłem.

- Cóż, najgorsza z tych pomyłek zaprowadziła nas do kryjówki cyklopa na Brooklynie.

- To na Brooklynie żyją cyklopi? - spytałem.

- Zdziwiłbyś się ilu, ale nie o to chodzi. Ten cyklop nas oszukał. Udało mu się rozdzielić naszą grupkę w labiryncie korytarzy w starym domu we Flatbush. A poza tym potrafił naśladować głosy, Percy. Tak samo jak Tyson na "Księżniczce Andromedzie". Wywabił nas po kolei. Thalia myślała, że biegnie na pomoc Luke'owi.

Luke

myślał, że słyszy moje wołanie. A ja... byłem sama w ciemnościach. Miałam wtedy siedem lat. Nie umiałam nawet trafić do wyjścia.

Odgarnęła włosy z twarzy.

- Pamiętam jak znalazłam główne pomieszczenie.

Cała podłoga była zasłana kośćmi. I byli tam, Thalia, Luke i Grover, związani i zakneblowani, zwisający pod sufitem jak szynki do wędzenia. Cyklop właśnie rozpalał

ogień na samym środku podłogi. Wyciągnęłam sztylet, ale on mnie usłyszał. Odwrócił się z uśmiechem. Zaczął

mówić, skądś znał głos mojego ojca. Podejrzewam, że po prostu wyczytał go z mojego umysłu. Powiedział: "Hej, Annabeth, nie martw

się. Kocham cię. Możesz zostac tu ze mną. Możesz zostac na zawsze".

Wzdrygnąłem się. Sposób. w jaki to opowiadała - nawet teraz, po sześciu latach - przerażał mnie bardziej niż wszystkie horrory, jakie kiedykolwiek widziałem.

- I co zrobiłaś?

- Zraniłam go w stopę.

Gapilem się na nią z szeroko otwartymi oczami.

- Żartujesz. Miałaś siedem lat i zraniłaś dorosłego cyklopa w stopę?

- Normalnie on by mnie zabił. Ale zaskoczyłam go.

Zyskałam dość czasu, żeby podbiec do Thalii i przeciąć sznur na jej rękach. Potem ona przejęła dowodzenie.

- Pewnie, ale wiesz... i tak byłaś bardzo dzielna, Annabeth.

Pokręciła głową.

- Ledwie udało się nam ujść z życiem. Mnie się to wciąż śni, Percy. To, jak ten cyklop gadał do mnie głosem taty. To przez niego tak długo wędrowaliśmy do obozu.

Wszystkie potwory, które były na naszym tropie, miały czas, żeby nas dogonic. Dlatego właśnie Thalia zginęła.

Gdyby nie ten cyklop, ona by nadal żyła.

Siedzieliśmy na pokładzie, obserwując gwiazdozbiór Herkulesa wędrujący po nocnym niebie.

- Idź na dół - powiedziała w końcu Annabeth. -

Musisz odpocząć.

Przytaknąłem. Powieki mi ciążyły. Ale kiedy zsze-dłem pod pokład i ułożyłem się na hamaku, długo nie mogłem zasnąć. Myślałem o opowieści Annabeth.

Zasta-nawiałem się, czy gdybym był na jej miejscu, starczyłoby mi odwagi, żeby podjąć się tej misji: zeglowac prosto do siedziby innego cyklopa?

Tym razem nie śnił mi się Grover.

Zamiast tego znalazłem się znów w kajucie kapitańs-kiej Luke'a na pokładzie "Księżniczki Andromedy". Firanki były rozsunięte. Na zewnątrz panowała noc. W powietrzu krążyły cienie. Wokół siebie słyszałem szepty - duchy umarłych.

Strzeż się - szepały. - Pułapki. Oszustwa.

Złoty sarkofag Kronosa rozłacał słabą poświatę, będąc jedynym źródłem światła w pomieszczeniu.

Zimny śmiech zaskoczył mnie. Zdawał się pochodzić z otchłani, o wiele poniżej statku. - Brak ci odwagi, młodzieńcze. Nie zdołasz mnie powstrzymać.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Otworzyć sarkofag.

Odetkałem Orkana. Duchy zawirowały wokół mnie niczym tornado. Strzeż się!

Serce waliło mi jak młotem. Nie potrafiłem zmusić stóp do zrobienia kroku, ale musiałem powstrzymać Kronosa. Musiałem zniszczyć to, co znajdowało się w tej trumnie.

W tej samej chwili, usłyszałem obok siebie dziewczęcy głos.

- I co Glonomóżdżku?

Rozejrzałem się, spodziewałem się zobaczyć koło siebie Annabeth, ale to nie była ona. Stojąca obok mnie dziewczyna miała na sobie punkowe ciuchy i srebrne łańcuchy na nadgarstkach. A także postawione czarne włosy, ciemne kreski wokół stalowoniebieskich oczu i nieco piegowaty nos. Wyglądała znajomo, choć nie wiedziałem dlaczego.

- No i co? - zapytała. - Powstrzymamy go czy nie?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Nie byłem w stanie się ruszyć.

Dziewczyna przewróciła oczami

- Super. Zostaw to mnie i Egidzie

Dotknęła nadgarstka i srebrne łańcuchy zaczęły przekształcać - zrobiły się płaskie i rozpoztały ogromną tarczę. Była wykonana ze srebra i spizu, a na jej środku widniała potworna głowa Meduzy.

Wyglądała jak śmiertelna maska, jakby prawdziwa głowa gorgony została wgnieciona w meta! Nie wiedziałem, czy to prawdziwa Meduza ani czy ta tarcza może naprawdę zamienić mnie w kamień, ale na wszelki wypadek odwróciłem wzrok.

Sama bliskość tego trofeum napawała mnie lękiem.

Miałem wrażenie, że w prawdziwej walce posiadacz takiej tarczy byłby niemal niepokonany. Każdy nieprzy-jaciel przy zdrowych zmysłach odwróciłby się i uciekł.

Dziewczyna uniosła miecz i podeszła do sarkofagu.

Cienie umarłych rozstały się przed nią, pierzchając przed straszliwą aurą rozataczaną przez jej tarczę.

- Nie! - usiłowałem ją ostrzec.

Ale ona nie słuchała. Podeszła prosto do sarkofagu i odsunęła złote wieko.

Przez chwilę stała tam, wpatrując się w to, co znajdowało się w środku.

Sarkofag zaczął lśnić mocniejszym światłem.

- Nie! - głos dziewczyny drżał. - To niemożliwe.

Gdzieś w najgłębszej otchłani oceanu Kronos śmiał się tak głośno, że cały statek zadygotał.

- Nie! - dziewczyna krzyknęła, kiedy sarkofag pochłoniął ją w wybuchu złotego światła.

- Aaa! - Usiadłem wyprostowany na moim hamaku.

Annabeth potrząsała mną.

- Miałeś koszmar, Percy. Musisz się obudzić.

- Co... co się dzieje? - przetarłem oczy. - Co jest nie tak?

- Ład. - odpowiedziała ponuro. - Zbliżamy się do Wyspy Syren.

Wyspa przed nami była ledwie widoczna - niewielki czarny punkcik we mgle.

- Musisz coś dla mnie zrobić - oznajmiła Annabeth. -

Syreny... za chwilę znajdziemy się w zasięgu ich śpiewu.

Przypomniały mi się opowieści o syrenach. Śpiewają tak słodko, że ich głosy oczarowują żeglarzy i wabia ich na pewną śmierć.

- Nie ma problemu - zapewniłem ją. - Możemy po prostu zatkać uszy. Pod pokładem jest wielki zapas wosku pszczelego.

- Ale ja chcę je usłyszeć.

Zamrugalem ze zdumieniem.

- Dlaczego?

- Podobno syreny potrafią wyśpiewać prawdę o tym, o czym naprawdę marzysz. Opowiadają ci o tobie samym takie rzeczy, o które byś się nie podejrzewał. Właśnie to tak oczarowuje. Jeśli przeżyjesz... stajesz się mądrzejszy. Chcę je usłyszeć. Ile razy w życiu mogę mieć taką szansę?

Gdyby to powiedział ktokolwiek inny, uznałbym, że bredzi. Ale Annabeth taka, jaka jest... no cóż, skoro jest w stanie przebijac się przez książki o greckiej literaturze i kocha historyczne filmy dokumentalne na Discovery, to pewnie i syreny jej się spodobały.

Opowiadała mi, o co chodzi. Z niechęcią zgodziłem się jej pomóc.

Jak tylko skaliste wybrzeże wyspy pojawiło się w zasięgu wzroku, rozkazałem jednej z lin okręcić Annabeth w talii, przywiązując ją do głównego masztu.

- Nie odwiązuj mnie - powiedziała. - cokolwiek się wydarzy ani też jakkolwiek bym cię błagała. Będę chciała wyskoczyć przez burtę i się

utopic.

- Próbujesz mnie kusic?

- Bardzo śmieszne

Obiecałem, że zadbam o jej bezpieczeństwo.

Następnie oderwałem dwa spore kawałki wosku, uformowałem z nich zatyczki i zatkałem sobie uszy.

Annabeth pokiwała sarkastycznie głową, dając mi do zrozumienia, że teraz wyglądam jak ostatni krzyk mody.

Pokazałem jej język i odwróciłem się do koła sterowego.

Cisza była niesamowita. Nie słyszałem nic poza szumem krwi w głowie. Kiedy zbliżyliśmy się do wyspy, z mgły wynurzyły się poszarpane turnie. Polecilem

"Zemście Królowej Anny" ominąć je. Jeśli podpłynęlibyśmy bliżej, te skały zmieliłyby nasz statek jak maszyn-ka do mięsa.

Zerknąłem za siebie. Na początku Annabeth wyglądała zupełnie zwyczajnie. Następnie na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Wytrzeszczyła oczy.

Zaczęła walczyć z więzami. Zawołała mnie po imieniu

- odczytałem to z ruchu ust. Jej mina mówiła jasno: chcę wysiąść.

To była kwestia życia i śmierci. Miałem zwolnić liny natychmiast.

Wyglądała na tak nieszczęśliwą, że bardzo trudno było nie przeciąć jej więzów.

Zmusiłem się do odwrócenia wzroku. Rozkazałem

"Zemście Królowej Anny" płynąć szybciej.

Wciąż nie bardzo widziałem wyspę - głównie mgłę i skały - ale na powierzchni wody unosiły się kawałki drewna i syntetycznej żywicy, szczątki starych statków, a nawet jakieś kamizelki ratunkowe z samolotów.

Jakim cudem muzyka mogła wykoleić tyle żywotów?

Znaczy się. Jasne, jest jakaś pierwsza czterdziestka piosenek, które mogłyby mnie zmusić do samobójczego skoku w ognistą otchłań, a jednak... O czym takim mogą śpiewać te syreny?

Przez jeden niebezpieczny moment zrozumiałem ciekawość targającą Annabeth. Czułem pokusę, żeby wyjąć z uszu zatyczki, po to żeby posmakować pieśni.

Przez poszycie statku czułem vibracje wywołane przez głosy syren, odczuwałem ich pulsowanie w szumie krwi w moich uszach.

Annabeth rzucała mi błagalne spojrzenia. Po policzkach spływały jej łzy. Szarpała się w więzach, jakby odciągały ją od wszystkiego, na czym jej kiedykolwiek zależało.

Jak możesz być tak okrutny? - zdawała się mówić. -

Miałam cię za przyjaciela.

Wpatrywałem się w zamgloną wyspę. Miałem ochotę odetknąć miecz, ale nie było z czym walczyć. Jak można walczyć z pieśnią?

Starałem się nie patrzeć na Annabeth. Udało mi się przez jakiś pięć minut.

To był wielki błąd.

Kiedy nie mogłem już wytrzymać, zerknąłem znów w jej stronę i zobaczyłem... zwiniętą linę. Pusty maszt.

Spizowy sztylet Annabeth leżał na pokładzie. W jakiś sposób udało jej się tak wykręcić rękę, żeby po niego sięgnąć. Zupełnie zapomniałem o tym, żeby ją rozbroić.

Skoczyłem do burty i zobaczyłem Annabeth płynącą zaciekle kraulem ku wyspie. Fale niosły ją prosto na poszarpane skały.

Zawołałem ją po imieniu, ale jeśli nawet mnie słyszała, to nic to nie dało. Jak w transie płynęła ku zagładzie.

Rzuciłem spojrzenie na koło sterowe.

- Stój! - krzyknąłem.

Następnie wyskoczyłem przez burzę.

Wpadłem do wody, po czy poprosiłem prądy aby opłotły mnie i popchnęły jak odrzutowiec do przodu.

Wypłynąłem na powierzchnię i dostrzegłem Anna-beth, ale w tej samej chwili chwyciła ją fala, ciskając prosto między ostre jak brzytwa skalne zęby.

Nie miałem wyboru: rzuciłem się za nią.

Zanurkowałem pod rozbity kadłub jachtu i przemykałem między unoszącymi się w wodzie metalowymi kula-mi na łańcuchach, które - jak sobie na chwilę uświado-miłem - były minami. Musiałem wysilic całą moją wła-dzę nad wodą, żeby uniknąć rozbicia się o skały albo zaplątania w drut kolczasty tuż pod powierzchnią wody.

Wpadłem między skalne ostrogi i znalazłem się w zatoczce o kształcie półksiężyca. Woda była pełna skał, szczątków statków i pływających min. Plaża była z czarnego wulkanicznego piasku

Rozglądałem się rozpaczliwie w poszukiwaniu Annabeth.

Znalazłem ją.

Na szczęście (lub nie) świetnie pływała. Udało jej się wymanewrować między skałami i minami. Znajdowała się tuż przed czarną plażą.

Wtedy mgła się podniosła i zobaczyłem je. Syreny.

Wyobraźcie sobie stado sępów wielkości człowieka - z brudnymi czarnymi piórami, szarymi szponami i pomar-szczonymi różowymi szyjami. A teraz wyobraźcie sobie ludzkie głowy na końcach tych szyj. Głowy o ciągle zmieniających się twarzach.

Nie słyszałem ich, ale widziałem, że śpiewają. Kiedy ich usta się poruszały, twarze przybierały rysy osób, które znałem: mamy, Posejdona, Grovera, Tysona, Chejrona. Wszystkich tych, których tak bardzo pragną-łem znów zobaczyć. Uśmiechali się zachęcająco, zapra-szając mnie ku sobie. Ale niezależnie od tego, jakie kształty

przybierały twarze syren, ich usta były zatłu-szczone i ubrudzone resztkami dawnych posiłków.

Podobnie jak sępy nie używały do jedzenia rąk, a wyglądało na to, że odżywiały się pączkami.

Annabeth podpłynęła ku nim.

Wiedziałem, że nie moge jej pozwolić wyjść z wody.

Morze było po mojej stronie. Zawsze mogło uchronić mnie w taki czy inny sposób. Przyspieszyłem i chwyciłem ją za kostkę.

W chwili gdy jej dotknąłem, poczułem silny dreszcz przebiegający przez moje ciało i zobaczyłem syreny tak jak musiała je widzieć Annabeth.

Trójka ludzi siedziała na piknikowym kocu w Cenral Parku. Przed nimi wyłorzona była prawdziwa uczta.

Rozpoznałem tatę Annabeth ze zdjęć, które mi pokazy-wała: dobrze zbudowanego, jasnowłosego mężczyznę po czterdziestce. Trzymał za rękę piękną kobietę, która bardzo przypominała Annabeth. Była zwyczajnie ubrana: w niebieskie dżinsy, dżinsową koszulę i wygodne buty, ale emanowała od niej jakaś ukryta moc. Wiedziałem, że patrzę na boginię Atenę. A obok nich siedział młody chłopak... Luke.

Ta sielankowa scena promieniowała ciepłym, przytu-lnym światłem. Cała trójka rozmawiała i śmiała się, a kiedy dostrzegli Annabeth, na ich twarzach pojawił

się absolutny zachwyt. Mama i ojciec dziewczyny wyciągnę-li ku niej na powitanie ręce. Luke uśmiechnął

się i wskazał jej gestem miejsce obok siebie... jakby nigdy jej nie zdradził, jakby wciąż był jej przyjacielem.

Ponad drzewami Central Parku ujrzałem miejski krajobraz. Wstrzymałem oddech, ponieważ był to Manhattan, ale niezupełnie. Został całkowicie przebudo-wany w olśniewająco białym marmurze,

wiekszy i wspanialszy niż kiedykolwiek - z połyskującymi złotymi oknami i ogrodami na dachach. Było to piękniejsze od Nowego Jorku. Piękniejsze od Olimpu.

Domyśliłem się natychmiast, że Annabeth zaprojektowała to wszystko. Była architektem nowego świata. Doprowadziła do tego, że jej rodzice zamieszkali razem. Ocaliła Luke'a. Dokonała wszystkiego, o czym kiedykolwiek marzyła.

Zacisnąłem mocno powieki. Kiedy znów otworzyłem oczy, widziałem już tylko syreny - niechlujne sępiska o ludzkich twarzach, oczekujące kolejnych ofiar na kolację.

Wciągnąłem Annabeth z powrotem między fale. Nie słyszałem jej, ale wiedziałem, że wrzeszczała na mnie.

Walnęła mnie w twarz, ale jej nie puszczałem.

Rozkazałem prądom ponieść nas dalej na wody zatoczki. Annabeth waliła mnie pięściami i kopała wściekle, co utrudniało koncentrację. Wyrywała się tak bardzo, że omal nie zderzyliśmy się z pływającą miną.

Nie miałem pojęcia, co robić. Jeśli ona nie przestanie walczyć, to nigdy nie dopłyniemy żywi do statku.

Zanurkowaliśmy i nagle Annabeth przestała się wyrywać. Miała niezwykle zdumiony wyraz twarzy.

Chwilę później wychyliliśmy głowy nad powierzchnię i walka zaczęła się na nowo.

Woda! Dźwięk nie przenosi się dobrze pod wodą. Jeśli udałoby mi się na dostatecznie długo, może zdołałbym przełamać czar muzyki. Oczywiście Annabeth nie będzie w stanie oddychać, ale to w tej chwili uznałem za mało istotny problem.

Zanurzyliśmy się głęboko: trzy metry, sześć metrów.

Wiedziałem, że muszę zachować ostrożność, ponieważ jestem w stanie wytrzymać znacznie większe ciśnienie niż ona. Miotła się i łapała powietrze, aż zostaliśmy otoczeni przez bąbelki.

Bąbelki.

Ogarniała mnie rozpacz. Musiałem utrzymać dziewczynę przy życiu. Przypomniałem sobie bąbelki w morzu: zawsze kipiące, wznoszące się ku górze.

Wyobraziłem sobie, że zbierają się i pływają wokół mnie.

Morze posłuchało. Zakotłowało się bielą, poczułem łaskotanie na całym ciele, a kiedy znów się wszystko rozjaśniło, byliśmy razem z Annabeth otoczeni bąblem powietrza. Tylko nasze nogi tkwiły w wodzie.

Annabeth łapała rozpaczliwie powietrze i kaszłała.

Dygotała na całym ciele, ale kiedy spojrzała na mnie, wiedziałem, że udało mi się złamać czar.

Ryby zbierały się, żeby nam się przyglądać - ławica barakud, kilka ciekawskich marlinów.

Wynocha! - powiedziałem do nich.

Odplynęły ale dałbym głowę, że niechętnie. Mógłbym też przysiąc, że znałem ich intencje. Zamierzały rozpo-wszechnić w morzu plotki o synu Posejdona przyłapanym z jakąś dziewczyną na samym dnie Zatoki Syren.

- Popłyniemy z powrotem na statek - powiedziałem.

-Wszystko będzie w porządku. Trzymaj się.

Annabeth pokiwała głową, żeby dać mi do zrozumienia, że lepiej się czuje, po czym wymamrotała coś, czego nie usłyszałem, ponieważ miałem wciąż wosk w uszach.

Zmusiłem prąd do skierowania naszej dziwacznej małej łodzi podwodnej z powrotem ku "Zemście Królowej Anny", która powolnym, ale stałym kursem oddalała się od wyspy.

Pozostawaliśmy pod wodą, płynąc za statkiem, dopóki nie uznałem, że wydostaliśmy się poza zasięg syreniej pieśni. Dopiero wtedy

wzniosłem się na powierzchnię i nasz bąbel pękł.

Rozkazałem sznurowej drabince opuścić się z boku statku i wspieliśmy się z powrotem na pokład.

Na wszelki wypadek nie wyjmowałem zatyczek z uszu. Płyneliśmy, dopóki nie straciliśmy wyspy całkowicie z oczu. Annabeth siedziała skulona pod kocem na pokładzie dziobowym. W końcu podniosła wzrok, lekko otumaniona i smutna, i pokazała mi, że jesteśmy bezpieczni.

Wyciągnąłem zatyczki. Nie słyszałem żadnego śpiewania. Panowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć plusku fal odbijających się od burt. Mgła rozproszyła się, nad nami było błękitne niebo, jakby Wyspa Syren w ogóle nie istniała.

- Wszystko w porządku? - spytałem. W chwili gdy to powiedziałem, uświadomiłem sobie, jak fatalnie to zabrzmiało. Oczywiście, że Annabeth nie czuła się w porządku.

- Nie zdawałam sobie sprawy.

- Z czego?

Jej oczy miały teraz kolor mgły unoszącej się nad Wyspą Syren.

- Jak potężna może być pokusa.

Nie miałem ochoty się przyznawać, że widziałem, co jej obiecywały syreny. Czułem się jak intruz. Ale uznałem, że nie powinienem tego przed nią ukrywać.

- Widziałem jak przebudowałabyś Manhattan -

powiedziałem. - Widziałem Luke'a i twoich rodziców.

Zarumieniła się.

- Widziałeś to?

- To, co Luke powiedział na pokładzie "Księżniczki Andromedy", to o budowaniu świata na nowo... To przemawia do ciebie, co?

Otuliła się mocniej kocem.

- To dla mnie największa z pokus. To właśnie pokazały mi syreny. Hybris jest dla mnie śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Nic z tego nie zrozumiałem.

- Chodzi ci o tę brązową papkę, którą dają w barach z kebabem?

Przewróciła oczami.

- Nie, Glonomużdżku. Tamto jest humus. Hybris to coś dużo gorszego.

- Co może być gorszego od humusu?

- Hybris to śmiertelna pycha, Percy. Wyobrażenie sobie, że można coś zrobić lepiej niż wszyscy inni... nawet bogowie.

- Ty się tak właśnie czujesz?

Spuściła wzrok.

- Czy ty się nigdy nie czujesz tak, jakby na całym świecie naprawdę panował totalny bałagan? A my moglibyśmy zbudować wszystko całkiem od nowa?

Żadnych bezdomnych. I nigdy więcej zadawania lektur na wakacje.

- Brzmi interesująco.

- Chodzi o to, że Zachód reprezentuje mnóstwo najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek wymyśliła ludzkość - dlatego ogień wciąż płonie. Dlatego Olimp wciąż gdzieś jest. Ale czasami widzi się też te złe strony, prawda? I wtedy zaczyna się myśleć tak samo jak Luke:

"Gdybym była w stanie to wszystko zburzyć, zaprojekto-wałabym to lepiej" Nigdy się tak nie czujesz?

Że ty mógłbyś lepiej urządzić świat?

- Yyy...nie. Świat, który ja bym urządził, musiałby być niezłym koszmarem.

- W takim razie masz szczęście. Hybris nie jest dla ciebie śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- A co jest?

- Nie wiem, Percy, ale każdy coś takiego ma. Jeśli nie dowiesz się, co to jest, i nie nauczysz się z tym walczyć...

No cóż, nie na próżno określa się to jako "śmiertelne" niebezpieczeństwo.

Przemyślałem jej słowa. Nie były bardzo pocieszające.

Zauważyłem też, że Annabeth nie nawiązała do prywatnych spraw, które by naprawiła... jak przyjaźń między jej rodzicami czy ocalenie Luke'a. Rozumiałem ją.

Nie miałem ochoty się przyznawac, jak często marzyłem o tym, żeby moi rodzice się zeszli.

Wyobraziłem sobie moją mamę, samotną w naszym niewielkim mieszkanku na Upper East Side.

Usiłowałem przypomnieć sobie zapach jej niebieskich gofrów w kuchni. Wydawało mi się to takie odległe.

- I co warto było? - spytałem Annabeth. - Czujesz się mądrzejsza? Wpatrywała się w dal.

- Nie jestem pewna. Ale musimy uratować obóz. Jeśli nie powstrzymamy Luke'a...

Nie musiała kończyć. Jeśli sposób myślenia Luke'a był w stanie uwieść nawet Annabeth, to kto wie, ilu innych herosów mogło do niego dołączyć.

Przypomniiał mi się mój sen o dziewczynie i o złotym sarkofagu. Nie byłem pewny, co to miało znaczyć, ale miałem poczucie, że coś mi umyka. Coś okropnego, co zaplanował Kronos. Co takiego zobaczyła ta dziewczyna, kiedy uniosła wieko?

Nagle Annabeth otworzyła szeroko oczy.

- Percy...

Odwróciłem się.

Przed nami widac było kolejną plamę lądu: wyspę ukształtowaną

jak siodło, o wzgórzach porośniętych lasem, białych plażach i zielonych łąkach - zupełnie jak w moich snach.

Moje żeglarskie zmysły potwierdziły: 30 stopni 31 minut szerokości północnej, 75 stopni 12 minut długości zachodniej.

Dopłynęliśmy do siedziby Polifema.

R O Z D Z I A Ł XIV

SPOTKANIE Z OWCAMI ZAGŁADY

Kiedy myśli się "wyspa potwora", człowiek wyobraża sobie poszarpane skały i kości rozsypane na plaży - jak na Wyspie Syren.

Wyspa cyklopa wcale tak nie wyglądała. To znaczy, owszem, był tam most sznurowy przerzucony nad prze-paścią ale to był zły znak. Równie dobrze można by powiesić transparent z napisem: TU MIESZKA POT-WÓR. Gdyby jednak to pominąć, wyspa wyglądała jak z karaibskiej pocztówki. Były tu zielone łąki, tropikalne drzewa owocowe i biały piasek. Kiedy podpływaliśmy do brzegu, Annabeth wciągnęła do płuc świeże powietrze.

- Runo. - powiedziała.

Przytaknąłem. Na razie nie widziałem nie widziałem Złotego Runa, ale odczuwałem jego moc. Byłem w stanie uwierzyć, że może ono wszystko uleczyć, nawet zatrutą sosną Thalii.

- Czy jeśli je zabierzemy, ta wyspa umrze?

Annabeth pokręciła przecząco głową.

- Wyblaknie. Powróci do tego, czym normalnie by była

- cokolwiek to jest.

Poczułem lekkie wyrzuty sumienia na myśl o zniszczeniu tego raj, ale powtarzałem sobie, że nie mamy wyboru. Obóz Herosów ma kłopoty. A Tyson...

Tyson byłby wciąż wśród nas, gdyby nie ta misja.

Na łące u podnóża parowu błakało się kilkadziesiąt owiec. Wydawały się dość pokojowo nastawione, ale były ogromne jak hipopotamy. Zaraz za nimi zaczynała się ścieżka wiodąca na wzgórze. Na jej końcu, nad krawędzią wąwozu, stał potężny dąb, który widziałem we śnie. Między jego konarami coś połyskiwało złotem.

- To wygląda na zbyt proste - powiedziałem. - Tak jakbyśmy mogli po prostu wejść tam na górę i je zabrać.

Annabeth zmróżyła oczy.

- Powinien być tu strażnik. Smok albo...

Wtedy właśnie spomiędzy zarośli wyszedł jelen.

Potrudził na łąkę, zapewne w poszukiwaniu pożywienia, ale owce zabeczały jednym głosem i spłoszyły go. W końcu jelen potknął się i nagle zniknął w morzu wełny i wściekle kopiących kopyt - wszystko to rozegrało się niewiarygodnie szybko.

W powietrzu fruwały kępki trawy i sierści.

Chwilę później owce się rozeszły i powróciły do swoich leniwych przechadzek. Z jelenia została sterta gładko ogryzionych kości.

Wymieniliśmy spojrzenia.

- One są jak piranie - powiedziała Annabeth.

- Piranie porośnięte wełną. Jak my...

- Percy! - Annabeth chwyciła mnie za rękę, wstrzymując oddech. - Spójrz.

Wskazała w kierunku plaży, tuż poniżej owczej łąki, gdzie właśnie

cumowała niewielka łódka... druga szalupa z "CSS Birmingham".

Uznaliśmy, że nie mamy szans przedrzeć się przez stado ludożerczych baranów. Annabeth chciała przemknąć się niewidzialną ścieżką i porwac Runo, ale przekonałem ją w końcu, że to się nie uda. Owce ją wyczują. Pojawi się jakiś strażnik. Albo coś w tym stylu. A gdyby tak się stało ja byłbym za daleko, żeby jej pomóc.

A poza tym podstawowym zadaniem było odnalezienie Grovera i tej osoby, która przybyła tu w szalupie - zakładając że przedostanie się przez barierę, jaką stanowiły owce. Nerwy nie pozwalały mi powiedzieć tego na głos tego, na co po cichu liczyłem... że Tyson mógł przeżyć.

Zakotwiczyliśmy "Zemstę Królowej Anny" z tyłu wyspy, gdzie klify wносиły się na wysokość co najmniej sześćdziesięciu metrów. Uznałem, że tam statek będzie mniej widoczny.

Klify wyglądały na nadające się do wspinaczki - mniej więcej równie trudne jak ścianka z lawą na obozie. I przynajmniej nie było tu owiec. Miałem nadzieję, że Polifem nie hoduje mięsożerczych kozic.

Powiosłaliśmy szalupą ku skrajowi skał i bardzo powoli rozpczęliśmy wpinaczkę. Annabeth poszła przo-dem, ponieważ lepiej się wspina.

Omal nie zginęliśmy jakieś sześć albo siedem razy co i tak

uważałem za niezły wynik. Raz ześlizgnęła mi się dłoń z uchwytu i nagle zwiisałem na jednej ręce na skal-nym występie piętnaście metrów nad przybrzeżny-mi skałami. Znalazłem jednak inny uchwyt i ruszyłem dalej. Minutę później Annabeth nadepnęła na śliski mech i się osunęła. Na szczęście udało jej się w końcu oprzeć stopę o coś mniej zdradliwego. Problem w tym, że

była to moja twarz.

- Przepraszam - mruknęła.

- Spoko - jęknąłem, chociaż wcale nie miałem ochoty wiedzieć, jak smakuje podeszwa jej buta.

W końcu kiedy moje palce były ciężkie niczym z oło-wiu, a mięśnie rąk drżały z wyczerpania, wydostaliśmy się na szczyt klifu i opadliśmy na ziemię.

- Ojej - powiedziałem.

- Auc - jęknęła Annabeth.

- Arrrgh! - ryknął ktoś trzeci.

Gdybym nie był tak zmachany, podskoczyłbym na wysokość kolejnych sześćdziesięciu metrów. Obróciłem się, ale nie zauważyłem, do kogo mógł należec ten głos.

Annabeth położyła mi dłoń na ustach i wskazała przed siebie.

Półka na której siedzieliśmy, była węższa, niż mi się wcześniej wydawało. Zbocze opadało ostro również z drugiej strony i stamtąd właśnie było słychac tego kogoś

- dokładnie spod nas.

- Waleczna jesteś! - grzmiał ktoś basem.

- Przyjmij wyzwanie! - ten głos należał do Clarisse, nie było co do tego żadnych wątpliwości. - Oddawaj mi miecz i walcz!

Potwór ryknął śmiechem.

Razem z Annabeth podpełzliśmy do krawędzi półki.

Znajdowaliśmy się dokładnie nad wejściem do jaskini cyklopa. Poniżej stali Polifem i Grover - nadal w sukni ślubnej. Nad kotłem gotującej się wody wisiała głową w dół związana Clarisse. Miałem nadzieję, że zobaczę tam również Tysona. Nawet gdyby był w niebezpieczeństwie, wiedzielibyśmy, że przeżył. Ale nigdzie nie było po nim śladu.

- Hmmm - zamyślił się Polifem. - Czy lepiej zjeść od razu tę krzykliwą dziewczynę, czy też zachować na ucztę weselną? Co o tym sądzi moja narzeczona?

Odwrócił się do Grovera, który cofnął się i omal nie potknął o ukończony już tren.

- Och, nie jestem teraz głodna, kochanie. Może jednak...

- Powiedziałaś narzeczona? - zapytała głośno Clarisse

- Kto... Grover?

Tuż koło mnie Annabeth zakłęła pod nosem.

- Zamknij się - wymamrotała. - Niech ona się zamknie.

Polifem spojrzał na nią z wściekłością.

- Co to jest "Grover"?

- Satyr! - wrzasnęła Clarisse.

- Och! - zaskowyczał Grover. - Mózg się biedaczce już zagotował od tej pary. Opuść ją na ziemię, kochany!

Polifem zmrużył swoje złowrogie bielowate oko, jakby usiłował przyrzec się dokładniej dziewczynie.

Cyklop wyglądał jeszcze potworniej niż w moich snach. Po części dlatego, że jego zgniły odór był teraz tak blisko i... na żywo. A częściowo dlatego, że miał teraz na sobie ślubny garnitur: prymitywnej kilt i szarfę, pozszywane z niebieskich smokingów, jakby oskórował całe przyjęcie weselne.

- Jaki satyr? - spytał Polifem. - Lubię satyry na przekąskę. Przyniosłaś mi satyrę?

- Nie, ty przerośnięty kretynie! - wrzesnęła Clarisse. -

Ten satyr! Grover! Ten w sukni ślubnej!

Miałem ochotę skrócić jej kark, ale było już za późno.

Mogłem jedynie przyglądać się, jak cyklop się odwraca i zdziera Groverowi welon... odsłaniając jego kędzierzawe włosy, rzadką młodzieńczą bródkę i małe różki.

Politem dyszał ciężko, usiłując hamować gniew.

- Nie widzę zbyt dobrze - burknął. - Od bardzo dawna kiedy pewien heros ugodził mnie w oko. Ale TY - NIE -

JESTEŚ - CYKLOPIĄ!

Chwycił suknię ślubną i ją zdarł. Pod nią ukazał się stary dobry Grover w dżinsach i podkoszulku. Wrzasnął i zrobił unik w chwili, gdy potwór zamachnął się pięścią na jego głowę.

- Przestań! - krzyknął błagalnie satyr. - Nie zjadaj mnie na surowo! Mam... znam dobry przepis!

Sięgnąłem po miecz, ale Annabeth syknęła ostrzegawczo.

- Zaczekaj!

Polifem zawahał się, ważąc w ręce głaz, gotów zmiażdżyć nim swoją byłą narzeczoną.

- Przepis? - zapytał Grovera.

- Och, tak, tak! Wcale nie chcesz zjeść mnie na surowo. Możesz zatruć się salmonellą, jadłem kielbasianym i całą masą innych paskudztw. Znacznie lepiej będę smakował upieczony na wolnym ogniu.

Najlepiej w sosie mango! Możesz od razu nazbierać owoców, są tam w lesie. A ja poczekam tutaj.

Potwór rozważał tę propozycję. Serce odbijało mi się o żebra. Podejrzywałem, że jeśli bym zaatakował, nie miałbym szans na przeżycie. Ale nie mogłem pozwolić, żeby potwór zabił Grovera.

- Pieczony satyr w sosie mango - powtórzył Polifem.

Spojrzał za siebie na Clarisse zwieszającą się wciąż nad kotłem z

woda. - Ty też jesteś satyrem?

- Nie, ty gigantyczna kupo łajna! - wrzasnęła. -
Jestem dziewczyną! Córką Aresa! Natychmiast mnie rozwiąż,
żebym mogła poobcinać ci łapska!

- Poobcinać mi łapska - powtórzył cyklop.

- I wepchnąć ci je do gardła!

- Odważne z ciebie dziewczątko.

- Spuść mnie na ziemię!

Polifem chwycił Grovera, jakby był on zabląkanym szczeniakiem.

- Muszę teraz wyprowadzić owce na pastwisko.

Wesele odłożone do wieczora. Wtedy zjemy satyra na główne
danie!

- Jak to... nadal zamierzasz się żenić? - w głosie Grovera dała się
słyszec uraza. - A kim jest narzeczona?

Polifem rzucił spojrzenie w kierunku kotła.

Clarisse wydała z siebie zduszony jęk.

- O nie. Nie mówisz poważnie. Nie jestem...

Zanim Annabeth albo ja zdaliśmy cokolwiek zrobić, cyklop
zerwał ją ze sznura niczym dojrzałe jabłko i wrzucił wraz z satyrem
głęboko do jaskini.

- Bawcie się dobrze! Wracam o zmroku na wielkie święto!

Następnie zagwizdał i mieszane stado owiec i kóz -

mniejszych od tamtych ludożerców - wypadło z groty i pobiegło ku
swojemu panu. Kiedy zwierzęta kierowały się na pastwiska, Polifem
klepał niektóre z nich po grzbietach i wymieniał ich imiona: Everest,
Tamerlan, Amadeusz itd.

Kiedy ostatnia z owiec przetruchtała obok niego, cyklop przetoczył
zamykający wejście głaz równie łatwo, jak ja zamknąłbym drzwiczki
lodówki, odcinając nas od wrzasków Grovera i Clarisse.

- Mango - pomrukiwał Polifem do samego siebie. - Co to właściwie jest mango?

Pomaszerował w dół zbocza w jasnoniebieskim garniturze ślubnym, pozostawiając nas samych z kotłem gotującej się wody i sześciotonowym głazem.

Usiłowaliśmy sobie z nim poradzić przez kilka godzin, ale nic to nie dało. Głaz ani drgnął. Wrzeszczeliśmy w szczeliny, stukaliśmy w skałę, wyczynialiśmy najróżniejsze rzeczy, żeby jakoś przekazać sygnał Groverowi, ale nie mieliśmy pojęcia, czy nas usłyszał.

Nawet gdyby jakimś cudem udało nam się zabić Polifema, nic by nam to nie pomogło. Grover i Clarisse umarliby w zamkniętej grocie. Tylko cyklop był w stanie odsunąć ten głaz.

Kompletnie sfrustrowany uderzyłem w skałę Orka-nem. Poleciały iskry, ale nic poza tym się nie stało.

Wielki kamień to nie jest odpowiedni przeciwnik dla magicznych mieczy.

Usiedliśmy zrozpaczeni na zboczu, wpatrzeni w majaczący w oddali niebieski kształt cyklopa krążącego między stadami. Mądrze oddzielił swoje zwykłe zwierzę-ta od owiec ludożerców, wypasając grupę po przeciwnej stronie dzielącego wyspę na pół potężnego wąwozu. Przejście między nimi zapeniał jedynie most sznurowy, a deszczułki były zbyt od siebie oddalone jak dla owczych kopyt.

Patrzyliśmy, jak Polifem odwiedza mięsożerne stado po drugiej stronie. Niestety nie został pożarty. Po prawdzie sprawiał wrażenie, jakby w ogóle się nie przejmował. Nakarmił barany kawałkami tajemniczego mięsa dobywanego z wielkiego wiklinowego kosza, co tylko wzmocniło poczucie, które miałem od czasu, kiedy Kirke zamieniła mnie w świnkę morską: że może powinienem zostać wegetarianinem jak Grover.

- Podstęp - oznajmiła Annabeth. - Nie jesteśmy w stanie pokonać go siłą, musimy więc użyć podstępu.

- Dobra - powiedziałem. - Jakiego podstępu?

- Tego jeszcze nie wymyśliłam.

- Super.

- Polifem musi odtoczyć ten głąz, żeby wpuścić do środka owce.

- O zmierzchu - przypomniałem. - Wtedy też poślubi Clarisse i zje Grovera na kolację. Nie jestem pewny, co z tego przeraża mnie bardziej.

- Mogłabym przemknąć się do środka - powiedziała Annabeth - niewidzialna.

- A co ze mną?

- Owce - zamyśliła się Annabeth, rzucając mi jedno z tych swoich przebiegłych spojrzeń, które zawsze napę-
niają mnie niepokojem. Jakie uczucia wzbudzają w tobie owce?

- Tylko mnie nie puść! - powiedziała Annabeth, stojąc niewidzialna gdzieś po mojej prawej.

Łatwo było jej mówić. To nie ona zwisała głową w dół pod brzuchem barana.

Dobra, przyznaję: nie było to aż tak trudno, jak się wydawało. Zdarzało mi się wcześniej wpełzać pod samo-chód mamy, żeby zmienić olej, a to się aż tak nie różniło. Owca nie zwracała na mnie uwagi. Nawet najmniejsze z baranów cyklopa były wystarczająco duże, by mnie

utrzymać, a poza tym miały gęstą wełnę.

Wystarczało zwinąć kłaki w uchwyty dla dłoni, zaprzec się stopami o mocne udźce, i proszę - czułem się jak mały kangurek, jadąc pod brzuchem owcy i starając się trzymać usta i nos jak najdalej od wełny.

Na wypadek, gdyby ktoś chciał wiedzieć, pobrusze owcy nie pachnie pięknie. Wyobraźcie sobie zimowy sweter przeciągnięty przez błoto i zostawiony w koszu na brudy. To daje pewne wyobrażenie.

Słońce zachodziło.

Zdażyłem się właśnie ułożyć, kiedy cyklop ryknął:

- Hej! Kózki! Owieczki!

Stado zaczęło posłusznie wspinać się z powrotem w górę zbocza ku jaskini.

- Zaczynamy! - szepnęła Annabeth. - Będę w pobliżu.

Trzymaj się.

Złożyłem w myślach obietnicę bogom, że jeśli przeżyje-my tę przygodę. powiem Annabeth, że jest genialna. Najgorsze było to, że bogowie zwykle trzymając za słowo.

Moja barania taksówka wspinała się na wzgórze. Po stu metrach ręce i stopy zaczęły mnie boleć od tej jazdy.

Ścisnąłem wełnę nieco mocniej, aż zwierzę parsknęło z niezadowolenia. Mnie też by się nie podobało, gdyby ktoś postanowił zafundować sobie górską przejażdżkę w moich włosach. Ale gdybym się nie trzymał mocno, z pewnością spadłbym dokładnie u stóp potwora.

- Strogonow! - powiedział cyklop, klepiąc po grzbiecie jedną z owiec przede mną. - Einstein! Batman... Ej, co z tobą, Batman!

Polifem poklepał moją owcę, omal nie zrzucając mnie z niej na ziemię.

- Nabieramy baraninki, he?

Aha - pomyślałem. - Koniec ze mną.

Ale Polifem tylko się roześmiał i klepnął owcę po zadzie, poganiając nas.

- Dalej, grubasku. Wkrótce Polifem zje cię na śniadanko!
Z tymi słowami znalazłem się w jaskini.

Widziałem, jak ostatnie owce wchodzą do środka.

Jeśli Annabeth zaraz nie odwróci jego uwagi...

Cyklop zamierzał właśnie przetoczyć z powrotem głaz, kiedy odezwał się głos Annabeth.

- Hejka, brzydalę!

Polifem zamarł.

- Kto to powiedział?

- Nikt! - wrzasnęła Annabeth.

To wywołało dokładnie taką reakcję, jaką sobie zamierzyła. Twarz zapłonęła wściekłością.

- Nikt! - zawył w odpowiedzi Polifem. - Pamiętam cię!

- Jesteś za głupi, żeby pamiętać kogokolwiek! -

zadrwiła z niego Annabeth. - A co dopiero Nikogo.

Wzdychałem do bogów, żeby już się ruszyła, ponieważ cyklop ryknął wściekle, chwycił leżącą najbliżej głaz (którym okazały się jego drzwi wejściowe) i cisnął go w stronę, z której dochodził głos dziewczyny. Usłyszałem trzask rozpadającej się na setki odłamków skały.

Przes straszliwą chwilę panowała cisza. A potem Annabeth znów się odezwała.

- Rzucac kamieniami też się nie nauczyłeś.

Polifem zawył przeraźliwie.

- Zniszczę was! Nikt nie przeżyje!

- Nie zabijesz Nikogo, ty głupi głąbie - zakpiła Annabeth. - Spróbuj mnie złapać!

Potwór pognął w dół wzgórza za jej głosem.

Oczywiście cała ta historia z Nikim brzmi niedorzecznie, ale Annabeth wyjaśniła, że to było imię, którego użył Odyseusz, żeby oszukać Polifema wiele stuleci temu, zanim wybił mu oko wielkim płonącym kijem. Annabeth wymyśliła, że cyklop zapewne wciąż czuje urazę do tego imienia - i miała rację. W swej zaciekłości,

pragnąc odnaleźć dawnego wroga, potwór zapomniał zablokować wejście do jaskini. Najwyraźniej nie zastanowił się nad tym, że jej głos był żeński, podczas gdy pierwszy Nikt był mężczyzną. Ale z drugiej strony on zamierzał się ożenić z Groverem, a zatem chyba nie był

szczególnie bystry w sprawach damsko-męskich.

Miałem tylko nadzieję, że Annabeth zdoła przeżuć i odciągnąć Polifema na wystarczająco długo, żebym zdołał odnaleźć Grovera i Clarisse.

Puściłem Batmana i poklepałem go po łbie przeprasza-jąco. Przeszukałem główną gro-otę, ale nie znalazłem w niej ani śladu Grovera albo Clarisse.

Przepychałem się między stłoczonymi owcami i kozami ku tyłowi groty.

Mimo że widywałem to miejsce we śnie, nie było mi łatwo odnaleźć drogę w tym labiryncie. Biegałem kory-tarzami zasłanymi kośćmi, mijałem pomieszczenia pełne wyprawionych owczych skór, a także kamiennych baranów naturalnej wielkości, w których rozpoznałem dzieła Meduzy. Znalazłem kolekcję wielkich podkoszul-ków z owcami, potężne tuby kremu lanolinowego, bara-nie kozuchy, wełniane skarpety i czapki ozdobione bara-nimi rogami. W końcu odnalazłem gro-otę z krosnami, w której kącie skulił się Grover, usiłując przeciąć więzy Clarisse krawieckimi nożyczkami.

- Nic z tego - powiedziała Clarisse. - Ten sznur jest chyba z żelaza!

- Jeszcze tylko kilka minut!

- Grover - zawołała poirytowana. - Męczysz się z tym od kilku godzin!

W tej samej chwili oboje dostrzegli mnie.

- Percy? - odezwała się dziewczyna. - Ty nie wyleciałeś w powietrze?

- Miło cię znów widzieć, Clarisse. Nie ruszaj się, żebym...

- Peeercy! - zabeczał Grover i chwycił mnie w kozi uścisk. - Usłyszałeś mnie! Przyjechałeś!

- Tak, chłopie - odpowiedziałem. - Oczywiście, że przyjechałem.

- Gdzie jest Annabeth?

- Na zewnątrz - odparłem. - Nie mamy czasu na pogawędki.

Clarisse nie ruszaj się.

Odetkałem Orkana i przeciąłem jej więzy. Wstała sztywno, pocierając nadgarstki. Przez chwilę patrzyła na mnie ze złością, po czym spuściła wzrok na ziemię.

- Dzięki - wymamrotała.

- Nie ma za co - powiedziałem. - Słuchaj, czy na twojej szalupie był ktoś jeszcze?

Clarisse wyglądała na zaskoczoną.

- Nie. Tylko ja. Wszyscy inni z Birmingham... Wiesz, ja nawet nie przypuszczałam, że wam się udało.

Zawiesiłem głowę, usiłując nie dopuścić do siebie myśli, że moja ostatnia nadzieja na to, że zobaczę Tysona żywego, właśnie zgasła.

- Dobra. Chodźmy. Musimy pomóc...

Jaskinią wstrząsnął wybuch, po którym rozległ się wrzask taki, iż pomyślałem, że może już być za późno. To Annabeth krzyczała ze strachu.

R O Z D Z I A Ł XV

NIKT NIE ODCHODZI BEZ RUNA

Nikt mi się już nie wymknie! - przechwalał się Polifem.

Podpełzliśmy do wejścia do groty i zobaczyliśmy cyklopa uśmiechającego się złośliwie, trzymającego w ręku powietrze. Potwór potrząsnął pięścią i na ziemię spadła bejsbolówka. A dłoni potwora wisiała głową w dół

Annabeth.

- Ha! - oznajmił cyklop. - Niegrzeczna niewidzialna dziewczynka! Mam już waleczną pannę za żonę. Ty zatem zostaniesz upieczona w sosie mango!

Annabeth wyrywała się, ale wyglądała na średnio przytomną. Miała na czole paskudną ranę i zamglone oczy.

- Ja się nim zajmę - szepnąłem do Clarisse. - Nasz statek stoi z tyłu wyspy. Ty i Grover...

- Wykluczone - odpowiedzieli jednocześnie.

Clarisse uzbroiła się w ewidentnie pamiątkową włócznię z baranich rogów zabraną z groty cyklopa.

Grover znalazł baranią kość udową, co nie do końca mu się podobało, ale trzymał ją jak maczugę gotowy do ataku.

- Weźmiemy go wspólnymi siłami - burknęła Clarisse.

- Właśnie - odpowiedział Grover, po czym zamrugał ze zdumienia, jakby nie był w stanie uwierzyć, że zgodził się z nią w jakiegokolwiek sprawie.

- Świetnie - powiedziałem. - Plan Macedonia.

Oboje przytaknęli. Wszyscy przeszliśmy takie samo szkolenie w Obozie Herosów, wiedzieli więc, co miałem na myśli. Mieli zakraść się z obu stron i zaatakować cyklopa manewrem oskrzydającym, podczas gdy moim zadaniem było utrzymać jego uwagę od frontu. Być może znaczyło to tyle, że wszyscy umrzemy, zamiast żebym zginął tylko ja, ale i tak byłem wdzięczny za wsparcie.

Uniosłem miecz i zawołałem.

- Hej, brzydalu!

Olbrzym zwrócił się ku mnie.

- Jeszcze jeden? Kim jesteś?

- Zostaw moją przyjaciółkę. To ja cię obraziłem.

- Ty jesteś Nikim?

- Oczywiście, ty cuchnący kubie gnoju! - Nie brzmiało to równie dobrze jak obelgi rzucane przez Annabeth, ale nie byłem w stanie wymyślić nic lepszego. - Jestem Nikim i jestem z tego dumny! A teraz postaw ją na ziemi i chodź tutaj! Mam ochotę znów wybić ci oko.

- Rrraar! - ryknął.

Dobra wiadomość: upuścił Annabeth. Zła wiadomość: upuścił ją głową na skałę, gdzie leżała bez ruchu jak szamciana lalka.

Kolejna zła wiadomość: Polifem gnał w moją stronę.

Pół tony żywej cyklopiej wagi, której miałem się przeciwstawić za pomocą małego miecza.

- Za Pana! - Grover rzucił się z prawej. Cisnął baranią

kością, która odbiła się od czoła potwora, nie czyniąc mu żadnej szkody. Clarisse dobiegła z lewej i postawiła swo-ją włócznię na ziemi w samą porę, żeby cyklop na nią nastąpił. Ryknął z bólu, a Clarisse zrobiła unik, żeby nie zostać rozdeptaną. Ale cyklop po prostu wyciągnął

drzewce niczym wielką drzazgę i sunął nadal w moim kierunku.
Zrobiłem krok do przodu unosząc Orkana.

Potwór wyciągnął ku mnie rękę. Odskokczyłem na bok i ciałem go w udo.

Miałem nadzieję, że rozsypie się w pył, ale to był
zdecydowanie zbyt wielki i zbyt potężny potwór.

- Zajmij się Annabeth! - krzyknąłem do Grovera.

Podbiegł, zabrał jej bejsbolówkę niewidkę i podniósł ją podczas
gdy my z Clarisse usiłowaliśmy odciągnąć od nich uwagę Polifema.

Muszę przyznac, że Clarisse była dzielna. Atakowała cyklopa raz
za razem. On zaś uderzał w ziemię, zamie-rzał się na nią, usiłował ją
chwycić, ale ona była szybsza. A kiedy tylko atakowała, wspomagałem
ją, tnąc potwora w paluch, kostkę albo dłoń.

Nie mogliśmy jednak ciągnąć tego w nieskończoność.

W końcu musieliśmy się zmęczyć albo też potworowi musiało się
poszczęścić. Potrzebował raptem jednego uderzenia, żeby nas zabić.

Kątem oka zobaczyłem Grovera niosącego Annabeth po
sznurowym moście. Pewnie nie wybrałbym tej drogi, zważywszy na
ludożerce owce na jej końcu, ale chwilowo było tam raczej bezpieczniej
niż po tej stronie wąwozu, a na dodatek zaczynał mi świtać w głowie
pewien plan.

- Odwrót! - zawołałem do Clarisse.

Odskokczyła na bok, a pięść zmiażdżyła drzewko oliwne roznące
tuż koło miejsca, w którym przed chwilą się znajdowała.

Pobiegliśmy w stronę mostu z Polifemem depczącym nam po
piętach. Był nieźle pokiereszowany i utykał z powodu sporej liczby ran,
ale udało nam się jedynie spowolnić go nieco i rozwścieczyć.

- Zmienię was w mielonkę! - obiecał. - Nikt mi nie będzie się
stawiał!

- Szybciej! - popędziłem Clarisse.

Pognaliśmy w dół zbocza. Most był naszą jedyną nadzieją. Grover właśnie przedostał się na drugą stronę i kładł Annabeth na ziemi.

Musieliśmy się tam dostać zanim olbrzym nas złapie.

- Grover! - krzyknąłem z całych sił. - Weź sztylet Annabeth!

Wybałuszył oczy na widok goniącego nas cyklopa, ale skinął głową na znak, że zrozumiał. Kiedy Clarisse i ja przebiegaliśmy przez most zaczął przecinać sznury.

Pierwszy pękł z głośnym trzask!

Polifem kuśtykał za nami, kołysząc wściekle mostem.

Sznury były już do połowy przecięte. Clarisse i ja skoczyliśmy na stały grunt, lądując koło Grovera.

Zamachnąłem się mocno mieczem, przecinając pozostałe wiązania.

Most spadł w otchłań, a cyklop zawył... ze szczęścia, ponieważ stanął tuż koło nas.

- Nie udało się! - wrzasnął radośnie. - Nikomu nic się nie stało!

Clarisse i Grover usiłowali się na niego rzucić, ale potwór tylko odgonił ich jak muchy.

Poczułem wzrastający gniew. Nie wierzyłem, że zdołałem dotrzeć tak daleko, że straciłem Tysona, że tyle wycierpiałem - wszystko po to, żeby ponieść porażkę, zostać powstrzymanym przez wielkiego, głupiego potwora w kilcie z jasnoniebieskich smokingów. Nikt nie ma prawa traktować moich przyjaciół pacnięciem!

Znaczy się nikt, nie Nikt. Wiecie, o co mi chodzi.

Czułem wzbierającą we mnie moc. Uniosłem miecz i zaatakowałem, zapominając, że nie mam żadnych szans.

Dźgnąłem cyklopa w brzuch. Kiedy zgiął się w pół, trzasnąłem go w nos głowicą miecza. Ciąłem, kopałem i waliłem pięściami jak oszalały - kiedy nieco oprzytomniałem, Polifem leżał rozciągnięty na plecach,

oszoło-miony i jęczący, ja zaś stałem nad nim z mieczem zawieszonym tuż nad jego okiem.

- Aaaaaaaa - stęknął Polifem.

- Percy! - krzyknął Grover ze zdumieniem. - Jak ty...

- Nieee, proszę! - jęknął cyklop, wpatrując się we mnie żałośnie. Z nosa leciała mu krew. W kąciu jego prawie ślepego oka zebrała się łza.

- M-m-moje owieczki mnie potrzebują. Ja tylko staram się chronić moje owce!

Zaczął chlipać.

Wygrałem walkę. Wystarczyło tylko uderzyć - to była kwestia jednego szybkiego pchnięcia.

- Zabij go! - krzyknęła Clarisse. - Na co czekasz?

Cyklop sprawiał wrażenie całkowicie bezbronnego, zupełnie jak... jak Tyson.

- To cyklop! - ostrzegł mnie Grover. - Nie ufaj mu!

Wiedziałem, że ma rację. Wiedziałem, że Annaebeth powiedziała by to samo.

Ale Polifem szlochał, a do mnie pierwszy raz dotarło, że on też był synem Posejdona. Jak Tyson. I jak ja. Nie mogłem po prostu zabić go z zimną krwią.

- Chcemy tylko Runo - zwróciłem się do potwora. -

Pozwolisz nam je zabrać?

- Nie! - wrzeszczała Clarisse. - Zabij go!

Potwór pociągnął nosem.

- Moje śliczne Runo. Ukoronowanie kolekcji. Weź je, okrutna ludzka istota. Zabierz je i odejdź w pokoju.

- Wycofam się bardzo powoli - powiedziałem potworowi. - Jeden fałszywy ruch...

Polifem skinął głową na znak, że rozumie.

Zrobiłem krok do tyłu... a Polifem szybko jak kobra przygwoździł mnie do krawędzi klifu.

- Głupi śmiertelnik! - ryknął, podnosząc się na nogi.

-Zabrać moje Runo? Ha! Najpierw was zjem!

Otworzył potworną paszczę i zrozumiałem, że popsute trzonowce będą ostatnim widokiem w moim życiu.

W tej samej chwili coś przeleciało ze świiistem nad moją głową i bum!

Do gardła Polifema wpadł kamień wielkości piłki do koszykówki... był to piękny rzut za trzy punkty, piłka prosto do kosza. Cyklop zakrztusił się usiłując połknąć niespodziewaną pigułkę. Zatoczył się do tyłu, ale nie było tam miejsca na zataczanie się. Stopa mu się poślizgnęła, krawędź skały ukruszyła się i ogromny Polifem zaczął machać rękami jak kurczak skrzydełka-mi, ale nijak mu to nie pomogło w locie, kiedy stoczył się w przepaść.

Odwróciłem się.

W połowie drogi na brzeg, cały i zdrow, w samym środku stada morderczych owiec, stał mój stary przyjaciel.

- Niedobry Polifem - oznajmił Tyson. - Nie wszyscy cyklopi są tacy mili, na jakich wyglądają.

Tyson w skrócie opowiedział nam swoją historię: hipokamp Tęczuś, który najwyraźniej towarzyszył nam przez całą drogę od zatoki Long Island, odnalazł go tonącego pod wrakiem "CSS Birmingham" i wyciągnął

na powierzchnię. Od tego czasu razem przeszukiwali Morze Potworów, usiłując nas odnaleźć, aż wreszcie Tyson poczuł zapach owiec i znalazł tę wyspę.

- Tyson, bogom niech będą dzięki! Annabeth jest ranna!

- Dziękujesz bogom za to, że jest ranna? - zapytał ze zdumieniem.

- Nie! - Ukląknę koło niej i przestraszyłem się tym, co zobaczyłem. Rana na jej czole była gorsza niż przypuszczałem. Całe włosy miała umazane krwią. Jej skóra była blada i zimna.

Wymieniliśmy nerwowe spojrzenia z Groverem.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Tyson, Runo. Jesteś w stanie mi je przynieść?

- Które? - spytał Tyson, rozglądając się po liczącym setki owiec stadzie.

- To na drzewie! - powiedziałem. - Złote!

- Ach, to śliczne. Tak.

Tyson ruszył powoli w tamtym kierunku, starając się nie nadepnąć na owce. Gdyby którekolwiek z nas próbowało się zbliżyć do Runa, zostalibyśmy pożarci żywcem, ale podejrzewam, że Tyson pachniał podobnie do Polifema, ponieważ stado zupełnie się nim nie przejmowało. Ba, wręcz łąsiło się do niego, pobekując czule, jakby spodziewało się, że dostanie przysmaki z wielkiego wiklinowego koszyka. Tyson sięgnął na drzewo i zdjął Runo z gałęzi. Liście dębu natychmiast pożółkły.

Tyson zaczął się cofać ku mnie, ale ja krzyknąłem:

- Nie ma czasu! Rzuc mi je!

Złoty baranek poszybował w powietrzu niczym błyszcząca piłka. Złapałem go z jękiem. Był cięższy niż się spodziewałem... jakieś dwadzieścia albo i trzydzieści kilo szczerozłotej wełny.

Otuliłem nim Annabeth, przykrywając ją całą z wyjątkiem twarzy i w milczeniu modliłem się do wszystkich bogów, jakich mogłem sobie przypomnieć, włącznie z tymi, za którymi nie przepadałem.

Proszę, proszę.

Jej twarz powoli nabierała kolorów. Annabeth zamrugła powiekami. Rana na czole zaczęła się zasklepiac. Zobaczyła Grovera i

odezwała się słabym głosem:

- Ty nie... wyszedłeś za żonę?

Grover się rozpromienił.

- Nie. Przyjaciele odwiedzili mnie od tego.

- Annabeth - powiedziałem. - Nie ruszaj się.

Usiadła mimo naszych protestów i zauważyłem, że rana prawie całkiem się zagoiła. Annabeth wyglądała dużo lepiej. Prawdę mówiąc, tryskała zdrowiem, jakby ktoś wstrzyknął jej jakiś eliksir.

Tyson tymczasem zaczął mieć kłopoty z owcami.

- Złazie! - wołał do nich, ponieważ wspinały się na niego w poszukiwaniu jedzenia. Kilka z nich weszło w naszym kierunku. - Nie, owieczki. Tędy! Chodźcie tutaj!

Słuchały go, ale były też wyraźnie głodne i wkrótce uświadomiły sobie, że Tyson nie ma dla nich żadnych smakołyków. Nie wytrzymają długo, mając pod nosem tyle świeżego mięsa.

- Musimy już iść - powiedziałem. - Nasz statek...

"Zemsta Królowej Anny" była daleko stąd. Najkrótsza droga wiodła przez wąwóz, ale dopiero co zniszczyliśmy jedyny most. Druga droga wiodła między owcami.

- Tyson! - zawołałem. - Jesteś w stanie odciągnąć stado jak najdalej się da?

- One są głodne.

- Wiem! One żywią się ludźmi. Postaraj się sprowadzić je ze ścieżki. Daj nam czas na dojście do brzegu. A potem szybko dołącz do nas.

Tyson miał nieco niepewną minę, ale zagwizdał:

- Chodźcie owieczki! Yyy, jedzonko jest tam!

Pobiegł ku łące, a owce potruchtały za nim.

- Otul się Runem - powiedziałem do Annabeth. - Na wypadek,

gdybyś nie była do końca wyleczona. Dasz radę wstac?

Spróbowała, ale twarz jej natychmiast pobladła.

- Oj. Nie do końca...

Clarisse przykucnęła koło niej i obmacała jej klatkę piersiową, aż Annabeth jęknęła.

- Złamane żebra - oznajmiła Clarisse. - Leczą się, ale zdecydowanie były połamane.

- Skąd wiesz? - zapytałem.

Clarisse rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Bo zdarzyło mi się parę złamać w życiu, ty cherlaku! Będę musiała ją nieść.

Zanim zdążyłem zaprotestować, Clarisse podniosła Annabeth niczym worek mąki i zaczęła taszczyć ją w kierunku brzegu. Grover i ja poszliśmy za nią.

Kiedy tylko stanęliśmy nad wodą, poszukałem myślami "Zemstę Królowej Anny". Kazałem jej podnieść kotwicę i podpłynąć do nas. Po kilku minutach niepewności dostrzegłem statek okrążający przylądek wyspy.

- Idę! - krzyknął Tyson. Skakał po ścieżce, żeby do nas dołączyć, a owce biegly jakies pięćdziesiąt metrów za nim, becząc rozpaczliwie, ponieważ ich przyjaciel cyklop uciekał nie nakarmiwszy ich.

- Nie powinny wskoczyć za nami do wody -

powiedziałem pozostałym. - Wystarczy, że popłyniemy do statku.

- Z Annabeth w takim stanie? - zaprotestowała Clarisse.

- Damy radę - upierałem się, nabierając ponownie pewności siebie. Znalazłem się znów na rodzinnej ziemi...

to znaczy w morzu. - Jak tylko dotrzemy do statku, możemy ruszać w drogę.

I prawie nam się udało.

Brodziliśmy w wodzie koło wylotu jaru, kiedy usłysze-liśmy za

sobą straszliwy ryk i zobaczyliśmy Polifema, podrapanego i posiniaczonego, ale wciąż żywego, w potarganym niebieskim garniturze ślubnym, wlokącego się ku nam z głazem w każdej ręce.

R O Z D Z I A Ł XVI

IDĘ NA DNO RAZEM Z OKRĘTEM

Ile on jeszcze ma tych głazów - mruknąłem.

- Płynmy! - zawołał Grover.

On i Clarisse zanurzyli się pod wodę. Annabeth trzymała się pleców Clarisse i usiłowała odpychac się jedną ręką, ale mokre Runo ciągnęło ją w dół.

Jednak uwaga potwora nie była skupiona na Runie.

- Ty, młody cyklopie! - ryknął Polifem. - Zdrajco własnej rodziny! Tyson zamarł.

- Nie słuchaj go! - błagałem. - Chodź.

Pociągnąłem go za rękę, ale równie dobrze mógłbym ciągnąć górę. Odwrócił się i spojrzał na starszego cyklopa.

- Nie jestem zdrajcą

- Służysz śmiertelnikom! - krzyknął Polifem. -

Złodziejskim ludziom!

Polifem cisnął pierwszym głazem. Tyson odbił go pięścią.

- Nie jestem zdrajcą - powtórzył. - A ty nie jesteś moim krewnym.

- Zwycięstwo albo śmierć! - Polifem rzucił się do wody, ale wciąż miał ranną nogę. Natychmiast potknął

się i upadł na twarz. Byłoby to nawet komiczne, gdyby nie fakt, że natychmiast zaczął się gramolic z powrotem, plując słoną wodą i powarkując.

- Percy! - krzyknęła Clarisse - Pospiesz się!

Byli już prawie z Runem na statku. Gdyby tylko się dało powstrzymać potwora jeszcze przez chwilę...

- Idź - powiedział do mnie Tyson. - Ja powstrzymam brzydala.

- Nie! On cię zabije. - Raz już utraciłem Tysona. Nie zamierzałem tracić go ponownie. - Będziemy walczyć razem.

- Razem - przytaknął Tyson.

Wyciągnąłem miecz.

Polifem zbliżał się do nas ostrożnie, kulejąc bardziej niż wcześniej. Ale jego ręce były całkiem zdrowe i zdolne do rzucania kamieniami. Cisnął drugi głaz. Uskoczyłem ale i tak zrobiłby ze mnie miazgę, gdyby pięść Tysona nie rozbiła skały w drobny mak.

Rozkazałem morzu się podnieść. Sześciometrowa fala nadpłynęła, unosząc mnie na grzbiecie. Podjechałem do cyklopa i wymierzyłem mu kopniaka w oko, po czym przeskoczyłem nad jego głową w chwili, gdy fala zmyła go na brzeg.

- Zniszczę was! - wybełkotał Polifem. - Złodzieje Runa!

- To ty ukradłeś Runo! - wrzasnąłem. - To ty posługi-wałeś się nim, żeby wabić satyrów na pewną śmierć!

- I co z tego? Satyrowie to smaczna przekąska!

- Runa powinno się używać do leczenia! Ono należy do dzieci bogów!

- Jestem dzieckiem boga! - Polifem zamierzył się na mnie, ale uskoczyłem. - Ojcie Posejdonie, przeklnij tego złodzieja!

Polifem mrugał przez cały czas, jakby ledwie widział, a ja zorientowałem się, że namierza mnie na słuch.

- Posejdon mnie nie przeklnie - powiedziałem, wycofując się,

podczas gdy cyklop chwycił rękami powietrze. - Ja też jestem jego synem. A on nie będzie rozgrywał nas przeciwko sobie.

Polifem zawył. Wyrwał ze zbocza drzewko oliwne i rozstrzaskał je w miejscu, gdzie przed chwilą stałem.

- Ludzie to nie to samo! Okropni, podstępni, kłamliwi!

Grover wciągał właśnie Annabeth na pokład statku.

Clarisse machała do mnie rozpaczliwie, dając mi znaki, żebym do nich dołączył.

Tyson okrążał Polifema, starając się dostać na jego tyły.

- Młodzieńcze! - zawołał starszy cyklop. - Gdzie jesteś?

Pomóż mi!

Tyson stanął.

- Nie zostałeś odpowiednio wychowany! - zawodził

Polifem, potrząsając maczugą z pnia oliwki. - Biedny osierocony bracie! Pomóż mi!

Obaj staliśmy bez ruchu. Nie słyszałem nic oprócz szumu oceanu i bicia własnego serca. Potem Tyson zrobił

krok do przodu, unosząc w górę ręce.

- Nie walcz, bracie cyklopie. Odłóż swoją...

Polifem obrócił się w kierunku głosu.

- Tyson! - krzyknąłem.

Drzewo uderzyło go z mocą, która ze mnie zrobiłaby pizzę z oliwkami. Tyson poleciał do tyłu i zarył w piasek.

Polifem rzucił się za nim, ale ja skoczyłem ku niemu z moim Orkanem.

- Nie! - wrzasnąłem.

Miałem nadzieję, że uda mi się wbic ostrze w udo Polifema, ale skoczyłem nieco wyżej.

- Beee! - zabeczał cyklop zupełnie jak jego owce i zamierzył się na mnie pniem.

Skuliłem się ale i tak oberwałem setką
powykrzywia-nych gałęzi. Krwawiłem, byłem posiniaczony i
wyczer-pany. Moja wewnętrzna świnka morska bardzo chciała uciekać.
Zdołałem jednak pokonać strach.

Polifem zamachnął się ponownie drzewem, ale tym razem byłem
na to przygotowany. Zapominając o bólu w dłoniach, chwyciłem jeden z
konarów, kiedy przelatował

nade mną, i pozwoliłem cyklopowi poderwać się w górę oraz
unieść się wysoko w powietrze. Kiedy znalazłem się w najwyższym
miejscu łuku, puściłem gałąź i spadłem prosto na twarz olbrzymia,
lądując obiema stopami na jego już i tak uszkodzonym oku.

Polifem wył z bólu. Tyson przydusił go, zmuszając do przykłąku.
Wylądowałem tuż koło niego z mieczem w dłoni, w dogodnej pozycji,
aby ugodzić potwora w serce.

Ale kiedy spojrzałem memu kumpłowi w oczy, wiedzia-łem, że nie
dam rady tego zrobić. Po prostu nie byłoby to właściwe.

- Puść go - powiedziałem do Tysona. - Uciekaj.

Ostatnim potężnym wysiłkiem Tyson odepchnął
klną-cego starszego cyklopa daleko od siebie i obaj pobiegliś-my
do wody.

- Rozdepczę was! - wrzeszczał za nami Polifem, słaniając się z
bólu. Uniósł swoje olbrzymie dłonie ku oku.

Tyson i ja rzuciliśmy się między fale.

- Gdzie jesteście? - zawodził potwór. Uniósł swoje drzewo i rzucił
je do wody. Upadło po naszej prawej.

Wezwałem prąd morski, żeby poniósł nas do statku i zaczęliśmy
nabierać prędkości. Wstąpiła we mnie nadzieja, że uda nam się
dopłynąć, kiedy usłyszeliśmy krzyki Clarisse dochodzące z pokładu.

- Dalej Jackson! Walcz cyklopie!

Zamknij się - chciałem krzyknąć do niej.

- Arrrrgh! - Polifem uniósł głaz. Cisnął nim w kierunku głosu Clarisse, ale kamień upadł dużo bliżej, omal nie trafiając Tysona i mnie.

- Tak, tak! - drwiła Clarisse. - Rzucasz jak oferma! Ja cię nauczę usiłować się ze mną żenic, kretynie!

- Clarisse! - ryknąłem, nie mogąc znieść tego dłużej. -

Zamknij się!

Za późno. Cyklop rzucił kolejnym głazem i tym razem patrzyłem bezsilnie, jak pocisk przelatuje nad moją głową i rozstrzaskuje kadłub "Zemsty Królowej Anny".

Nie macie pojęcia, jak szybko tonie statek. "Zemsta Królowej Anny" trzasnęła, stęknęła i przechyliła się, jakby miała wpłynąć do rynny w parku wodnym.

Zakląłem, usiłując przekonać morze, żeby niosło nas szybciej, ale maszty okrętu właśnie znikają pod wodą.

- Nurkuj! - krzyknąłem do Tysona.

Kiedy nad naszymi głowami poszybował kolejny głaz, zanurzyliśmy się pod wodę.

Moi przyjaciele tonęli szybko, bezskutecznie usiłując pływać w spienionym kraterze tonącego statku.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że kiedy statek tonie, zachowuje się jak lej, wciągając wszystko dookoła. Clarisse była dobrą pływaczką, ale nawet jej siła na niewiele się zdawała. Grover młócił rozpaczliwie kopytami. Annabeth trzymała się Runa, które połyskiwało wśród fal niczym ławica nowiutkich monet.

Popłynąłem ku nim, wiedząc, że może mi nie starczyć sił, żeby ich wydostać na powierzchnię. Co gorsza, wokół nich wirowały odłamki drewna, a cała moja władza nad wodą nie pomoże, jeśli dostanę w głowę.

Potrzebujemy pomocy - pomyślałem

Wiem - to był głos Tysona, brzącały głośno i wyraźnie w mojej głowie.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Zdarzało mi się już słyszeć mówiące do mnie pod wodą nereidy i inne duchy wodne, ale to nie przyszło mi do głowy... a przecież Tyson był synem Posejdona. Byliśmy w stanie się porozumiewać.

Tęczaś - powiedział Tyson.

Przytaknąłem, po czym zamknąłem oczy i skupiłem się, dodając mój głos do wołania Tysona: TĘCZUSIU!

Potrzebujemy cię!

Natychmiast w ciemnej wodzie poniżej nas zamigotały kształty - trzy konie z rybimi ogonami, galopujące w górę szybciej niż delfiny. Tęczaś i jego pobratymcy spojrzeli ku nam i jakby czytali nasze myśli.

Skierowali się pędem ku wrakowi i chwilę później w chmurze bąbelków wyskoczyli w górę Grover, Annabeth i Clarisse, wszyscy uczepieni karków pięknych hipokampów.

Tęczaś, największy z morskich wierzchowców, niósł

Clarisse. Popędził ku nam i pozwolił Tysonowi chwycić się za grzywę. Jego przyjaciel niosący Annabeth zrobił to samo dla mnie.

Wyskoczyliśmy na powierzchnię wody i popędziliśmy byle dalej od wyspy Polifema. Za nami słyszałem tryumfalne okrzyki cyklopa:

- Udało się! Wreszcie nikt mi się nie wymknął!

Miałem nadzieję, że potwór nigdy nie przekona się o swojej pomyłce.

Ślizgaliśmy się przez morze, a wyspa stawała się coraz mniejsza, aż wreszcie całkowicie znikła.

- Udało się - wymamrotała Annabeth zmęczonym głosem - Zdo...

Przytuliła się do szyi hipokampa i natychmiast zapadła w sen.

Nie miałem pojęcia, jak daleko hipokampy będą nas w stanie zanieść. Nie miałem pojęcia, dokąd płynęliśmy.

Podparłem Annabeth, żeby nie spadła z grzbietu, okryłem ją Złotym Runem, które z takim trudem zdobyliśmy, i wymamrotałem w myślach krótką modlitwę dziękczynną.

Co przypomniało mi, że... wciąż byłem coś winnym bogom.

- Jesteś genialna - szepnąłem do Annabeth.

A następnie złożyłem głowę na Runie i zanim się zorientowałem, spałem głęboko.

R O Z D Z I A Ł XVII

NIESPODZIANKA W MIAMI BEACH

Obudź się, Percy.

Słona woda pryskała mi w twarz. Annabeth potrząsała mnie w ramię.

W oddali słońce zachodziło nad wieżowcami miasta.

Przed sobą widziałem nadmorską autostradę otoczoną palmami, witryny sklepowe mieniące się czerwienią i błękitem neonów, przystań pełną żaglówek i statków wycieczkowych.

- To chyba Miami - powiedziała Annabeth. - Ale hipokampy dziwnie się zachowują.

Istotnie, nasi rybowaci przyjaciele zwolnili i pływali teraz w kółko,

rząc cicho i obwąchując wodę. Nie wyglądali na zbyt zadowolonych. Jeden z nich kichnął.

Słyszałem ich myśli.

- Mogą nas zawieźć tylko dotąd - powiedziałem. - Za dużo tu ludzi. Za dużo zanieczyszczeń. Musimy dopłynąć sami do brzegu.

Nie żeby nas to zachwycało, ale podziękowaliśmy Tęczusiowi i jego towarzyszom za przejażdżkę. Tyson pochlipał nieco. Odpiął prowizoryczne juki własnej roboty, zawierające ceratowe zawiniątko z narzędziami i kilka innych rzeczy, które ocalił z wraku "Birmingham".

Rzucił się Tęczusiowi na szyję, dał mu soczyste mango zerwane na wyspie i się pożegnał.

Kiedy białe grzywy hipokampów znikły w morzu, popłynęliśmy do brzegu. Fale popychały nas naprzód i chwilę później znaleźliśmy się z powrotem w świecie śmiertelników. Powlekliśmy się wzdłuż przystani statków wycieczkowych, przepychając się przez tłum ludzi, którzy przyjechali tu na wakacje. Tragarze kręcili się po całym porcie z wózkami bagarzowymi.

Taksówka-rze wrzeszczeli na siebie po hiszpańsku i usiłowali ustalić jakąś kolejność zabierania pasażerów.

Jeśli ktokolwiek zwrócił na nas uwagę - na piątkę dzieciaków ociekających wodą i wyglądających tak, jakby właśnie stoczyły walkę z potworem - wcale nie dawał tego po sobie poznać.

Teraz, kiedy byliśmy znów wśród śmiertelników, pojedyncze oko Tysona zasnuła Mgła. Grover założył

czapeczkę i tenisówki. Nawet Runo zmieniło się z baraniej skóry w typową studencką czerwono-złotą kurtkę skórzaną z wielką, lśniącą omega naszytą na kieszeni.

Annabeth podbiegła do najbliższego kiosku z gazetami i sprawdziła datę, po czym zaklęła.

- Osiemnasty czerwca! Nie było nas na obozie przez dziesięć dni!

- To niemożliwe! - powiedziała Clarisse.

Ja jednak wiedziałem, że to możliwe. W potwornych miejscach czas płynie szybciej.

- Sosna Thalii pewnie już prawie nie żyje - jęknął

Grover. - Musimy dostarczyć Runo na miejsce jeszcze dziś!

Clarisse przysiadła na chodniku.

- Ale jak mamy to zrobić? - głos jej drżał. - Jesteśmy o setki kilometrów od obozu. Nie mamy pieniędzy. Nie mamy środka transportu. Wszystko dokładnie tak, jak przepowiedziała Wyrocznia. To twoja wina, Jackson.

Gdybyś się nie wtrącał...

- Wina Percy'ego?! - wybuchnęła Annabeth. - Jak możesz tak mówić, Clarisse? Jesteś największą...

- Przestań! - przerwałem jej.

Clarisse złożyła twarz w dłoniach. Annabeth tupnęła nogą z frustracji.

Chodziło o to, że prawie zapomniałem, że to była misja Clarisse. Przez jedną straszliwą chwilę zobaczyłem sytuację z jej punktu widzenia. Jak ja bym się czuł, gdyby gromadka innych herosów wtrąciła się i sprawiła, że nie wypadłem zbyt dobrze?

Pomyślałem o tym, co podsłuchałem w kotłowni "CSS

Birmingham": o Aresie krzyczącym na Clarisse, ostrzegającym ją, żeby lepiej nie skrewiła. Aresowi może średnio zależeć na losach obozu, ale jeśli przez Clarisse wyjdzie na głupka...

- Clarisse - zwróciłem się do niej - co dokładnie powiedziała wyrocznia?

Podniosła wzrok. Myślałem, że karze mi spadać, ale ona wzięła głęboki oddech i zacytowała przepowiednię: Z załogą szkieletów łodzią popłyniesz żelazną. Znajdziesz to, czego szukasz, i weźmiesz na

własność, Życia niemal nie stracisz w skale pogrzebana, Bez towarzyszy przegrasz, w dom wrócisz sama.

- Auc - mruknął Grover.

- Nie - powiedziałem. - Nie... Zaczekaj chwilkę. Chyba rozumiem. Przetrasnąłem kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy, ale znalazłem jedynie złotą drahmę.

- Czy ktoś ma jakąś kasę?

Annabeth i Grover potrząsnęli ponuro głowami.

Clarisse wyciągnęła z westchnieniem z kieszeni mo-krego konfederackiego dolara.

- Kasę? - spytał niepewnie Tyson. - Te... zielone papierki?

Spojrzałem na niego.

- Aha.

- Jak te w naszych workach?

- Aha. Tylko że my zgubiliśmy te worki wiele dni te... - zająknąłem się i urwałem, kiedy Tyson zaczął przeglądać zawartość juków i wyciągnął wodoodporną saszetkę pełną pieniędzy, w które zaopatrzył nas Hermes.

- Tyson! - zawołałem. - Jak ci się...

- Myślałem, że to pokarm dla Tęczusia - oznajmił. -

Znalazłem pływające na morzu, ale w środku był tylko papier.

Przepraszam.

Podał mi pieniądze. Co najmniej trzy stówki w banknotach pięcio- i dziesięciodolarowych.

Podbiegłem do krawężnika i złapałem taksówkę, która właśnie wysadziła rodzinę turystów.

- Clarisse! - krzyknąłem. - Chodź tu. Jedziesz na lotnisko.

Annabeth, daj jej Runo.

Nie jestem pewny, która z nich była bardziej zdumiona, kiedy zabrałem Annabeth złotorunną skórzaną kurtkę, wpakowałem banknoty do kieszeni i nałożyłem ją Clarisse na ramiona.

- Pozwolisz mi... - zaczęła.

- To twoja misja - odpowiedziałem. - A pieniędzy starczy nam tylko na jeden bilet lotniczy. Zeus roztrzaskałby mnie na milion kawałków. To właśnie miała na myśli wyrocznia, mówiąc, że bez towarzyszy przegrasz, to znaczy, że będziesz potrzebowała naszej pomocy, ale do domu musisz polecieć sama. Musisz zawieźć tam bezpiecznie Runo.

Niemal widziałem obracające się trybiki w jej mózgu: z początku podejrzliwość, jaki też podstęp mogłem uknuc, a na końcu przekonanie, że naprawdę myślę to, co mówię.

Wskoczyła do taksówki.

- Możecie na mnie liczyć. Nie zawiodę.

- Byłoby dobrze.

Taksówka ruszyła w chmurze spalin. Runo znalazło się w drodze do Obozu Herosów.

- Percy - powiedziała Annabeth - to było bardzo...

- Miłe? - podpowiedział Grover.

- Szalone - poprawiła go Annabeth. - Stawiasz życie wszystkich w obozie na to, że Clarisse dowiezie tam bezpiecznie Runo jeszcze dzisiaj?

- To jej misja - powiedziałem. - Zasluguje na swoją szansę.

- Percy jest miły. - oznajmił Tyson.

- Percy jest zbyt miły - mruknęła Annabeth, ale ja myślałem sobie, że może - tylko może - jest jednak troszkę pod wrażeniem. W każdym razie zaskoczyłem ją.

A to nie jest łatwe.

- Chodźmy - powiedziałem do przyjaciół. - Musimy znaleźć inną

drogę do domu.

Wtedy właśnie odwróciłem się i poczułem ostrze miecza na gardle.

- Witaj, kuzynku - powiedział Luke. - Miło cię znów widzieć w Ameryce.

Jego niedźwiedziowaci pomocnicy pojawili się po obu naszych stronach. Jeden z nich chwycił Annabeth i Grovera za kołnierzyki koszulek. Drugi chwycił Tysona, ale ten rzucił go na stertę bagaży i ryknął na Luke'a.

- Percy - powiedział ze spokojem Luke - powiedz swojemu olbrzymowi, żeby się cofnął, bo inaczej karzę Oriosowi zmiażdżyc głowy twoich przyjaciół.

Orios wyszczerzył zęby i uniósł kopiących i wrzeszczących Annabeth i Grovera nad ziemię.

- Czego chcesz, Luke? - warknąłem.

Uśmiechnął się, aż blizna wykrzywiła się na jego policzku.

Wskazał ku samemu krańcowi przystani i

zauważyłem coś, co powinienem dostrzec od początku.

Największym przycumowanym tu statkiem była...

"Księżniczka Andromeda".

- No cóż, Percy - powiedział Luke. - Chcę wam tylko zaoferować gościnę, oczywiście.

Niedźwiedziowaci bliźniacy zaprowadzili nas na pokład

"Księżniczki Andromedy". Wrzucili nas na pokład rufowy tuż koło basenu ze skrzącymi się fontannami rozpylającymi w powietrzu wodę. Zgromadził się tam z tuzin najróżniejszych popleczników Luke'a: wężowi ludzie, Lajstrygonowie, półbogowie w pełnej zbroi.

Wszyscy chcieli przyrzec się, jak przebywamy "w gościnie".

- A teraz Runo - powiedział w zamyśleniu Luke. -

Gdzie też ono jest?

Przyjrzał się nam, dotknął czubkiem miecza mojej koszulki, szturchnął Grovera w dzinsy.

- Ejże! - zaprotestował satyr. - Tam jest prawdziwa kozia sierść!

- Wybacz, stary druhu - powiedział Luke. - Oddaj mi Runo, a pozwolę ci powrócić do twojej, no, małej przyrodniczej ekspedycji.

- Baa-ha-ha! - zabeczał z oburzeniem Grover. - Dam ci ja starych druhów!

- Chyba mnie nie dosłyszałeś - głos Luke'a brzmiał niebezpiecznie spokojnie. - Gdzie - jest - Runo?

- Nie ma go tu - odpowiedziałem. Zapewne nie powinienem mu nic mówić, ale czułem się świetnie, rzucając mu prawdę w twarz - Wysłaliśmy je przodem.

Zawaliłeś.

Luke zmróżył oczy.

- Kłamiesz. Nie mogliście... - twarz mu poczerwieniała, kiedy uświadomił sobie, jak to było możliwe - Clarisse?

Przytaknąłem.

- Zaufałeś... Dałeś...

- Tak.

- Agrios!

Niedźwiedzi olbrzym się wzdrygnął.

- Słucham?

- Zejdź na dół i przygotuj mojego wierzchowca.

Przyprowadź go na pokład. Muszę lecieć na lotnisko w Miami. Pospiesz się!

- Ale szefie...

- Już! - wydarł się na niego Luke. - Albo rzucę cię na pożarcie drakonowi!

Niedźwiedziowaty przełknął ślinę i powłókł się w dół schodów. Luke przechadzał się nad basenem, klnąc po starogrecku i ściskając miecz tak mocno, że pobiełały mu palce.

Reszta jego kompanii wyglądała nietęgo. Może nigdy wcześniej nie widzieli swojego wodza w takim stanie.

Zacząłem myśleć... Gdybym był w stanie wykorzystać gniew Luke'a i porozmawiać z nim tak, żeby wszyscy słyszeli jak szalone są jego zamiary.

Przyjrzałem się basenowi, fontanom rozpylającym wodę w powietrzu, tworzącym w świetle słonecznym tęczę. Nagle coś przyszło mi do głowy.

- Igrasz z nami zbyt długo - powiedziałem. - Chciałeś, żebyśmy przynieśli ci Runo, oszczędzając ci problemów z jego zdobyciem.

Luke rzucił mi spojrzenie spode łba.

- Oczywiście, kretynie! A ty wszystko popsuleś!

- Zdrajco! - Wydobyłem z kieszeni ostatnią pozostałą mi złotą drahmę i rzuciłem nią w Luke'a. Tak jak się spodziewałem, uchylił się bez problemu. Moneta poszybowała ku tęczowej mgiełce wodnej.

Miałem nadzieję, że moja modlitwa zostanie wysłuchana nawet jeśli nie wypowiem jej na głos.

Pomyślałem więc z całego serca: Bogini, przyjmij moją ofiarę.

- Oszukałeś nas wszystkich! - wrzasnąłem na Luke'a.

- Udało ci się nawet Z DIONIZOSEM W OBOZIE HEROSÓW!

Fontanna za plecami Luke'a zaczęła migotać, ale ja potrzebowałem, aby uwaga wszystkich skupiła się na mnie, toteż odetkałem Orkana.

Luke tylko prychnął drwiąco.

- Nie pora na heroizm, Percy. Rzuc swój śmieszny mieczyk albo też zabiję cię wcześniej czy później.

- Kto otruł sosnę Thalii, Luke?

- Oczywiście, że ja - burknął. - Przecież już ci mówiłem.

Posłużyłem się jadem pradawnych pytonów, wprost z głębi Tartaru.

- I Chejron nie miał z tym nic wspólnego?

- Ha! Wiesz, że on nigdy by tego nie zrobił. Stary głupiec nie ma na to odwagi.

- Co ty nazywasz odwagą? Zdradę przyjaciół?

Narażenie całego obozu na niebezpieczeństwo?

Luke uniósł miecz.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiesz. Zamierzałem oddać ci Runo... jak już bym go użył.

Te słowa sprawiły, że się zawahałem. Dlaczego miałby mi pozwolić zabrać Runo? Najwyraźniej kłamał.

Ale nie mogłem pozwolić na to, żeby przestał się we mnie wpatrywać.

- Zamierzałeś uleczyć Kronosa - powiedziałem.

- Owszem! Magia Runa przyspieszyłaby jego leczenie dziesięciokrotnie. Ale ty nas nie powstrzymałeś, Percy.

Tylko nas nieco opóźniłeś.

- I dlatego zatrueś sosnę, zdradziłeś Thalię, wrobiłeś nas...

Wszystko po to, żeby pomóc Kronosowi zniszczyć bogów?

Luke zazgrzytał zębami.

- Przecież wiesz to wszystko! Po co zadajesz mi te pytania?

- Bo chcę, żeby wszyscy cię usłyszeli.

- Jacy wszyscy?

Nagle zmrózł oczy. Obejrzał się i to samo zrobili jego kolesie. Po

czym cofnęli się z przerażeniem.

Nad basenem, lśniąc w tęczowej mgiełce, widniał iryfonowy obraz Dionizosa, Tantala i wszystkich obozowiczów zgromadzonych w pawilonie jadalnym.

Siedzieli z pełnym zdumienia milczeniu, obserwując nas.

- No, no - odezwał się sucho Dionizos - cóż za niespodziewana rozrywka przy posiłku.

- Panie D., słyszał pan - powiedziałem. - Wszyscy słyszeliście Luke'a. Chejron nie ma nic wspólnego z zatruciem sosny.

Pan D. westchnął.

- Wygląda na to, że nie.

- Obraz w iryfonie może być fałszywy - podpowiedział Tantal, ale jego uwaga skupiona była głównie na hamburgerze, którą usiłował przyszpilic oburącz.

- Nie sądzę - odparł Pan D., spoglądając na Tantala z niesmakiem. - Wygląda na to, że będę musiał przywrócić Chejrona na dawne stanowisko. Chyba stęskniłem się za remikiem z tym starym wachalem.

Tantal chwycił hamburgera, który wyjątkowo nie uciekł przed nim. Uniósł go z talerza i wpatrywał się w niego z uwielbieniem, jakby to był największy diament na świecie.

- Dorwałem go! - zarechotał.

- Nie potrzebujemy już twoich usług, Tantal - oznajmił Pan D.

Tantala zamurowało.

- Że co? Ale...

- Możesz wrócić do swojej Podziemnej Krainy. Jesteś zwolniony.

- Nie! Przecież... Neeeeeeeeee!

Nawet kiedy rozwiewał się w mgłę, jego palce wciąż zaciskały się na hamburgerze, którego usiłował donieść do ust. Ale było już za późno. Tantal znikł, a hamburger wylądował z powrotem na talerzu.

Obozowicze wiwatowali.

Luke ryknął z wściekłości. Uderzył mieczem w fontannę, przerywając tęczową transmisję, ale - stało się.

Byłem z siebie całkiem zadowolony, dopóki Luke nie zwrócił się z moją stronę z żądzą mordy w oczach.

- Kronos miał rację, Percy. Nie jesteś godną zaufania bronią. Trzeba będzie cię zastąpić.

Nie byłem pewny co przez to rozumiał, ale nie miałem czasu, żeby o tym myśleć. Jeden z jego ludzi dmuchnął w mosiężny gwizdek i drzwi na pokład się otworzyły. Wylał

się z nich jakiś kolejny tuzin wojowników, otacza-jąc nas kręgiem najeżonym mosiężnymi grotami włóczni.

Luke uśmiechnął się do mnie.

- Nigdy nie opuścicie tego statku żywi.

R O Z D Z I A Ł XVIII

INWAZJA IMPREZOWYCH KUCYKÓW

Jeden na jednego - wyzwalem Luke'a. - Czego się boisz?

Luke wykrzywił usta. Żołnierze, którzy mieli nas zabic, zawahali się, czekając na jego rozkaz.

Zanim jednak cokolwiek powiedział, niedźwiedziowaty Agrios wpadł na pokład, prowadząc skrzydlatego konia. Był to pierwszy czarny pegaz, jakiego w życiu

widziałem - miał skrzydła olbrzymiego kruka. Skrzydlata klacz rżała i wierzgała. Rozumiałem jej myśli. Nazywała Agriosa i Luke'a tak brzydkimi słowami, że Chejron wyszorowałby jej pysk czyścidle do siodeł.

- Panie! - zawołał Agrios, uchylając się przed kopniakiem pegaza. - Twój wierchowiec jest gotowy!

Luke nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Mówilem ci zeszłego lata, Percy - powiedział. - Nie próbuj prowokować mnie do walki.

- Unikasz walki - zauważyłem. - Boisz się, że twoi wojacy zobaczą, jak obrywasz?

Luke rzucił okiem na swoich ludzi i uświadomił sobie, że znalazł się w potrzasku. Jeśli wycofa się teraz, wyjdzie na słabeusza. Jeśli będzie ze mną walczył, straci cenny czas, który wolałby wykorzystać na pościg za Clarisse. A ja mogłem liczyć tylko na to, że skupię na sobie jego uwagę, dając w ten sposób przyjaciółom szansę na ucieczkę. Jeśli ktokolwiek mógł jeszcze wymyślić jakiś sposób na to, żeby ich stąd wydostać, była to Annabeth.

Niestety zdawałem sobie również sprawę z tego, jak dobry w szermierce jest Luke.

- Zabiję cię powoli - oznajmił, unosząc broń.

Szerszeń był o jakieś trzydzieści centymetrów dłuższy od mojego miecza. Jego ostrze błyskało złowrogim szaro-złotym światłem ludziej stali połączonej z niebiańskim spiżem. Czułem niemalże jak głównia walczy sama z sobą, niczym połączone dwa przeciwne bieguny magnesu. Nie miałem pojęcia, jak wykonano to ostrze, ale poczułem powiew tragedii. Ktoś musiał w tym celu umrzeć. Luke zagwizdał na jednego ze swoich ludzi, który rzucił mu okrągłą tarczę ze skóry i spiżu.

Uśmiechnął się do mnie złośliwie.

- Luke - odezwała się Annabeth - daj mu przynajmniej tarczę.

- Przykro mi Annabeth - odpowiedział. - Na tę imprezę każdy przychodzi z własnym sprzętem.

Tarcza stanowiła problem. Walka oburącz samym mieczem daje większą siłę uderzenia, ale walka jedną ręką - z tarcą na drugiej - zapewnia lepszą ochronę i elastyczność. Można wykonywać więcej ruchów, ma się większe możliwości, łatwiej jest zabić przeciwnika.

Pomyślałem o Chejronie, który kazał mi zostać w obozie, choćby nie wiem co, i uczyć się walki. Teraz miałem zapłacić za nieposuszeństwo.

Luke zaatakował i omal nie zabił mnie pierwszym pchnięciem. Jego miecz trafił pod moje ramię, rozdarł mi koszulkę i drasnął w żebra.

Odskokczyłem, po czym wykonałem pchnięcie Orkanem, ale Luke bez problemu odparł tarczą mój atak.

- Ejże, Percy - zbeształ mnie. - Wyszedłeś z wprawy.

Zaatakował mnie ponownie, tym razem zamierzając się na głowę. Odparowałem cios i odpowiedziałem pchnięciem. Bez trudu wykonał unik.

Skaleczenie na żebrach piekło. Serce waliło mi jak młotem. Kiedy Luke zaatakował znowu, skoczyłem do tyłu, lądując w basenie, i poczułem nagły przypływ sił.

Obróciłem się pod wodą, wytwarzając lejkowatą chmurę, i wystrzeliłem wraz nią z głębszej wody prosto w twarz Luke'a.

Siła wody przewróciła go, krztusił się i przez moment nic nie widział. Zanim jednak zdążyłem zaatakować, on odtoczył się na bok i skoczył na nogi.

Ciałem i wyszczerbiłem jego tarczę, ale to go w ogóle nie obeszło. Przykucnął i zamierzył się na moje nogi.

Nagle poczułem ogień w udzie, a ból był tak ostry, że upadłem. Dżinsy miałem rozcięte nad kolanem. Byłem ranny. Nie miałem pojęcia,

jak ciężko. Luke rąbnął w dół, przetoczyłem się więc za leżak.

Usiłowałem wstac, ale noga nie była w stanie mnie utrzymać.

- Peeercy! - zabeczał Grover.

Przetoczyłem się ponownie, kiedy miecz przeciwnika rozciął leżak - metalowe rurki i całą resztę - na pół.

Podpełzłem w stronę basenu, starając się nie stracić przytomności. Nie miałem szans. Luke też o tym wiedział. Podchodził powoli z uśmiechem na ustach.

Ostrze jego miecza było poplamione czerwienią.

- Chciałbym, żebyś przyjrzał się jednej rzeczy, zanim umrzesz, Percy - Spojrzał na niedźwiedziowatego Oriosa, który wciąż trzymał Annabeth i Grovera za karki. -

Możesz już zjeść swój podwieczorek, Oriosie. Bon appetit.

- He, he, he, he! - Niedźwiedziowaty olbrzym uniósł moich przyjaciół w górę i obnażył kły.

W tym samym momencie rozpętało się piekło godne najgłębszych otchłani Hadesu.

Świst!

Z ust Oriosa wyskoczyła strzała z czerwonymi lotkami. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy olbrzym padł na pokład.

- Braciszku! - zawył Agrios.

Puścił wodze pegaza na chwilę, która wystarczyła, aby czarny rumak kopnął go w głowę i poleciał nad zatokę Miami.

Przez ułamek sekundy strażnicy Luke'a byli zbyt oszołomieni, żeby zrobić cokolwiek poza przyglądaniem się ciałom niedźwiedzych bliźniaków, które rozwiewały się w dym.

Następnie odezwał się chór krzyków bojowych i tętent kopyt uderzających o metal. Z głównej klatki schodowej wynurzyło się stado

centaurów.

- Koniki! - zawołał z zachwytem Tyson.

Przetworzenie wszystkiego, co widziałem, sprawiało mojemu umysłowi niejaki kłopot. W tłumie był Chejron, ale jego pobratymcy zupełnie go nie przypominali. Jedni o ciałach czarnych ogierów arabskich, inni o złotej maści izabelowatej, a także nakrapiani. Niektórzy mieli na ludzkich torsach kolorowe koszulki z odbaskowymi napisami:

WYPOŻYCZALNIA KUCYKÓW NA

PRZYJĘCIA - ODDZIAŁ FLORYDA. Niektórzy byli uzbrojeni w łuki, inni w kije bejsbolowe, jeszcze inni w karabiny dp paintballa.

Któryś miał twarz wymalowaną niczym wojownik Komanczów i wymachiwał wielką dłonią z pomarańczowego styropianu z uniesionym w górę palcem wskazującym. Inny miał gołą klatę i był cały pomalowany na zielono. Kolejny nosił komiczne okulary z gałkami ocznymi tańczącymi na sprężynkach, przyozdobionych dodatkowo bejsbolówkami i parasolkami koktajlowymi.

Wszyscy oni wpadli na pokład z taką dzikością i różnorodnością, że przez moment nawet Luke'a замуrowało. Nie sposób było stwierdzić, czy przyszli tu imprezować, czy walczyć.

Najwyraźniej w jednym i drugim celu. Kiedy Luke uniósł miecz, aby poderwać do walki swoich popleczeni-ków, jeden z centaurów wystrzelił fantazyjną strzałę uzbrojoną w skórzaną rękawicę bokerską.

Uderzyła Luke'a w twarz tak mocno, że wpadł do basenu.

Jego wojownicy się rozpiechli. Nie żebym im się dziwił. Kopyta wierzgającego ogiera są dość niebezpieczne same w sobie, a kiedy na dodatek ogier jest centau-rem uzbrojonym w łuk i wymachującym kowbojskim kapeluszem, nawet najdzielniejszy wojownik ma prawo uciec.

- Ej, zabawmy się! - ryknął jeden z nich.

Zabawiali się głównie pistoletami do paintballu. Na kompanów

Luke'a popłynęły strumienie niebieskiej i żółtej farby, oślepiając ich i oblewając kolorami od stóp do głów. Nieszczęśnicy usiłowali uciekać, ale ślizgali się i przewracali.

Chejron przegalopował ku Annabeth i Groverowi, zgrabnie uniósł ich z pokładu i posadził sobie na grzbiecie.

Usiłowalem się podnieść, ale ból w zranionej nodze nie pozwalał mi na to.

Luke wyczołgał się z basenu.

- Do ataku, głupcy! - rozkazał swoim oddziałom.

Gdzieś pod pokładem rozległ się dźwięk dzwonu alarmowego.

Wiedziałem, że lada chwila pojawi się tu wsparcie dla Luke'a. Wojownicy już otrząsali się z zaskoczenia i rzucali się ku centaurom z wzniesionymi mieczami i włóczniami.

Tyson odepchnął jakieś pół tuzina z nich pod ścianę i za reling, wprost do wody zatoki. Ale coraz więcej wojowników tłoczyło się na schodach.

- Odwrót, bracia! - krzyknął Chejron.

- Nie ujdzie ci to na sucho, wałachu! - odkrzyknął

Luke. Uniósł miecz, ale obrewał po twarzy kolejną rękawicą bokerską i upadł na leżak.

Bułany centaur uniósł mnie na grzbiet.

- Zawołaj tego twojego wielkoluda, kolo!

- Tyson! - wrzasnałem. - Chodź!

Tyson upuścił dwóch wojowników, z których usiłował zawiązać supeł, i potruchtał za nami. Wskoczył centau-rowi na grzbiet.

- Facet! - jęknął centaur, niemal zginając się w pół pod ciężarem Tysona. - Czy mówi ci coś określenie "dieta niskokaloryczna"?

Oddziały Luke'a usiłowały formować falangę. Ale kiedy wreszcie

były gotowe do ataku, nieustraszeni pół

ludzie, pół konie pogalopowali do krawędzi pokładu i skoczyli przez reling jakby była to standardowa przesz-koda, a nie dziesięć pięter nad ziemią. Byłem pewny, że wszyscy zginiemy. Spadaliśmy ku dokom, ale centaurom bez trudu przyszło lądowanie na asfalcie i galop przed siebie ku centrum Miami, z wrzaskiem i szyderstwami pod adresem "Księżniczki Andromedy".

Nie miałem pojęcia, co sobie o naszym przejeździe myśleli mieszkańcy Miami.

Ulice i budynki zlewały się w jeden niewyraźny kształt, kiedy pęd centaurów stawał się coraz szybszy.

Czułem się tak, jak przestrzeń się skurczyła - jakby każdy krok centaury przenosił nas o kilka kilometrów do przodu. Wkrótce miasto pozostało za nami. Pędziliś-my przez bagniste łąki porośnięte wysoką trawą, mijając oczka wodne i zwalone pniaki.

W końcu znaleźliśmy się na pełnym przyczep parkingu nad jeziorem. Były to wyłącznie przyczepy do przewozu koni, wyposażone w środku w telewizory, małe lodówki i siatki chroniące przed moskitami w oknach.

Był to obóz centaurów.

- Ludzie! - odezwał się jeden z "kucyków do wynajęcia", zrzucając na ziemię broń. - Widzieliście tego miśka? Miał minę: "Oj, chyba mi strzała utkwiała w ustach"!

Centaury w gogłach zaśmiał się głośno.

- To było ekstra! Przybij!

Dwa centaury pogalopowały ku sobie i zderzyły się z całej siły głowami, po czym odtoczyły się w dwie różne strony z wariackimi uśmiechami na twarzach.

Chejron westchnął. Posadził Annabeth i Grovera na kocu piknikowym tuż obok mnie.

- Tak bardzo bym chciał, żeby moi kuzyni przestali się trykac. Wcale nie mają szarych komórek w nadmiarze.

- Chejronie - powiedziałem, wciąż nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia na jego widok. - Uratował nas pan.

Uśmiechnął się do mnie ironicznie.

- No cóż, nie mogłem przecież pozwolić wam zginąć, zwłaszcza skoro udało się wam oczyścić mnie z zarzutów.

- A skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać? - spytała Annabeth.

- Przemyślałem to wcześniej, moja droga. Uznałem, że zapewne wyrzuci was na brzeg gdzieś w okolicy Miami, oczywiście pod warunkiem, że wydostaniecie się żywi z Morza Potworów. Wszystkie możliwe dziwactwa zazwyczaj wypływają koło Miami.

- Mhm, dzięki - wymamrotał Grover.

- Nie, nie - odpowiedział Chejron. - Nie miałem na myśli... Och, nieważne. Cieszę się, że cię widzę, młody satyrze. Chodzi o to, że mogłem podsłuchiwać iryfony Percy'ego i prześledzić sygnał. Iris i ja przyjaźnimy się od wielu stuleci. Poprosiłem ją, żeby dawała mi znać, jeśli pojawią się jakieś ważne komunikaty w okolicy. A potem nie trzeba było wiele, żeby namówić moich kuzynów do wyprawy na odsiecz. Jak widziałeś, centaury potrafią podróżować całkiem szybko, jeśli chcą. Odległości nie są dla nas takie same, jak dla ludzi.

Spojrzałem na ognisko, gdzie trzy imprezowe kucyki uczyły Tysona posługiwać się pistoletem do paintballu.

Miałem nadzieję, że wiedzą, w co się pakują.

- I co teraz? - spytałem Chejrona. - Pozwolimy Luke'owi odpłynąć? On ma na tym statku Kronosa. A przynajmniej jakieś kawałki.

Chejron przyklęknął, ostrożnie składając przednie nogi. Otworzył

sakiewkę z lekarstwami, którą miał przy pasie, i zaczął opatrywać moje rany.

- Obawiam się, Percy, że dziś to był swego rodzaju remis. Nie było nas wystarczająco wielu, żeby przejąć ten statek. A Luke nie był w stanie ruszyć za nami w pościg.

Nikt nie wygrał.

- Ale my mamy Runo! - powiedziała Annabeth. -

Clarisse właśnie wraca z nim do obozu.

Chejron przytaknął, ale wciąż wyglądał na zaniepokojonego.

- Jesteście wszyscy prawdziwymi herosami. A kiedy tylko opatrzę Percy'ego, musicie wrócić na wzgórze.

Centaury was zanoszą.

- Pan z nami pojedzie? - spytałem.

- Oczywiście, Percy. Z wielką ulgą wrócę do domu. Moi kuzyni tutaj w ogóle nie doceniają Deana Martina. A poza tym muszę pogadać z Panem D. No i trzeba wymyślić coś na resztę lata. Musimy ostro trenować. No i oczywiście chciałbym zobaczyć... bardzo jestem ciekaw tego Runa.

Nie do końca zrozumiałem, co miał na myśli, ale z niepokojem przypomniałem sobie, co powiedział Luke: Zamierzałem oddać ci Runo... jak już bym go użył.

Czy tylko kłamał? Przekonałem się już, że w przypa-dku Kronosa istnieją plany wewnątrz planów.

Władcę tytanów nie na darmo określa się mianem Przebiegłego. Potrafi naginać umysły ludzi, żeby wykonywali dla niego zadania, nie mając nawet najbledszego pojęcia

o jego prawdziwych zamiarach.

Przy ognisku Tyson wystrzelił z pistoletu do paint-ballu. Niebieski strumień trafił w jednego z centaurów, rzucając go do jeziora. Centaur

wy dostał się z wody promiennie uśmiechnięty, utaplany w bagiennym mule i niebieskiej farbie, i pokazał cyklopowi oba kciuki unie-sione w górę na znak zachęty.

- Annabeth - odezwał się Chejron - może ty i Grover powinniście rzucić okiem na poczynania Tysona i moich kuzynów, zanim, hmmm, nabędą od siebie nawzajem złych nawyków?

Annabeth popatrzyła mu prosto w oczy. W spojrzeniach, które wymienili, było jakieś dodatkowe porozumienie.

- Oczywiście, Chejronie - powiedziała. Chodź, kozłonogu.

- Nie lubię paintballu.

- Owszem, lubisz. - Pociągnęła Grovera za sobą ku ognisku.

Chejron skończył bandażować swoją nogę.

- Rozmawiałem z Annabeth po drodze, Percy. O przepowiedni.

Ojoj - pomyślałem.

- To nie jej вина - powiedziałem. - Zmusiłem ją, żeby mi to wyjawiała.

W jego oczach pojawiły się isierki poirytowania.

Byłem pewny, że zaraz mnie udusi, ale chwilę później irytację zastąpiło zmęczenie.

- Myślę, że nie mogłem wiecznie trzymać tego w tajemnicy.

- A zatem to o mnie chodzi w tej przepowiedni?

Chejron schował resztę bandażu do sakwy.

- Sam chciałbym to wiedzieć, Percy. Nie masz jeszcze szesnastu lat. Na razie musimy uczyć cię jak najlepiej, a przyszłość pozostawić Mojrom.

Mojry. Nie myślałem o tych trzech staruszkach od dłuższego czasu,

ale kiedy tylko Chejron o nich wspo-mniał, coś w mojej głowie zaskoczyło.

- A więc to o to chodziło - powiedziałem.

Chejron zmarszczył brwi.

- O co chodziło?

- Zeszłego lata. Znak otrzymany od Mojr, kiedy zoba-czyłem, jak przecinają czyjaś nic życia. Myślałem, że chodzi o to, że zaraz umrę, ale to jest znacznie gorsze.

To ma coś wspólnego z tą waszą wyrocznią. Ta śmierć, którą one przepowiadały... to się wydarzy jak ja skończę szesnaście lat.

Chejron machał nerwowo leżącym na trawie ogonem.

- Nie możemy mieć takiej pewności, chłopcze. Nie wiemy nawet, czy przepowiednia dotyczy ciebie.

- Ale nie ma innego dziecka Wielkiej Trójki!

- O którym byśmy wiedzieli.

- Kronos powstaje. I chce zniszczyć Olimp!

- Będzie próbował - przytaknął Chejron. - Będzie również usiłował zniszczyć naszą cywilizację, jeśli go nie powstrzymamy. Ale my go powstrzymamy. Nie będziesz osamotniony w tej walce.

Wiedziałem, że chciał mi poprawić samopoczucie, ale pamiętałem, co mi powiedziała Annabeth. W końcu będzie chodziło o jednego herosa. Jedną decyzję, która ocali lub pogrąży Zachód. Czułem w dodatku, że Mojry dały mi w związku z tym jakieś ostrzeżenie. Coś okropnego miało się przydarzyć albo mnie, albo komuś z moich bliskich.

- Jestem tylko dzieckiem, Chejronie - powiedziałem żałośnie. - Co może zdziałać jeden ofermowaty heros przeciw komuś takiemu jak Kronos?

Chejron zmusił się do uśmiechu.

- Co może jeden ofermowaty heros? Joshua Lawrence Chamberlain

zadał mi kiedyś podobne pytanie, a niedługo po tym niemal w pojedynkę zmienił dzieje naszej wojny secesyjnej.

Wyciągnął z kołczanu strzałę i ustawił jej ostry jak brzytwa grot tak, że połyskiwał w świeyle ogniska.

- Niebiański spiż, Percy. Broń nieśmiertelnych. Co się stanie jeśli trafisz nią śmiertelnika?

- Nic - odpowiedziałem. - Przejdzie na wylot, nie czyniąc szkód.

- Właśnie - przytaknął. - Ludzie nie egzystują na tym samym poziomie rzeczywistości co nieśmiertelni. Nasza broń nie może im nawet zrobić krzywdy. Ale ty, Percy...

ty jesteś po części bogiem, po części człowiekiem. Żyjesz w obu światach. Oba mogą ci zrobić krzywdę, ale i ty możesz wywrzec wpływ na oba. To czyni herosów wyjątkowymi. Niesiesz nadzieję ludzi do królestwa nieśmiertelnych. Potwory nigdy nie umierają. Powstają na nowo z chaosu i barbarzyństwa, które zawsze kotłują się pod powierzchnią cywilizacji, stanowiąc dokładnie to, co daje Kronosowi potęgę. Trzeba je w kółko pokonywać albo utrzymywać na odległość. Herosi uosabiają te wa-lkę. To wy toczycie bitwy, które ludzkość musi wygrać w każdym pokoleniu, aby pozostać ludźmi.

Rozumiesz o czym mówię?

- N-nie wiem.

- Musisz spróbować, Percy. Ponieważ niezależnie od tego, czy jesteś dzieckiem z przepowiedni, czy też nie, Kronos uważa, że możesz nim być. A po dzisiejszych wydarzeniach przestanie się łudzić, że zdoła przeciągnąć cię na swoją stronę. To był jedyny powód, dla którego jeszcze cię nie zabił, jak wiesz. Jeśli będzie pewny, że nie zdoła się tobą posłużyć, zniszczy cię.

- Mówi pan tak, jakby go pan znał.

Chejron zacisnął usta.

- Bo go znam.

Wlepiłem w niego wzrok. Czasami zapominam, jak bardzo stary jest Chejron.

- Czy to dlatego Pan D. oskarżył pana o otrucie drzewa? Dlatego mówił pan, że niektórzy panu nie ufają?

- Owszem.

- Ale, Chejronie... To znaczy, jak to? Dlaczego oni wszyscy myślą, że mógłby pan w ogóle zdradzić obóz dla Kronosa?

Oczy centaura pociemniały, był w nich smutek wielu tysięcy lat.

- Przypomnij sobie, Percy, to, czego się nauczyłeś.

Przypomnij sobie mitologię. Co mnie łączy z królem tytanów?

Usiłowałem coś wymyślić, ale mitologia zawsze mi się mieszała. Nawet teraz, kiedy stała się taka realna, taka ważna w moim własnym życiu, miałem kłopoty z opano-waniem wszystkich tych imion i faktów.

Potrząsnąłem bezradnie głową.

- Jest pan mu winien jakąś przysługę? Uratował panu życie?

- Percy - powiedział Chejron niewiarygodnie cicho. -

Tytan Kronos jest moim ojcem.

R O Z D Z I A Ł XIX

WYBUCHOWY FINAŁ WYŚCIGU RYDWANÓW

Dzięki podróżniczym umiejętnościom centaurów przybyliśmy na Long Island niedługo po Clarisse.

Jechałem na grzbiecie Chejrona, ale nie rozmawialiśmy dużo, zwłaszcza o Kronosie. Wiedziałem, że to wyznanie nie przyszło mu łatwo. A ja nie chciałem zadrećzać go dodatkowo wymi pytaniami. To znaczy widziałem już w życiu wielu żenujących rodziców, ale złowrogi Kronos, król tytanów, który planował zniszczenie Zachodniej cywilizacji? Nie wyobrażałem sobie takiego tatusia w szkole na wywiadówce.

Kiedy dotarliśmy do obozu, kuzyni Chejrona nie mogli się doczekać spotkania z Dionizosem. Słyszeli, że ma on zwyczaj urządzać wyjątkowo dzikie imprezy, ale się zawiedli. Bóg wina nie był w nastroju do zabaw, ponieważ cały obóz zgromadził się na szczycie Wzgórza Herosów.

Przeżyli tu niełatwe dwa tygodnie. Pracownia sztuk pięknych została spalona do szczytu podczas ataku potwora o nazwie Draco Aionius (co o ile dobrze zrozumiałem, znaczy po łacinie mniej więcej "wielki jaszczur, który wysadza wszystko w powietrze oddechem"). Pokoje Wielkiego Domu były pełne rannych.

Obozowicze z domku Apollina, którzy byli najlepszymi uzdrowicielami, pracowali dniem i nocą, udzielając pierwszej pomocy. Wszyscy zebrani wokół sosny Thalii wyglądali na zmęczonych i pokiereszowanych.

W chwili gdy Clarisse owinęła Złotym Runem najniższy konar, światło księżyca jakby pojaśniało, zmieniając się z szarawej poświaty w płynne srebro. W

gałęziach i w trawie zaszumiała lekka bryza, która następnie prze-mknęła przez całą dolinę. Wszystko stało się jakby wy-raźniejsze: błyski świetlików w lesie, zapach truskawek na polach, szum fal na plaży. Igły sosny zaczęły stopnio-wo zmieniać barwę z brązowej na zieloną.

Wszyscy krzyczeli z radości. Działo się to powoli, ale nie było żadnych wątpliwości: magia Runa przenikała drzewo, wypędzając truciznę i wypełniając je nową mocą.

Chejron zarządził całodobowe warty na wzgórzu, w każdym razie do czasu, kiedy znajdzie odpowiedniego potwora, żeby strzegł Runa. Powiedział, że natychmiast zamieści ogłoszenie w "Tygodniku Olimpijskim".

Clarisse tymczasem została zanesiona na ramionach przez swoich towarzyszy z domku do teatru, gdzie ukoronowano ją wieńcem laurowym i odbyło się wielkie świętowanie przy ognisku.

Nikt nie zwracał uwagi na mnie ani na Annabeth.

Jakbyśmy nie wyjeżdżali. W pewnym sensie było to naj-lepsze podziękowanie, jakie mogliśmy otrzymać, ponie-waż gdyby przyznali, że wymknęliśmy się z obozu na misję, musieliby nas wyrzucić. A poza tym wcale nie po-trzebowałem więcej uwagi. Miło byc wreszcie zwyczaj-nym obozowiczem.

Później tego samego wieczoru, kiedy piekliśmy kiel-baski i słuchaliśmy straszliwej opowieści braci Hood o złym królu, który został pożarty żywcem przez demoni-czne bułeczki śniadaniowe. Clarisse klepnęła mnie po plecach i szepnęła mi do ucha:

- Nie wyobrażaj sobie, Jackson, że raz zachowałeś się jak należy i natychmiast skończyły się twoje kłopoty z Aressem. Nadal będę czekać na okazję, żeby cię zetrzec w proch.

Posłałem jej niechętny uśmiech.

- Co? - zapytała zaczepnie.

- Nic - odpowiedziałem. - Miło byc znów w domu.

Następnego ranka kiedy imprezowe kucyki odjechały z powrotem

na Florydę, Chejron wydał niespodziewane ogłoszenie: wyścigi rydwanów miały się odbyć zgodnie z rozkładem. Wyobrażaliśmy sobie wszyscy, że po odejściu Tantala przejdą do historii, ale dokończenie ich wyda-wało się właściwe, zwłaszcza teraz, kiedy Chejron wrócił, a obóz był bezpieczny.

Tyson nie miał wielkiej ochoty wsiadac znów do rydwanu po poprzednich doświadczeniach, więc z ochotą przystał na to, żebym stworzył zespół z Annabeth. Ja miałem prowadzić, Annabeth nas bronic, a mój brat miał

być naszą obsługą techniczną. Kiedy zajmowałem się końmi, Tyson naprawił rydwan Ateny, dodając mnóstwo modyfikacji.

Dwa kolejne dni upłynęły nam na szalonym treningu.

Ustaliliśmy, że jeśli wygramy, to nagroda polegająca na zwolnieniu przez miesiąc z prac domowych zostanie rozdzielona między nasze dwa domki. Ponieważ Atena miała więcej obozowiczów, mieli oni dostać większość wolnego czasu, co jak dla mnie było okej. Nie zależało mi na nagrodzie. Chciałem tylko wygrać.

Wieczorem przed wyścigiem zatrzymałem się na dłużej w stajni. Rozmawiałem z naszymi końmi, czysz-cząc je jeszcze i wyczesując, kiedy tuż za mną odezwał się głos:

- Konie to wspaniałe zwierzęta. Szkoda, że ich nie wymyśliłem.

O drzwi do stajni opierał się mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur jakiejś firmy przesyłkowej. Był

szczupły, spod białego korkowego hełmu wymykały się czarne kędzierzawe włosy, a przez ramię miał prze-wieszoną torbę.

- Her-mes? - wyjąkałem.

- Witaj, Percy. Nie poznałeś mnie bez stroju biegacza?

- No... - Nie bardzo wiedziałem czy powinienem przy-kłęknąć,

kupic znaczki czy coś. Nagle przyszedł mi do głowy prawdopodobny powód jego wizyty. - Och, Panie Hermesie, jeśli chodzi o Luke'a...

Bóg uniósł brwi.

- Znaczy się, spotkaliśmy się z nim, owszem - mówiłem - ale...

- Nie udało wam się go przekonać do odzyskania rozumu?

- Szczerze mówiąc, skończyło się tym, że usiłowaliśmy się pozabijać w pojedynku na śmierć i życie.

- Rozumiem. Próbowaleś podejść do tego dyplomatycznie.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Bo wiesz dałeś nam te wspaniałe prezenty i wszystko. I wiem, że chciałbyś, żeby Luke powrócił. Ale... on zrobił się zły. Naprawdę zły. Mówi, że ma wrażenie, że go opuściłeś.

Spodziewałem się gniewu Hermesa. Wyobrażałem sobie, że zamieni mnie w chomika albo coś takiego, a nie miałem ochoty na kolejne doświadczenie w skórze gryzonia.

On jednak tylko westchnął.

- Czy ty kiedykolwiek masz wrażenie, że twój ojciec cię opuścił, Percy?

A niech to.

Miałem ochotę odpowiedzieć: "Jakieś kilkaset razy dziennie?". Nie rozmawiałem z Posejdona od zeszłego lata. Nigdy nie byłem w jego podwodnym pałacu. No i cała ta sprawa z Tysonem: żadnego ostrzeżenia, żadnych wyjaśnień. Po prostu: bum, masz braciszka. Można by pomyśleć, że zasłużyłem na jakieś uprzedze- nie przez telefon czy coś.

Im bardziej o tym myślałem, tym większy gniew mnie ogarniał. Uświadomiłem sobie, że chciałbym jakiegoś uznania za to, czego dokonałem, ale nie od innych obozowiczów. Chciałem, żeby mój ojciec coś powiedział.

Żeby mnie zauważył.

Hermes poprawił torbę na ramieniu.

- Najtrudniejsze w byciu bogiem, Percy, jest to, że często trzeba działać przez pośredników, zwłaszcza kiedy chodzi o własne dzieci. Gdybyśmy mieli interweniować za każdym razem, kiedy nasze dzieci mają problemy... no cóż, to tylko wywołałoby kolejne kłopoty i urazy. Ale jestem przekonany, że gdybyś nad tym pomyślał, zobaczyłbyś, że Posejdon zwraca na ciebie uwagę.

Odpowiedział na twoje prośby. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia Luke zrozumie to samu w odniesieniu do mnie. Niezależnie od tego, czy ci się udało, czy nie, przypomniawszy Luke'owi kim jest. Porozmawiałeś z nim.

- Usiłowałem go zabić.

Hermes wzruszył ramionami.

- Układy rodzinne są zawsze skomplikowane, a układy rodzinne nieśmiertelnych są nieskończenie skomplikowane. Czasami jedynym, co możemy zrobić, jest przypominanie komuś o pokrewieństwie na dobre i na złe... i utrzymywanie wzajemnego ranienia się i zabijania na jak najniższym poziomie.

Nie brzmiało to jak przepis na rodzinę doskonałą. Ale kiedy pomyślałem o ostatnich przygodach, uznałem, że Hermes miał chyba rację. Posejdon przysłał mi z pomocą hipokampy. Dał mi władzę nad morzem, o którą siebie nigdy nie podejrzewałem. No i jeszcze był Tyson. Czy Posejdon celowo postawił nam siebie wzajemnie na drodze? Ile razy Tyson uratował mi tego lata życie?

W oddali zabrzmiał dźwięk konchy, ogłaszający godzinę snu.

- Powinieneś się położyć - powiedział Hermes. - Tego lata i tak wpakowałem cię już w tarapaty. A prawdę mówiąc, przybyłem tu z przesyłką.

- Z przesyłką?

- Jestem posłańcem bogów, Percy. - Wyciągnął z torby elektroniczne urządzenie do podpisywania potwierdzeń i podał mi je. - Podpisz tutaj, proszę.

Wzięłem do ręki rysik, nie zdając sobie sprawy, że oplatają go dwa maleńkie zielone węże.

- Aj! - Upuściłem urządzenie.

Au! - powiedział Greg.

Doprawdy, Percy - upomniwała mnie Marta. - Czy ty chciałbyś, żeby ktoś tobą rzucał o podłogę w stajni?

- Oj, yyy, przepraszam - Nie przepadałem za dotyka-niem węży, ale wzięłem z powrotem do ręki urządzenie i rysik. Marta i Greg wili się pod moimi palcami, tworząc coś w rodzaju uchwytu na długopis, którego musiałem używać w drugiej klasie na polecenie reedukatora.

Przywiozłeś mi szczura? - spytał Greg.

- Nie... - odpowiedziałem. - Nie znalazłem żadnego.

Mogłaby być świnka morska.

Greg! - zbeształa go Marta. - Nie drocz się z chłopakiem!

Podpisałem i oddałem urządzenie Hermesowi.

W zamian dostałem od niego kopertę w morskim kolorze.

Palce mi drżały. Zanim jeszcze otworzyłem przesyłkę, miałem pewność, że pochodzi od mojego ojca.

Wyczuwa-łem jego moc w tym pięknym niebieskim kolorze, jakby sama koperta była zrobiona z morskiej fali.

- Powodzenia jutro - powiedział Hermes. - Masz pięknie konia, ale wybaczysz mi, mam nadzieję, jeśli będę trzymał kciuki za domek Hermesa.

I nie zniechęcaj się, gdy to przeczytasz - zwróciła się do mnie Marta. - On naprawdę ma na uwadze twoje dobro.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

Nie przejmuj się - powiedział Greg. - A następnym razem pamiętaj o napiwku dla węży.

- Dosyc, wy dwoje - powiedział Hermes. - Do zobaczenia, Percy. Na razie.

Na jego korkowym hełmie wyrosły niewielkie skrzydeł-ka. Jego sylwetkę otoczyła jaśniejąca poświata, a ja wiedziałem już dość o bogach, żeby odwrócić wzrok, zanim ukazał swą prawdziwą boską formę. Znikł w oślepiającym rozblasku białego światła i pozostałem sam z końmi.

Wpatrywałem się w niebieską kopertę trzymaną w ręce. Była zaadrasenowana do mnie tym samym zdecydowanym, eleganckim pismem, który już raz widziałem na paczce od Posejdona przysłanej mi zeszłego lata.

Percy Jackson
zamieszkały pod adresem
Obóz Herosów
Farm Road 3141
Long Island, Nowy Jork 11954

Autentyczny list od mojego ojca. Może napisał, że świetnie się spisałem z tym Runem? Może wyjaśnia, o co chodzi z Tysonem, albo przeprasza, że się wcześniej nie odzywał? Było tyle rzeczy, które chciałem znaleźć w tym liście.

Otworzyłem kopertę i rozłożyłem kartkę.

Na samym środku były wypisane dwa słowa: Bądź dzielny.

Następnego ranka wszyscy rozmawiali tylko o wyścigach, aczkolwiek każdy co rusz spoglądał w niebo, jakby spodziewał się kolejnego nalotu ptaków stymfa-lijskich. Ale żaden potwór się nie

pojawił. Był

piękny letni dzień z niebieskim niebem i mnóstwem słońca. Obóz wracał powoli do swojego zwyczajnego wyglądu:

łąki były zielone, trawa bujna, kolumny budynków lśniły bielą, driady bawiły się wesoło w lesie.

A ja czułem się nieszczęśliwy. Nie spałem przez całą noc, rozmyślając o ostrzeżeniu otrzymanym od Posejdona.

Bądź dzielny.

Zastanawiałem się, dlaczego on sobie zadaje trud wysłania listu tylko po to, żeby napisać dwa słowa?

Wężyca Marta powiedziała mi, że nie powinienem czuć rozczarowania. Może Posejdon miał jakiś powód, żeby wyrazić się tak ogólnikowo? Może nie wiedział, przed czym konkretnie mnie ostrzega, ale czuł, że zbliża się jakieś ważne wydarzenie... coś, co może kompletnie zważyć mnie z nóg, jeśli nie będę przygotowany? Nie było mi łatwo, ale usiłowałem skupić całą uwagę na wyścigu.

Kiedy wraz z Annabeth wyjeżdżaliśmy na tor, nie mogłem się nadziwić ulepszeniom, które Tyson wprowadził w rydwanie Ateny. Wóz błyszczał od spiżowych wzmocnień. Koła dostały dodatkowe magiczne zawieszenie, toteż jechaliśmy gładko nawet po wybojach. Końska uprzęż była tak doskonale wyważona, że zwierzęta reagowało na najłżejsze pociągnięcie wodzy.

Tyson wyprodukował dla nas również dwa oszczepy, każdy z trzema przyciskami na drzewcu. Pierwszy z nich sprawiał, że oszczep otwierał się przy zetknięciu z celem, wypuszczając drut kolczasty, którego zadaniem było opleść i roztrzaskać koła wozu współzawodnika. Drugi uwalniał tępy grot włóczni (uderzenie i tak tylko bolesne), który miał zepchnąć woźnicę z rydwanu. Trzeci wyzwalał hak, dzięki któremu można było uczepić się rydwanu przeciwnika lub też go

odepchnąć.

Moim zdaniem byliśmy świetnie przygotowani do wyścigu, ale Tyson i tak zaklinał mnie, żebyśmy byli ostrożni. Inne zespoły też przygotowały mnóstwo sprytnych sztuczek i trzymały sporo asów w fałdach chlamid.

- Masz - powiedział do mnie tuż przed rozpoczęciem wyścigu.

Podał mi zegarek na rękę. Nie było w nim nic szczególnego - ot, średnio-biała tarcza i czarny skórzany pasek - ale gdy tylko go zobaczyłem, domyśliłem się, nad czym Tyson tak majsterkował przez całe lato.

Nie przepadałem za noszeniem zegarków. Kogo obchodzi, która jest godzina? Ale nie potrafiłbym mu odmówić.

- Dzięki, chłopie - Założyłem zegarek i stwierdziłem, że jest zaskakująco lekki i wygodny. Ledwie zauważyłem, że mam go na ręce.

- Nie zdążyłem go wykończyc na wyprawę -

wymam-rotął Tyson. - Bardzo cię przepraszam.

- Daj spokój, chłopie. Nic się nie stało.

- Jeśli będziesz potrzebował wsparcia w czasie wyścigu

- poradził - naciśnij tutaj.

- Aha, okej. - Nie bardzo wiedziałem, dlaczego kontrola czasu ma mi tak bardzo pomóc, ale jego zaangażowanie było wzruszające.

Obiecałem mu, że będę pamiętał o zegarku. - No i wiesz, Tyson...

Spojrzał na mnie.

- Chciałem powiedzieć, no... - Usiłowałem wymyślić, jak przeprosić go za to, że przed wyprawą wmawiałem wszystkim, że on nie jest moim prawdziwym bratem.

Niełatwo było mi znaleźć słowa.

- Wiem co chcesz mi powiedzieć - oznajmił Tyson, czerwieniąc się ze wstydu. - Posejdon jednak się o mnie troszczył.

- Yyy, no...

- Wysłał mi ciebie na pomoc. Dokładnie wtedy, kiedy potrzebowiałem.

Zamrugałem oczami.

- Prosiłeś Posejdona... o mnie?

- O przyjaciela - wyjaśnił, miętosząc w palcach brzeg koszulki. - Młodzi cyklopi dorastają samotnie na ulicach, uczą się robic różne rzeczy ze złomu. Uczą się, jak przeżyć.

- Ależ to okrutne!

Pokręcił z zapalem głową.

- To nas uczy doceniać drobne zdarzenia, nie być chciwymi i złymi jak Polifem. Ale ja się przestraszyłem.

Potwory strasznie mnie ścigały, czasem łapały pazurami...

- Te blizny na twoich plecach?

W jego oku pojawiła się łza.

- To sfinks na 72. ulicy. Wielki jak byk. Pomodliłem się do Tatusia o pomoc. I niedługo potem znaleźli mnie ludzie z Meriwether. I spotkałem ciebie. To najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Przepraszam, że mówiłem źle o Posejdonie. Przysłał mi brata.

Gapilem się na zegarek подарowany mi przez Tysona.

- Percy! - zawołała Annabeth. - Chodź już!

Chejron stał już na linii startowej, gotów zadać w konchę.

- Tyson... - powiedziałem.

- Idź - odparł. - Wygracie!

- No... tak, dobra, wielkoludzie. Wygramy ten wyścig dla ciebie.

Wspiałem się na rydwan i ustawiłem na linii dokładnie w chwili, kiedy Chejron dał znak do startu.

Konie wiedziały, co mają robić. Popędziliśmy torem tak szybko, że wypadłbym, gdybym nie trzymał w rękach skórzanych lejców. Annabeth

chwyciła się mocno pop-rzeczki. Koła kręciły się gładko i bez zarzutu.

Zaliczy-liśmy pierwsze okrążenie, wyprzedając o długość rydwan Clarisse, która była zajęta odpieraniem oszcze-powych ataków ze strony braci Hoodów z zaprzęgu Hermes.

- Mamy ich! - zawołałem, ale nieco za wcześnie.

- Uwaga! - krzyknęła Annabeth.

Rzuciła pierwszy z oszczepów w trybie haka, strącając obciążoną ołowiem sieć, która miała unieruchomic nas oboje. Z boku pojawił się rydwan Apollina. Zanim Annabeth zdążyła sięgnąć po kolejny pocisk, wojownik Apollina rzucił w nasze prawe koło oszczepem, który poszedł w drzazgi, wcześniej jednak pogruchotał kilka naszych szprych. Rydwan przechylił się i zachwiał.

Byłem przekonany, że koło rozpadnie się całkowicie, ale jakoś udało nam się jechać dalej.

Poganiałem konie, żeby nie traciły szybkości.

Gnali-śmy teraz łeb w łeb z Apollinem, a Hefajstos doganiał nas. Ares i Hermes pozostali w tyle, jadąc zaprzęg w zaprzęg, odkąd Clarisse starła się miecz na oszczep z Connorem Hoodem.

Jeśli oberwalibyśmy jeszcze raz w koło, musielibyśmy się wywrócić.

- Mamy was! - krzyknął woźnica Apollina. Był to pierwszorocznik. Nie pamiętałem, jak miał na imię, ale najwyraźniej był bardzo pewny siebie.

- Ta, jasne ! - odkrzyknęła do niego Annabeth.

Uniosła drugi z naszych oszczepów - co było sporym ryzykiem, zważywszy, że zostało nam jeszcze jedno pełne okrążenie - cisnęła nim w woźnicę Apollina.

Miała doskonały cel. Oszczep wypuścił ciężki grot w chwili, gdy uderzył woźnicę w klatkę piersiową, przewracając go na towarzysza i wyrzucając ich obu z rydwanu eleganckim saltem w tył. Konie poczuły

brak napięcia w lejcach i zupełnie oszalały, wjeżdżając prosto w tłum. Widzowie rozpięchli się w poszukiwaniu schronienia, kiedy zwierzęta wskoczyły na trybuny, a złoty rydwan się przewrócił. Rumaki pognały w końcu w kierunku stajni, wlokąc za sobą wywrócony pojazd.

Mnie udało się utrzymać nasz rydwan w jednym kawałku przez całe drugie okrążenie, mimo że prawe koło dość skrzypiało. Mineliśmy linię startową i rozpoczęliśmy ostatni odcinek.

Oś trzeszczała i stękała. Z powodu poluzowanego koła straciliśmy prędkość, mimo że konie słuchały każdego mojego polecenia, pracując jak doskonale naoliwiona maszyna.

A zespół Hefajstosa wciąż nas doganiał.

Beckendorf uśmiechał się, naciskając coś na swojej desce rozdzielczej. Z brzuchów jego mechanicznych koni wystrzeliły stalowe linki, owijając się wokół naszej tylnej barierki. Nasz rydwan zadrżał, kiedy ruszyła wciągarka Beckendorfa, ciągnąc nas w tył a jego do przodu.

Annabeth zaklęła i wyciągnęła swój sztylet. Zaczęła walczyć z linami, ale najwyraźniej były za mocne.

- Nie przetnę tego! - krzyknęła.

Rydwan Hefajstosa był już niebezpiecznie blisko, ich konie lada moment mogły nas zdeptać.

- Zamień się ze mną! - powiedziałem Annabeth. -

Trzymaj lejce!

- Ale...

- Zaufaj mi!

Przesunęła się na przód rydwanu i chwyciła lejce, a ja się odwróciłem i starając się nie stracić równowagi, wyciągnąłem Orkana.

Uderzyłem i liny pękły niczym sznurki latawca.

Skoczyliśmy do przodu ale woźnica Beckendorfa zjechał

tylko nieco na lewo i wyrównał z nami. Beckendorf wyciągnął miecz. Zamachnął się na Annabeth, ale odparowałem jego cios.

Zbliżał się koniec ostatniego okrążenia. Nie mieliśmy żadnych szans. Potrzebowałem uszkodzić i wyeliminować rydwan Hefajstosa, ale musiałem też osłaniać Annabeth. To, że Beckendorf był sympatycznym chłopakiem, wcale nie oznaczało, że nie wyśle nas obojga do szpitala, jeśli pozwolimy sobie na chwilę nieuwagi.

Gnaliśmy teraz łeb w łeb, a z tyłu goniła nas Clarisse nadrabiająca straty.

- Do zobaczenia, Percy! - krzyknął Beckendorf. - Masz tu mały prezent pożegnalny!

Wrzucił nam do rydwanu niewielki woreczek, który natychmiast przykleił się do podłogi i zaczął wypuszczać kłęby zielonego dymu.

- Grecki ogień! - jęknęła Annabeth.

Zakląłem. Słyszałem opowieści o greckim ogniu.

Uznałem, że mamy jakieś dziesięć sekund, zanim wybuchnie.

- Pozbądź się go! - wrzeszczała Annabeth, ale nie byłem w stanie oderwać sakiewki od rydwanu.

Rydwan Hefajstosa jechał wciąż równo z nami, czekając do ostatniej chwili, aby mieć pewność, że ich prezencik wybuchnie. Beckendorf cały czas zajmował

mnie walką na miecze. Gdybym przerwał szermierkę na chwilę dostatecznie długą, żeby zająć się greckim ogniem. Annabeth zostałaby zaatakowana i tak czy siak byśmy się rozbili. Usiłowałem wykopać sakiewkę stopą, ale się nie dało. Bardzo mocno się przyczepiła.

W tej samej chwili przypomniałem sobie o zegarku.

Nie wiedziałem, jak miałyby mi pomóc, ale udało mi się nacisnąć przycisk stopera. Zegarek natychmiast zmienił

wygląd. Powiększył się, jego metalowa oprawa rozwijała się

spiralnie niczym migawka w staroświeckim aparacie fotograficznym, a skórzany pasek owinał mi się o ramię, i chwilę później byłem uzbrojony w okrągłą tarczę bojową o średnicy nieco ponad metra, wyłożoną od środka miękką skórą, a od zewnątrz wykonaną ze lśniącego spiżu ozdobionego wzorami, którym nie miałam czasu bliżej się przyjrzec.

Wiedziałem jedno: Tyson stanął na wysokości zadania.

Uniosłem tarczę, a miecz Beckendorfa odbił się od niej z brzękiem. Jego głownia rozpadła się na kawałki.

- Co? - krzyknął. - Jak...

Nie miał czasu, żeby powiedzieć cokolwiek więcej, ponieważ popchnąłem ją moją nową tarczą i wyrzuciłem z rydwanu w piach.

Miałem właśnie ciąć Orkanem woźnicę, kiedy usłyszałem wrzask Annabeth.

- Percy!

Grecki ogień sypał już iskrami. Wsunąłem czubek miecza pod skórzany woreczek i przerzuciłem go jak szpatułką. Bomba ogniowa skoczyła i spadła w sam środek rydwanu Hefajstosa, prosto pod nogi woźnicy.

Ten wrzasnął.

W ułamku sekundy woźnica podjął właściwą decyzję: wyskoczył z rydwanu, który skręcił gwałtownie w bok i eksplodował zielonym ogniem. Metalowe konie jakby dostały zwarcia. Obróciły się i pociągnęły płonący wrak pod prąd ku Clarisse i braciom Hood, którzy musieli zjechać na bok, żeby je ominąć.

Annabeth pociągnęła za lejce, wchodząc w ostatni zakręt. Byłem pewny, że teraz się przewrócimy, ale jakoś udało jej się utrzymać równowagę i chwilę później popędziła konie przez linie mety. Tłum wiwatował.

Kiedy rydwan się zatrzymał, otoczyli nas przyjaciele.

Zaczęli wykrzykiwać nasze imiona, ale Annabeth prze-krzyczała

ten wrzask.

- Cicho! Słuchajcie! To nie tylko nasza zasługa!

Tłum wcale nie chciał się uciszyć, ale Annabeth nie dawała za wygraną.

- Nie poradzilibyśmy sobie bez pomocy jeszcze jednej osoby. Nie wygralibyśmy tego wyścigu, ale też nie zdobylibyśmy Runa i nie uratowalibyśmy Grovera i tak dalej! Zawdzięczamy życie Tysonowi, który jest...

- Moim bratem - powiedziałem dość głośno, żeby wszyscy słyszeli.

- Tyson jest moim małym braciszkiem.

Tyson się zarumienił. Tłum wiwatował. Annabeth pocałowała mnie w policzek, co wywołało jeszcze głośniejsze okrzyki. Wszyscy mieszkańcy domku Ateny wzięli mnie, Annabeth i Tysona w ramiona i ponieśli nas ku podium, gdzie oczekiwał Chejron z wieńcami laurowymi.

R O Z D Z I A Ł XX

MAGIA RUNA DZIAŁA ZBYT DOBRZE

Było to jedno z najszcześniejszych popołudni, jakie spędziłem na obozie, co zapewne stanowi potwierdzenie tezy, że nigdy nie wiadomo, kiedy świat rozpadnie się na kawałki.

Grover oznajmił, że zostanie z nami przez resztę lata, zanim ruszy ponownie na poszukiwanie Pana. Jego szefowie z Rady Starszych Kopytnych byli pod takim wrażeniem jego osiągnięć (nie dał się zabić i przetrwał

drogę dla przyszłych poszukiwaczy), że otrzymał od nich dwa miesiące urlopu i nowe piszczałki z trzciny. Miało to również złą stronę: Grover upierał się przy graniu na tych piszczałkach całymi popołudniami, a jego muzyczne zdolności nie poprawiły się znacząco. Grał na przykład YMCA, a krzaczki truskawek dostawały szału i owijały się wokół naszych stóp, jakby usiłowały nas udusić. Sęk w tym, że wcale im się nie dziwiłem.

Grover oznajmił mi również, że jest w stanie przerwać to empatyczne połączenie między nami, jak już się spotkaliśmy, ale powiedziałem mu, że jeśli nie ma nic przeciwko temu, wolałbym je utrzymać. Odłożył swoje piszczałki i wlepił we mnie wzrok.

- Ale jeśli ja znów wpakuję się w tarapaty, to ty będziesz w niebezpieczeństwie, Percy. Możesz nawet umrzeć!

- Jeśli znów wpakujesz się w tarapaty, to ja chcę o tym wiedzieć. I przybędę ci znów na pomoc, koziołku. Nie zgadzam się na nic innego.

W końcu zgodził się nie likwidować tego połączenia. I wrócił do wygrywania starych szlagierów truskawkom.

Nie musiałem łączyć się telepatycznie z roślinami, żeby wiedzieć, co o tym myślą.

Później po treningu łuczniczym, Chejron odciągnął mnie na bok i powiedział, że zatuszował moje problemy w Meriwether. Szkoła nie oskarżała mnie już o zniszczenie sali gimnastycznej a policja także mnie

nie szukała.

- Jak panu się to udało? - zapytałem.

Oczy Chejrona rozbłysły.

- Przekonałem ich po prostu, że ich śmiertelne oczy widziały tego dnia coś zupełnie innego... wybuch pieca, z którym nie miałeś nic wspólnego.

- Powiedział im pan i oni to, ot tak, kupili?

- Pokombinowałem co nieco przy Mgle. Kiedyś, jak będziesz gotowy, pokażę ci, jak to się robi.

- Czy to znaczy, że mogę w przyszłym roku wrócić do Meriwether?

Chejron uniósł brwi.

- Oh, nie, oni i tak cię wyrzucili. Twój dyrektor, pan Bonsai, powiedział, że... Jak on to ujął? Masz niedobłą karmę, która rozbija edukacyjną aurę szkoły. Ale nie jesteś w żadnym konflikcie z prawem, co stanowi sporą ulgę dla twojej mamy. Aha, skoro już mowa o twojej mamie...

Odpiął swój telefon komórkowy od kołczanu i podał mi go.

- Najwyższy czas, żebyś do niej zadzwonił.

Najtrudniejszy był sam początek. To całe "Percy - Jacksonie - co - ty - sobie - wyobrażasz - czy - ty - wiesz - jak - ja - się - martwiłam - żeby - tak - wymknąć - się - do

- obozu - bez - pozwolenia - na- niebezpieczną - misję - i - wystraszyć - mnie - na - śmierć" - i tak dalej.

Ale w końcu urwała, żeby zaczerpnąć oddechu.

- Ale się cieszę, że jesteś cały i zdrowy!

To właśnie jest cudowne w mojej mamie. Nie umie się naprawdę gniewać. Usiłuje, ale to nie leży w jej naturze.

- Przepraszam, mamó - powiedziałem. - Nigdy więcej cię nie wystraszę.

- Nie obiecuj mi tego, Percy. Wiesz doskonale, że będzie tylko gorzej. - Usiłowała nadac swojemu głosowi obojętne brzmienie, ale wiedziałem, że jest roztrzęsiona.

Chciałem powiedzieć coś, dzięki czemu poczułaby się lepiej, ale wiedziałem, że miała rację. Jako osoba półkrwi zawsze będę robił rzeczy, które napawają mnie przerażeniem. A w miarę jak będę dorastał, niebezpieczeństwa staną się tylko groźniejsze.

- Mogę przyjechać na chwilę do domu - zaproponowałem.

- Nie, nie. Zostań na obozie. Ucz się. Rób, co trzeba.

Ale wrócisz do domu na następny rok szkolny?

- Tak, oczywiście. To znaczy, jeśli znajdzie się jeszcze szkoła, która mnie przyjmie.

- Och, na pewno coś znajdziemy, kochanie -

powiedziała z westchnieniem mama. - Musi być jakieś miejsce, gdzie jeszcze nas nie znają.

Co do Tysona, obozowicze traktowali go jak bohatera.

Bardzo bym się cieszył, gdyby pozostał moim współlokatorem w domku na zawsze, ale tego wieczoru, kiedy siedzieliśmy na piaskowej wydmy nad zatoką Long Island, powiedział mi coś, co całkowicie mnie zaskoczyło.

- Miałem sen od taty zeszłej nocy - oznajmił. - Chce, żebym go odwiedził.

Zastanawiałem się, czy sobie żarty stroi, ale on nie bardzo umiał

żartować.

- Posejdon przysłał ci wiadomość we śnie?

Tyson przytaknął.

- Chce, żebym resztę lata spędził pod wodą. Nauczył się pracy w kuźniach cyklopów. Mówi, że to pra... prat...

- Praktyki?

- Tak.

Potrzebałem dłuższej chwili, żeby się z tym pogodzić.

Przyznaję, poczułem lekkie ukłucie zazdrości.

Posejdon nigdy nie zaprosił mnie pod wodę. A potem przyszła druga myśl: Tyson odejdzie? Tak po prostu?

- Kiedy odchodzisz? - spytałem.

- Zaraz.

- Zaraz? To znaczy... teraz zaraz?

- Teraz.

Wpatrywałem się w fale zatoki Long Island. Woda połyskiwała czerwienią zachodu słońca.

- Cieszę się z tobą, wielkoludzie - wydusiłem z siebie w końcu. - Naprawdę.

- Ciężko mi się rozstawać z moim nowym bratem -

powiedział Tyson drżącym głosem. - Ale chcę coś zrobić.

Broń dla obozu. Będziecie tego potrzebować.

Wiedziałem, niestety, że miał rację. Runo nie rozwiąże wszystkich problemów obozu. Luke jest wciąż na wolności i zbiera armię na pokładzie "Księżniczki Andromedy". Kronos odradza się w swojej złotej trumnie. W końcu trzeba będzie stawic im czoła.

- Wyprodukujesz najlepszą broń jaka kiedykolwiek istniała - powiedziałem Tysonowi, unosząc z dumą zegarek - Załóżę się, że będzie też podawała bardzo dobry czas.

Tyson pociągnął nosem.

- Bracia powinni sobie pomagać.

- Jesteś moim bratem - powiedziałem. - Nie ma co do tego wątpliwości.

Poklepał mnie po plecach tak mocno, że niemal wbił mnie w wydmnę. Następnie otarł łzę z policzka i wstał, gotując się do drogi.

- Używaj tej tarczy jak należy.

- Oczywiście, wielkoludzie.

- Kiedyś uratuje ci życie.

Sposób, w jaki to powiedział, tak absolutnie mimochodem, sprawił, że zastanowiłem się, czy przypadkiem oczy cyklopów nie zaglądają w przyszłość.

Zszedł po plaży ku linii wody i zagwizdał. Hipokamp o imieniu Tęczuś wyskoczył spomiędzy fal. Patrzyłem, jak odjeżdżają razem w kierunku królestwa Posejdona.

Kiedy znikli spojrzałem na mój nowy zegarek.

Nacisnąłem stoper i tarcza rozwinęła się spiralnie do pełnych rozmiarów. W spiżu wyryte były obrazy w greckim stylu: sceny z naszych przygód tego lata. Była tam Annabeth zabijająca lajstrygońskiego zawodnika w zbijanego, ja walczący ze spiżowymi bykami na Wzgórzu Herosów, Tyson płynący na Tęczusiu w kierunku

"Księ-żniczki Andromedy", krążownik "CSS Birmingham" strzelający z dział do Charybdy.

Przebiegłem palcami po postaci Tysona walczącego z hydrą i trzymającego w ręce pudełko paczków.

Nie byłem w stanie odgonić smutku. Wiedziałem, że będzie mu dobrze na dnie oceanu, ale byłem też pewny, że będę bardzo tęsknił za wszystkim, co się z nim łączy-ło: za jego uwielbieniem dla koni, sposobem, w jaki naprawiał rydwany albo też miażdżył metal gołymi

rękami, tym, jak zawiązywał przeciwników w supełki.

Będę tęsknił nawet za jego przypominającym trzęsienie ziemi chrapaniem na sąsiednim łóżku.

- Hej, Percy.

Odwrociłem się.

Na szczycie wydmy stali Annabeth i Grover. Piasek najwyraźniej dostał mi się do oczu, ponieważ strasznie mrugałem.

- Tyson... - powiedziałem do nich. - Musiał...

- Wiemy - odrzekła cicho Annabeth. - Chejron nam powiedział.

- Kuźnie cyklopów - wzdrygnął się Grover. -

Słyszałem, że mają okropne stołówki. Rozumiesz, nie ma tam w ogóle tortilli.

Annabeth wyciągnęła do mnie rękę

- Chodź, Glonomóżdżku. Czas na kolajcę.

Powędrowaliśmy razem w kierunku pawilonu jadalne-go - nasza trójka jak za dawnych czasów.

Tej nocy szalała burza, ale ominęła Wzgórze Herosów, jak to burze mają w zwyczaju. Błyskawice waliły w horyzont, ale ani kropla nie spadła na dolinę. Byliśmy znów dobrze chronieni, zamknięci w magicznych granicach - wszystko dzięki działaniu Runa.

A mimo to miałem niespokojne sny. Słyszałem drwią-cy głos Kronosa dobywający się z otchłani Tartaru: Polifem siedzi ślepy w swojej jaskini, herosku, wierząc, że odniósł wielkie zwycięstwo. W czymże mniejsza jest twoja ułuda?

Zimny śmiech tytana odbijał się echem w ciemności.

Następnie sceneria się zmieniła. Szedłem za Tysonem na dno morza, na dwór Posejdona. Był to świetlisty pałac wypełniony błękitnym

blaskiem, o posadzce z pereł. I tam, na tronie z koralowca, siedział mój ojciec, ubrany jak prosty rybak w brązowe szorty i wyblakły na słońcu podkoszulek. Spojrzałem w jego ogorzałą twarz, w jego głębokie, zielone oczy, a on wyrzekł tylko dwa słowa: Bądź dzielny.

Obudziłem się przerażony.

Ktoś walił w moje drzwi, po czym do środka wpadł

Grover, nie czekając na pozwolenie.

- Percy! - wybełkotał - Annabeth... na wzgórzu... ona...

Wyraz jego oczu powiedział mi, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Annabeth trzymała tej nocy wartę, pilnując Runa. Jeśli cokolwiek się stało...

Zrzuciłem koc, czując, że krew zamarza mi w żyłach na lód. Błyskawicznie założyłem jakieś ciuchy, podczas gdy Grover usiłował wydobyć z siebie choć jedno sensow-ne zdanie, ale był na to zbyt oszołomiony. Ledwie łapał powietrze.

- Ona tam leży... tylko leży...

Wybiegłem i pognałem przez centralny dziedziniec, a Grover deptał mi po piętach. Dopiero wstawał świt, ale cały obóz najwyraźniej był już na nogach. Wieści się roznosiły. Coś wielkiego się wydarzyło. Kilkoro obozowiczów biegło już w kierunku wzgórza: satyrowie, nimfy i herosi w dziwnym pomieszaniu zbroi i piżam.

Usłyszałem za sobą tętent kopyt: to Chejron przygalo-pował ku nam z posępną miną.

- To prawda? - spytał Grovera.

Grover zdołał jedynie skinąć głową, wzrok miał mętny.

Usiłowałem się dowiedzieć, co się stało, ale Chejron chwycił mnie za rękę i bez trudu wsadził sobie na grzbiet. Razem pognaliśmy w górę zbocza, gdzie zaczynał się już zbierać niewielki tłum.

Spodziewałem się, że na sośnie nie będzie Runa, ale ono nadal tam

wisiał, połyskując w pierwszych promieniach jutrzeńki. Burza osłabła, zalewając niebo krwisto-czerwoną poświatą.

- Przeklęty król tytanów - powiedział Chejron. - Znów nas oszukał, dając sobie kolejną możliwość uzyskania kontroli nad przepowiednią.

- Co ma pan na myśli?

- Runo - odrzekł. - Runo spełniło swoją rolę aż za dobrze.

Popędziliśmy znów do przodu, a wszyscy uskakiwali nam z drogi. Pod sosną leżała nieprzytomna dziewczyna.

Koło niej klęczała druga, odziana w grecką zbroję.

Krew szumiała mi w uszach. Nie byłem w stanie normalnie myśleć. Ktoś zaatakował Annabeth? Ale w takim razie dlaczego Runo jest wciąż na swoim miejscu?

Sama sosna wyglądała doskonale, była cała i zdrowa, nasycona istotą Złotego Runa.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że to nie Annabeth leży pod drzewem. Ona była tą dziewczyną w zbroi, klęczącą obok nieprzytomnej. Kiedy nas zobaczyła, podbiegła do Chejrona.

- To... ona... zupełnie nagle...

Po policzkach ciekły jej łzy, ale ja wciąż nic nie pojmo-wałem. Byłem zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek zrozu-mieć. Zeskoczyłem z grzbietu Chejrona i pobiegłem w stronę nieprzytomnej dziewczyny.

- Percy, zaczekaj! - zawołał Chejron.

Ukląknę przy jej boku. Miała krótkie czarne włosy i piegowaty nos. Zbudowana była jak długodystansowa biegaczka, zwinna i silna, a sądząc po bieganiu była trochę punkową, a trochę gotką: czarna koszulka, czarne wystrzępione dzinsy i skórzana kurtka i przypin-kami mnóstwa zespołów, o których nawet nie słyszałem.

Nie była z obozu. Nie rozpoznawałem w niej nikogo z domków. A jednak miałem dziwne wrażenie, że już ją kiedyś widziałem...

- To prawda - powiedział Grover, wbiegając zadyszany na wzgórze. - Nie wierzę...

Nikt inny nie podchodził do dziewczyny.

Położyłem jej rękę na czole. Miała zimną skórę, ale w palcach czułem lekkie mrowienie, tak jakbym dotknął czegoś gorącego.

- Potrzeba jej nektaru i ambrozji - powiedziałem.

Dziewczyna zdecydowanie była półkrwi, niezależnie od tego, czy należała do obozu, czy nie. Wystarczyło jej dotknąć, żeby to poczuć. Nie miałem pojęcia, dlaczego wszyscy, są tak przerażeni.

Wziąłem ją w ramiona i uniosłem do pozycji siedzącej, opierając sobie jej głowę na ramieniu.

- Hej! - zawołałem do pozostałych. - Co wam wszy-stkim się stało? Trzeba ją zanieść do Wielkiego Domu!

Nikt się nie poruszył, nawet Chejron. Wszyscy stali jak zamurowani.

Miała niewiarygodnie niebieskie tęczęwki - jaskrawo niebieskie.

Dziewczyna spojrzała na mnie w osłupieniu, drżąc i rozglądając się dziko dookoła.

- Kim...

- Jestem Percy - powiedziałem. - Jesteś bezpieczna.

- Miałam dziwny sen...

- Wszystko w porządku.

- Umierałam.

- Nie - zapewniłem ją. - Żyjesz. Jak masz na imię?

To był ten moment, kiedy zrozumiałem. Zanim zdąży-ła cokolwiek powiedzieć.

Błękitne oczy dziewczyny przewiercały mnie na wylot i zrozumiałem, o co chodziło w tym poszukiwaniu Złotego Runa. W

zatruciu drzewa. We wszystkim. Kronos zaplanował to wszystko po to, żeby wprowadzić do gry jeszcze jedną figurę - kolejną możliwość uzyskania kontroli nad przepowiednią.

Nawet Chejron, Grover i Annabeth, którzy powinni się cieszyć z tego, co się stało, byli zbyt oszołomieni i zbyt pochłonięci myślą, jakie to może mieć znaczenie dla przyszłości. A ja trzymałem w ramionach osobę, której przeznaczeniem było zostać moją najbliższą przyjaciółką, albo też moim najgroźniejszym wrogiem.

- Jestem Thalia - powiedziała dziewczyna. - Córka Zeusa.

